

dlh. m. e 26472

ANTONI CHOŁONIEWSKI

DUCH DZIEJÓW POLSKI

WYDANIE TRZECIE ROZSZERZONE



Kolekcja
Emila Kornasia

NAKŁADEM GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ — POZNAŃ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

CH. UEK

317119

ODBIITO W Drukarni Narodowej w Krakowie

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr 48 / 01 / 2012/.....

Zeby wskrzesić naród, trzeba wynaleźć jego zatracone jestestwo, z bacznym względem na modyfikacje, któremi je czas zmienił i przekształcił.

Nie improwizujemy Polski, ale z grobu wywołujemy ojczyznę. Nie sporządzamy bez planu i architektów fantastycznego gmachu, ale wygrzebujemy z gruzów starożytną budowlę.

We wskrzeszeniu ducha owych instytucji, owych praw i obyczajów, które niegdyś zdobyły republikańską monarchię polskiego narodu, mieści się wielka myśl politycznej restauracji.

Mochnecki.

18049

W S T Ę P.

Zdobyta przenikliwością natchnienia poetyckiego prawda, że Polską jest „wielką rzeczą“, zabrzmiiała w uszach naszego pokolenia przed laty niewiele jak paradoks smutny i szyderczy. Nigdy mniejszą pozornie nie wydawała się Polska, jak właśnie w chwili wypowiedzenia tych słów. Od roku 1870, od ostatecznego utrwalenia się stonków, w których tylko silnym, rozporządzającym opancerzoną pięścią, przyznano prawo bytu i głosu, straciła ona wszelkie znaczenie. Dla urzędowej i nieurzędowej Europy „sprawa polska“ przestała istnieć: skurczyła się do rozmiarów lokalnego, powiatowego zatargu w łonie państw rozbiorowych. Stała się z nami, na widowni życia międzynarodowego, rzecz najstraszniejsza: przejście do porządku. Starsi z pośród nas, którzy za lat młodzieńczych z bijącym sercem nadsluchiwali o nas co powie w senacie książę Ludwik Napoleon, lub czy w izbie gmin odezwie się za nami lord Russel i jak przyjmie kanclerz rosyjski zbiorową interwencję za Polską połowy Europy, doczekali się chwili, w której pojawienie się nazwy Polski na ustach szanującego się dyplomaty byłoby uznane za objaw niepoczytalności. Ci, których młodość upływała gdy centralny komitet narodowy pertraktował o termin wybuchu z Młodą Europą, gdy Warszawa podziemna niecierpliwiła się zwlekaniem Mazziniego i nadmierną przezornością Hercena; dożyli dnia, w którym międzynarodowy romantyzm wolności ukorzył się przed rosnącą

D. 581/56/9

wszechwładzą państwa, a w pamięci ludów Europy zatarło się nawet samo wyobrażenie o Polsce.

Ostatnie światła pogasły. Zostaliśmy sam na sam z przemocą, która szła ku nam pijana zemstą za nieprzerwany stuletni bunt, i z przemocą, która zasiadłszy na katedrach uniwersyteckich, ustaliła według wszelkich reguł naukowego myślenia tezę, że jako naród mniej wartościowy powinniśmy rozpuścić się w kulturze „wyższej”. Czegoż nie uczyniono, aby jeden i drugi punkt widzenia uzmysłowić nam z całą dobitnością? Było wszystko: od tortury fizycznej do rafinowanych sposobów wymienienia polskiej duszy na inną, od zdziczałych odruchów nienawiści do chłodnych aktów woli, cynicznie stosujących względem Polaków program państwowy wytepienia. Wyświeconą ze wszystkich dziedzin publicznego życia, Polska skurczyła się, jak ślimak w skorupie, w ciasnych granicach ogniska domowego i w wązkim kole zabiegów o chleb. Wydana na łaskę i niełaskę bezmiernej pychy zwycięzcy, ubezwładniona i bezsilna, ujęta w potworną kuratelę gwałtu, smagana biczem prześladowań i upokorzeń, ścigana i szczwana jak osaczone zwierzę, żyła z tem, że można się nad nią pastwić bezkarnie, stoczyła się w oczach pozostałej Europy tak nisko, że przestała budzić jakiekolwiek zainteresowanie. Nędza polskiego bytu, o ile odgłosy jej dochodziły na zewnątrz, wywoływała już tylko uczucie przykrej nudy. Dłoń oprawcy odarta nas nawet z uroku, jaki towarzyszył niegdyś naszej niedoli. Ulotniło się gdzieś bez śladu mistyczne piękno polskiego męczeństwa. Tragizm nasz zszarzał i nabrał cech wulgarnych. Nikt nie dbał o nas i nikt się z nami nie liczył. Na obszarach naszej ojczyzny rozwlokła się beznadziejność najsmutniejszego okresu, jaki wypadło nam kiedykolwiek przeżyć od rozbiorów.

Pod wpływem tego położenia zaszły w psychice polskiej głębokie zmiany. Opuściło nas, tak niedawne jeszcze, dumne poczucie zajmowania w świecie określonego i u-

prawnionego stanowiska. Zwążył się i aż do ziemi przybliżył horyzont naszych aspiracji. Gdy jeszcze ojcom naszym, których myśl kształtowała się pod bezpośrednim technieniem wielkiej emigracji, Polska przedstawiała się jako dążenie ducha ludzkiego wzwyż, jako potężna ujarzmiona idea, to dla nas, ogłuszonych codziennie spadającymi ciosami, zaatakowanych u samego korzenia bytu, stała się coraz bardziej już tylko terenem zoologicznej walki o zachowanie gatunku. Dusza polska straciła swój lot prometejski. Wyrabiała w sobie samozachowawczą przebiegłość, właściwą niewolnikom. U słabszych rodziła się pokora, zdająca się przeproszać cały świat za to, że ośmielamy się jeszcze wogóle zabierać miejsce pod słońcem.

Nigdy tak jak wówczas nie było nam potrzeba rzucającego słowa naszych dziejów. Lecz wtedy właśnie — wśród poszukiwań za przyczynami tego niesłychanego stanu rzeczy, do którego wielki i niegdyś świetny naród został doprowadzony — pojawiła się historyczna doktryna krakowska o źródłach upadku Polski, potępiająca ryczałem cały kierunek, jaki od wieków przybrał nasz rozwój. Na piedestale postawiono zwycięską siłę, skrepowanie jednostki posłuchem bezwzględny państwu, podporządkowanie się uległe każdej władzy, choćby legitymującej się jedynie zbrojnym przymusem — cnoty, do których nie umieliśmy się nigdy nagiąć, a którymi celowali właśnie nasi prześladowcy. Na duszę narodu, która skurczyła się już pod ciężarem okrutnej ponad wszelką miarę zrywistości, na duszę spaloną żarem męki i spragnioną kropli wody, na duszę nawiedzaną zwątpieniem i pokuszeniem odstępstwa, jak kamienie spadały odkrycia badaczy, że przeszłość była u nas od blisko pół tysiąca lat jedną wielką pomyłką, że duch jej zasadniczo chrobał, instytucje w założeniu już były chybyne, cierpiały na nieprzystosowalność praktyczną i musiały wieść do upadku. Żeśmy zatem sami, własnymi rękoma wykopali grób.

w który runęła ojczyzna¹ a to, w czym chcielibyśmy upatrywać międzynarodową zbrodnię, t. j. akty podziałów Polski, było tylko nieuchronną koniecznością dziejową. To samo głosiła równocześnie urzędowa i reakcyjna historyografia rosyjska i niemiecka. Pobudki były tu i tam odmienne — konkluzje jednakowe. U nas poglądy te powstały pod wpływem rozpacz: widziano bowiem z jednej strony wzniesienie się potęg, które oparły swój rozwój na tresurze niewolniczej, z drugiej strony pogrom narodu polskiego, który oparł był swój byt dziejowy na zasadzie wolności. Historyografia rosyjska i niemiecka, wtórując historykom polskim i skwapliwie powołując się na powagę ich sądu, miała przed oczyma własny cel — usprawiedliwić rozbiory, pozatem zaś hołdowała przekonaniu, że ideałem państwa jest państwo policyjne, t. j. takie, wobec którego duch polski znajdował się zawsze w zasadniczej opozycji. Tak więc, wychodząc z różnych założeń, schodzili się ze sobą polscy i obcy oskarżyciele naszej przeszłości.

Poczęta niezapreczenie z gorącej troski patriotycznej, ale i z niewolniczego ubóstwienia „silnej ręki” i „silnej władzy”, będącego odbiciem ogólnego w Europie obniżenia się ideałów politycznych, doktryna krakowska podcięła jeszcze bardziej zwątloną siłę duchową narodu. Gdy współczesność przypominała nam na każdym kroku, żeśmy skazani na śmierć, historia przekonywała nas, żeśmy od setek lat już byli niezdolni do życia. To, co na krzyżowej drodze terażniejszości mogło być samo jedno podtrzymać w nas zdolność do wytrwania: poczucie głębszego sensu naszego bytu historycznego, zostało zachwiane aż do podstaw. Teoria szkoły krakowskiej, której wpływ nieliczni tylko, jak Buszczyński, starali się zneutralizować

¹ „Upadku swego Polacy sami są sprawcami” — słowa Kalinki w przedmowie do „Ostatnich lat panowania St. Augusta”. „Nie sąsiedzi, tylko nieład wewnętrzny przypawił nas o utratę politycznego bytu” — słowa Bobrzyńskiego w „Dziejach Polski w zarysie”.

wać przyjęła się była niemal powszechnie i stała się straszną nauczycielką całego jednego pokolenia polskiego, pokolenia najnieszczęśliwszego ze wszystkich. Cóż pozostało z całej namiętnie dotąd umiłowanej przeszłości po druzgocącym przejściu po niej krytyki historycznej? Nic, tylko wina! Ulotniła się z niej wszelka treść pozytywna, uleciała z niej twórcza dusza narodu. Ze zburzonego gmachu ocalały tylko marne rusztowania: suche daty, szeregi rozegranych wojen, korowód królów. I nędzny koniec!

Patrząc przez pryzmat pojęć, które zapanowały powszechnie, można było tylko za przeszłość naszą rumieć się ze wstydu. A ten, kto by chciał być konsekwentnie dosnuć rzecz aż do końca, stanąwszy musiał przed strasznym pytaniem: Jeżeli tak — czegoż właściwie broniliśmy dotąd z takim rozpaczonym uporem? Dziedzictwa błędów i wynaturzeń? Jakiż sens miało i ma to całe tragiczne szamotanie się narodu, który wbrew wszelkiej logice życia nie chciał i nie umiał wznieść się na wyżyny jedynie uprawnionych i jedynie do życia uprawniających zasad istnienia zbiorowego?

Nadeszła wielka wojna, która miała do głębi wstrząsnąć posadami świata. Reżyserom jej ani wśród długich i przemysłnych prac przygotowawczych, ani wśród pierwszych strzałów, które gromowem echem miały się odezwać we wszystkich państwach Europy, nie zamarzyła się możliwość zmian, jakie wśród nieskończenie przewlekłych cierpień miały się dokonać w zbiorowej duszy narodów. Olbrzymi bój, który rozpętał się był o bilanse kupieckie współzawodniczących imperyalizmów, otrzymał w pewnym momencie zgola nieprzewidzianą poprawkę: wobec nieznanej dotąd w dziejach wielkości i intensywności ofiar, wobec bezprzykładnego zniszczenia owoców kultury, wydoły się na wierzch i zażądały dla siebie

głosu istotne interesy walczących narodów. W trzecim roku wojny lud rosyjski potężnym uderzeniem pięści obalił carat. Światowładną i zaborczą na zewnątrz, a autokratyczną w domu ideologię starej Rosji zastąpiły tłumione dotychczas idee wolności politycznej, władztwa ludu, braterstwa i samookreślenia narodów, idee, które nie unięknęły wprawdzie wykoślenia przy gwałtownej realizacji, ale których nic nie zdoła już wdeptać z powrotem w ziemię. Rewolucja rosyjska ziszczała po raz pierwszy w dziejach fakt, iż państwo, powstałe z podbojów, ogłosiło swobodę odłączenia się od siebie podbitych narodów. Ferment objawił się wśród wszystkich ludów uciskanych. Do wrót historii zapukała tęsknota za nowym porządkiem rzeczy, w którym prawo nieskrepowanego rozwoju byłoby zapewnione każdej indywidualnej i zbiorowej jednostce. Wielkie ideały wstrząsnęły łonem społeczności europejskiej.

Ależ to ideały — nasze!

Te, które za dni naszego państwowego bytu stanowiły treść naszych urzędów publicznych a które wroga ideologia obca i rozpacz własna potępiły jako „romantyzm”, jako dowód „nieudolności życiowej”, jako błąd „nieprzystosowania się do potrzeb czasu”. Wszak to za nie walczyliśmy, cierpieli i ginęli!

Cóż bowiem było kwintesencją życia w tem państwie, które geniusz naszego narodu był stworzył, a które przemoc zniszczyła? Oto szeroko rozwinięte i bezwzględnie zabezpieczone prawo jednostki do swobodnego poruszania się w granicach więzi społecznej. Zasada władztwa narodu, powołująca — na gruncie pojęć swego czasu — wszystkich pełnoprawnych obywateli do współudziału i współodpowiedzialności w rządach. Poszanowanie dla wszelkich form odrębności zbiorowej. Pojmowanie państwa nie jako rzeczy istniejącej w sobie, lecz jako narzędzia służącego szczęściu żywej społeczności. Nietykliwość cudzych granic i dążność do łączenia wolnych i równo-

uprawnionych ludów w dobrowolne szersze związki. Wstręt do zbrojności i międzynarodowego rabunku. Wstręt do władzy, nieupoważnionej przez ogół, do „absolutum dominium”. Wstręt do niewolniczego przymusu. Wysoka kultura wolności, przenikająca wszelkie dziedzi-ny życia. To wszystko stanowi sumę myśli dziejowej, wypracowanej w ciągu wieków w ramach dawnego naszego państwa.

W świetle błyskawic rozzdzierających firmament Europy widzimy dziś z szczególną jasnością, że Polska to nie tylko ziemia i ludzie, ale także wielka idea życia zbiorowego, i przedewszystkiem ona. Ludy Europy, przyłoczone nadmiarem klęsk, jakie zwały na ich barki dotychczasowe panowanie siły nad prawem, w poszukiwaniu trwałych zabezpieczeń przed powtórzeniem się katastrof podobnych ostatniej, zwracają się z rosnącą tęsknotą ku zasadom, które stanowią właśnie rdzeń i sens naszego bytu dziejowego. Zasady, których głęboką mądrość zrozumiało wiele narodów dopiero wśród straszliwych cierpień światowej wojny, my Polacy stosowaliśmy już przez setki lat w granicach, jakie pojęciom o społeczeństwie zakreslił był rozwój epoki.

Gdy po obaleniu despotyzmu w Rosji w marcu 1917 r. pierwszy rewolucyjny rząd zwrócił się do narodu polskiego z odezwą, zawierającą uznanie naszego prawa do samoistności, zakończył ją hasłem powstańców polskich z r. 1831: „Za naszą wolność i waszą”. W przyswojeniu sobie tej szerokiej koncepcji wolnościowej naszych przodków przez naród, który tak nieskończenie długo służył za niewolnicze narzędzie do tłumienia wolności ludów, tkwi wspaniałe uwierzytelnienie żywotności i wszechludzkiego znaczenia przewodniej myśli naszych dziejów.

* * *

W ostatnim szczególnie tragicznym okresie naszej męki porozbiorowej, pod demoralizującym wpływem

sponiewierania ciała i duszy Polski przez prześladowców, zmąciło się w nas poczucie wielkości i wartości historycznej idei polskiej. Przystawaliśmy rozumieć własną przeszłość. Zrywał się kontakt z nią, tak żywy, jeszcze w pokoleniu Mickiewiczowskim. Historyografia lat po-styczniowych oszukała nas, potępiając ryczałtem drogi, któremi Polska szła w epoce poprzedzającej rozbiory. Nowsze badania historyczne podjęły rewizję niewzruszonych przez długi czas dogmatów szkoły krakowskiej i podważyły ślepe do nich zaufanie. Wśród gromadzenia i naukowego przygotowywania źródeł, wśród prac nad poszczególnymi zjawiskami i odłamkami czasu, nie mogła być jeszcze wykonana nowa wielka synteza dziejów Polski. Jednakże już dziś — dziś właśnie szczególnie jasno i wyraźnie, — wiemy, że z rumieńcem nie wstydu, lecz dumy, możemy patrzeć na przemierzoną dotąd wielką drogę narodowej przeszłości. Wśród wichru olbrzymich przemian dziejowych, wobec ogromnego tętna, jakim uderzyło łono ziemi, wobec rozsypywania się w gruzy starych form, gdy Bastylle padają, a nieśmiertelny dreszcz pożądania wolności płynie przez miliony serc ludzkich, nowego nabiera oświetlenia to, co się — nieodczytane jeszcze w całej rozciągłości — zawarło w rocznikach naszych dziejów, to, za cośmy pokoleniami całemi marli wśród niewymownych cierpień. W głębokiej prawdzie zarysowuje się przed nami fakt, że Polska była „wielką rzeczą”, że instytucje publiczne i idee, jakie rozwinęła w swem długim życiu a które wybiły na niej tak odrębne charakterystyczne piętno, oparte były na niewspółcześnie śmiałych i wzniosłych koncepcjach dziejowych, które w istotnej treści swej zachowały dotąd niezniszczalną wartość.

Zadaniem niniejszej pracy będzie przedstawić pokrótce najważniejsze przejawy polskiej myśli dziejowej. Nie będziemy tu wchodzić w praktyczne błędy i grzechy dawnej Rzeczypospolitej, których nie brak: przy ocenie najgłębszych, podstawowych zasad, jakimi kierowała się

dusza polityczna naszej ojczyzny, znaczenie ich jest poprzednie. Polska, nienapastowana z zewnątrz, byłaby uleczyła z łatwością swe niedomagania, do czego dążyła już od połowy XVIII wieku i czego dowiodła w reformie Czartoryskich r. 1764, w wiekopomnych pracach oświatowych Komisji Edukacyjnej i w Konstytucji 3 maja. Grzechy i błędy publicznego życia, bez wtrącenia się obcej napaści w nasze sprawy, mogły być jedynie odwiec wysnucie ostatecznych konkluzji z wspaniałych założeń polskiej myśli politycznej. A założenia te, pozostawione warunkom swobodnego rozwoju, rozkwitając i dojrzewając w atmosferze zdwojonej intensywności prac ducha ludzkiego, jaką przyniósł wiek XIX, doprowadziłyby nas już do tej pory z pewnością do wcielenia wzorowego państwa nowoczesnego, podobnie jak się to stało z Anglią, która dzięki temu, że gwałt zewnętrzny nie przeszkodził jej swobodnie się rozwijać, wysnuła bezpośrednio z średniowiecznych instytucji i idei prawnych typ nowoczesnego państwa wolnościowego i praworządnego, nie przechodząc wcale przez „szkołę” absolutyzmu.

Myśl polityczna naszego narodu skryształizowała się w połowie XV wieku. Odtąd poczęła oddzielnym płynąć korytem w porównaniu z przeważną częścią Europy. Ten moment weźmiemy też za punkt wyjścia do naszkicowania obrazu, który poprzez wzrost i upadek polskiej potęgi państwowej, wśród nierównego poziomu duchowej i moralnej wartości pokoleń, wśród licznych zmian a zwłaszcza wynaturzeń w szczegółach, pozostał w zasadniczych swych zarysach ten sam przez przeciąg trzech z górą stuleci. Zostawiając na uboczu zamierzchłe dzieje średniowiecza, dzieje niemowlęctwa narodu, przypatrzymy się głównym duchowym wiązaniom tej w nowszych czasach wytworzonej konstrukcji politycznej, która nazywała się Rzeczpospolitą polską.

IDEA ŻYCIA ZBIOROWEGO.

Wśród rosnącego absolutyzmu w Europie — rozwój swobód w Polsce. Swobody obywatelskie i polityczne. Naród źródłem władzy. Ustrój państwowy. Zasady. Sejm polski i jego rola kierownicza. Liberum veto. Konfederacje. Intensywność życia publicznego. Rzeczpospolita.

Na przełomie wieku XVI i XVII Europa poczyną wchodzić coraz głębiej w okres nowoczesnego absolutyzmu. Na całym niemal kontynencie zamiera idea samorządu stanowego, wyhodowana przez wieki ubiegłe. Dawne sejmy stanowe, owe francuskie états généraux, niemieckie landtagi, hiszpańskie kortezy, które przy całym swym zacieśnionym widnokregu reprezentowały pierwiastek społeczny w rządzie, pokonane w długoletniej zaciętej walce z rodzimą władzą monarszą lub jak sejm węgierski i czeski zatamowane w rozwoju, względnie zniszczone przez obce siły, ustępują z widowni. Jeżeli czasem utrzymały się jeszcze formalnie, życie pozbawia je wszelkiego znaczenia. Naogół stają się cieniem przedstawicielstwa. Nie mają prawa stanowienia o niczem — mogą tylko słuchać i potakiwać. Są zwolowane rzadko, nieraz co kilkadziesiąt lat lub wogóle nikną. We Francji n. p. zamarły w roku 1614 i dopiero w przeddzień wielkiej rewolucji po 175 latach następuje próba ich wskrzeszenia. Królów francuskich nazywano już w XVI wieku „reges servorum“, t. j. królami niewolników, zamiast „reges Francorum“, a pisarze polityczni ówczesni, zastanawiając się nad różnicą między „monarchą“ i „tyranem“, upatrywali ją w tem, że tyran nie dopuszcza do głosu „pod-

danych“ i wszelkie ciała reprezentacyjne „przestraszają go jak światło nietoperza“. Sejmy stanowe schodzą ze świata bezpotomnie, nie wyloniwszy ze siebie kształtów ustrojowych wyższego rzędu. Natomiast nowy prąd dziejów coraz bardziej grupuje czynniki rządu dookoła purpury monarszej, aby nakoniec skupić w ręku jednego człowieka, króla, wszystkie promienie władzy i strąciwszy społeczeństwa ludzkie w poniżającą nicość polityczną, pozwolić temu jednemu człowiekowi powiedzieć o sobie wyniosłość: Państwo, to — ja! W wieku XVII niemal wszędzie już na kontynencie rozpościerał się absolutyzm. Nieodpowiedzialna przed nikim i żadnym prawnym hamulcem nieokiełznana wola jednostki kierowała uzależnionymi od siebie narodami i państwami, niby osobistą własnością — przed wolą tą ślepo korzyły się miliony. Zwycięzki autokratyzm zniweczył udział społeczeństw w życiu publicznym, podkupując tem samem w znacznej mierze i pirzywiązanie ich do powszechnego dobra.

W Polsce rzeczy przybrały obrót wręcz odmienny. Obok Anglii ona jedna, a na kontynencie europejskim jedyna, potrafiła nie tylko obronić i utrzymać przez cały czas swego państwowego bytu ale i rozwinąć przekazaną przez średniowiecze zasadę udziału społeczeństwa we władzy. Jak dwa o przeciwnym biegu strumienie, płyną: rozwój ustrojowy europejskiego kontynentu i rozwój ustrojowy polskiej Rzeczypospolitej. Tam, u stóp wznoszącego się coraz wyżej tronu jedynowładcy wychowuje się na długie stulecia pokorny typ „poddanego o ograniczonym rozumie“. Tu, przy ciąglem przesuwaniu się władzy w ręce narodu, wytwarza się typ wolnego obywatela, który stosunek swój do państwa określa dumną a co ważniejszą słuszną zasadą: „nil de nobis sine nobis“ — „nic o nas bez nas“.

Naród polski z niebywałą szybkością rozwija u siebie swobody obywatelskie i polityczne od początków w. XV. Przywilejem czerwińskim z r. 1422 zdobywa szlachta

poliska zabezpieczenie nietykalności mienia: król nie może odtąd pozbawiać nikogo własności prywatnej bez wyroku sądowego. Rok 1425 przynosi doniosłe prawo nietykalności osobistej, wyrażone w wielkopomnej ustawie zasadniczej „Neminem captivabimus nisi jure victum”, poręczającej, iż szlachcic nie będzie uwięziony inaczej, jak na podstawie prawomocnego wyroku sądowego, wyjąwszy schwytywanie na gorącym uczynku zabójstwa, podpalenia, kradzieży i gwałtu. To polskie „Habeas corpus”, wyprzedzające o wiele stuleci rozwój pojęć prawnych na kontynencie europejskim, a przestrzegane tak sumiennie, że nigdy nie ważono się go pogwałcić, rozciągnęła Rzeczpospolita polska z czasem także na mieszczan (1791) i na żydów (1792). Przywilej r. 1588 zabezpiecza nietykalność ogniska domowego, postanawiając, że dom szlachcica nie podlega rewizji, nawet wówczas, gdy się tam ukrywa banita. Bez specjalnych patentów posiada obywatel Rzeczypospolitej wolność tworzenia związków i swobodę wyrażania przekonań słowem i pismem i nie może być w żadnej postaci prześladowany za opinię, wygłoszoną o sprawach publicznych. Kto pozywał współobywatela do sądu za wypowiedzenie choćby najbardziej nieprawomyślnych poglądów, karany był sam jako burzyciel spokoju wewnętrznego i ciemniziciel wolności obywatelskiej. Tak zwane dziś zasady konstytucyjne: nietykalność jednostki, ochrona mienia i ogniska domowego, wolność zrzeszania się, swoboda ujawniania myśli — zasady, o które gdzieś indziej płynęły w XIX stuleciu potoki krwi i które zdobywano wśród gwałtownych wstrząśnień wewnętrznych, były w Polsce urzeczywistnione już w wieku XV i XVI i przetrwały do końca istnienia Rzeczypospolitej, gdy w Europie panowało najsrozsze bezprawie.

Równolegle rozwijają się swobody ściśle polityczne. Podstawą ich staje się uzyskany w roku 1454 w Nieszawie „statut” króla Kazimierza Jagiellończyka, który obowiązuje się w nim nie wydawać nowych ustaw, ani nakazy-

wać wypraw wojennych, inaczej, tylko za zgodą szlachty zgromadzonej na sejmikach ziemskich. Odtąd zyskała szlachta dostęp do władzy prawodawczej. Coraz wyraźniej krystalizuje się zasada, która stanie się kamieniem węgielnym ustroju państwowego w Polsce, że wszystko, co ma obowiązywać ogół, musi podlegać jego uprzedniemu zezwoleniu. Z mgławicy tak kształtujących się pojęć wyłania się polski system parlamentarny. W drugiej połowie XV wieku peryodyczne zjazdy rycerstwa oraz przyboczna rada koronna przeistaczają się w sejm walny, stały odtąd i pierwszorzędnym życia publicznego czynnik, którego ostateczne zorganizowanie się przypada na rok 1493. W roku 1505 sejm w Radomiu uzyskuje podstawę prawną swej organizacji, a zarazem przeprowadza wielką reformę ustrojową w ustawie zasadniczej „Nihil novi constitui debeat per nos sine communi consensu conciliariorum et nuntiorum terrestrium” („nic nowego nie postanowimy — zaręcza król — jak tylko za wspólną zgodą Rady i posłów ziemskich”).

Konstytucja „Nihil novi”, która odtąd przez trzy wieki blisko aż do dnia 3 maja 1791 będzie tworzyła główną podstawę ustroju Polski, uświęca aktem prawodawczym i po raz pierwszy wyraźnie określa i utrwala zasadę, która się w praktyce na ogół oddawna już była utarła, zasadę, że prawo nie może być stanowione przez jedną osobę, przez koronowanego władcę i zwierzchnika, ale winno być uchwalone z udziałem ogółu, że zatem właściwym źródłem norm regulujących życie publiczne jest naród i że ma on słuchać tych praw, jakie sam w osobach wybranych przez siebie przedstawicieli w sposób wolny i nieprzymuszony uznał za potrzebne. Przenosząc władzę ustawodawczą, służącą dotąd sejmikom ziemskim, na sejm walny, przyczyniła się konstytucja 1505 roku tem scentralizowaniem legislatury zarazem do ściślejszego spojenia i skonsolidowania całości narodowej. Tworzy ona wogóle fakt epokowy w naszych dziejach, „przedzie-

la — według słów Bobrzyńskiego („Sejmy polskie”) — państwo polskie średniowieczne od nowożytnego”, otwierając jednocześnie okres naszego najświetniejszego wewnętrznego rozwoju, okres Zygmunto夫斯基.

Sejm walny w Polsce („stany sejmujące”) składa się z senatu i izby poselskiej, a ponadto wchodzi w skład jego w charakterze osobnego „stanu” król, który sprawuje też z natury rzeczy najwyższą władzę wykonawczą i naczelną dowództwo siłą zbrojną. Zespolenie to władzy królewskiej z przedstawicielstwem narodu w jedną zwartą całość istniało, prócz Polski, aż do najnowszych czasów tylko w konstytucji Anglii. Prof. Balzer („Państwo polskie w XV i XVI wieku”) podkreśla, że gdy gdzieindziej naówczas władca występował po za obrębem przedstawicielstwa stanowego jako osobny i przeciwstawiający mu się czynnik, to polski „związek króla z sejmem jest organiczny jakgdyby w nowożytnej monarchii” i że gdy dualizm średniowieczny umożliwił z czasem narodziny absolutyzmu, u nas przeszkodziło temu właśnie połączenie króla z ciałem prawodawczym we wspólnych ramach. W senacie polskim zasiadają wraz z monarchą senatorowie świeccy i duchowni, w izbie poselskiej szlachta („rycerstwo”) i — przynajmniej do pewnego czasu, względnie w pewnej mierze — mieszczaństwo. Członkowie izby poselskiej pochodzą z wyboru: szlachta wybiera posłów „ziemskich” na zgromadzeniach wyborczych czyli sejmikach, wojewódzkich lub ziemskich, przez powszechne głosowanie, miasta wybierają posłów miejskich.

Sejm polski jest reprezentacją ogólnopaństwową i najwyższym zgromadzeniem prawodawczym, którego postanowienia obowiązują cały kraj. Do ważności jego uchwał wymagana była powszechna zgoda obu izb, oraz króla. W niektórych sprawach zachował król, oczywiście z wolą sejmu, władzę wydawania ustaw na własną rękę, co atoli nigdy nie było jasno i ściśle uregulowane. (St. Kutrzeba: „Historja ustroju Polski”). Izba poselska

tworzyła właściwy czynnik prawodawczy, senat przyjmował tylko lub odrzucał jej uchwały, przyczem obie izby w określonych momentach schodziły się na wspólne narady. Projekty do praw wnoszone były od tronu, ale mógł wystąpić z niemi i każdy poseł. Obrady sejmowe odbywały się jawnie, przy drzwiach otwartych, wobec publiczności czyli „arbitrów”. Przewodniczy obradom w senacie król, w izbie poselskiej wybierany z jej łona marszałek. Przez cały czas trwania sejmu posłowie i senatorowie są nietykalni i wolni od odpowiedzialności sądowej; toczące się w jakichkolwiek sądach ich sprawy ulegają chwilowemu zawieszeniu pod nieważnością wyroku.

Wadą organiczną tak skonstruowanego ciała, które zresztą w długotrwałej praktyce ulega różnym, acz nieznacznym tylko modyfikacyom, jest skrepowanie posłów przez „instrukcje” od wyborców, co otwierało szeroką drogę dla egoizmów lokalnych, a trwa aż do reformy 3 maja 1791 i w rozmaitych epokach jest ze zmienną skrupulatnością przestrzegane. Instrukcje te określały mniej lub więcej dokładnie jakie stanowisko zająć ma poseł wobec najważniejszych przynajmniej spraw, będących na dobie, pozbawiając go tem samem swobody działania. Niekiedy jednak wyborcy, nie krępując swego posła, polecali mu wręcz postąpić jak uzna za właściwe i pożyteczne, lub też iść solidarnie z większością. Po sejmie posłowie mają stanąć przed wyborcami i na t. zw. sejmikach relacyjnych zdać sprawę ze swych czynności.

Szeroki samorząd zachowywał województwa i „ziemie” w liczbie kilkudziesięciu. Odpowiadał temu osobny organ prawodawczy w postaci sejmików gospodarskich, na których szlachta załatwiała różne miejscowe sprawy administracyjne i skarbowe, uchwałała podatki na miejscowe potrzeby i pobierała je przez swych urzędników; województwa utrzymywały nawet własną siłę zbrojną. Były to niyby małe republiki w ramach wielkiej, która zapomocą władz centralnych i walnego sejmu łączyła je we

wspólną całość. Kiedy władza centralna w epoce upadku saskiego zupełnie niemal zanikła i punkt ciężkości przeniósł się do lokalnych ciał samorządnych, których nadmierny rozrost zagroził wprost rozbiemem więzi państwowej, Rzeczpospolita stała się jakby luźną federacją takich nieskoordynowanych ze sobą republik-województw.

Lecz zresztą w zasadzie, a po za owym okresem stuletnim rozprzeżenia także w praktyce, całe życie państwowe poddane było rozstrzygającemu wpływowi sejmu walnego. Do zakresu jego działania należały następujące kierownicze funkcje: Wypracowywanie i uchwalanie ustaw, obowiązujących ogół mieszkańców, nakładanie wszelkich ciężarów i podatków państwowych, przyzwalanie na bicie monety, sądownictwo karne najwyższej instancji dla spraw wyjątkowej wagi, kontrola działalności rządu, nadzór nad gospodarstwem skarbowym państwa, którego rachunki podskarbiowie koronny i litewski przedkładały do zbadania i zatwierdzenia osobnej komisji sejmowej, czuwanie nad administracją wewnętrzną, odbieranie sprawozdań od posłów do dworów cudzoziemskich i wyznaczanie kierunku polityce zagranicznej, sankcjonowanie traktatów i przymierzy, wreszcie tak ważna czynność, jak decyzyja o wypowiedzaniu wojen i zawieraniu przymierzy. Monarcha polski nie mógł dla osobistych czy rodzinnych widoków rozpaść lekkomyślnie pożogi wojennej, gdyż najdonioślejsze z praw, prawo dobytecia oręza, przysługiwało samemu tylko narodowi, który zastrzegł sobie rozpatrzenie, czy wojna lub pokój zgodne są z jego interesem. Są to kompetencje olbrzymie, których znaczna część nie stała się jeszcze dziś w tym stopniu udziałem niejednego z nowoczesnych parlamentów.

Niesłuchanie silnie akcentowane prawo jednostki znalazło wyraz w charakterystycznej dla polskiego ustroju politycznego zasadzie jednomyślności uchwał sejmowych, zasadzie, która w pewnym stopniu ma na zachodzie swoje analogie w epoce średniowiecza, lecz w tej mierze i

w tem natężeniu pojawiła się tylko u nas. Każda prawomocna uchwała sejmu musi zapaść „unanimiter“, wszystkimi głosami. Głos przeciwny jednego posła („Liberum veto“) obala uchwałę. Na dnie tej zasady leżała myśl, iż większość nie powinna narzucać mechanicznie swej woli mniejszości. Poseł sejmu polskiego chciał być nie przegłosowanym, lecz przekonanym. Przez długi czas doktryna ta, nazywana przez szlachtę „żrenicą wolności“, wytrzymywała zwycięzko próbę życia. „Liberum veto“ było przez sto lat prawem, z którego nikt nie wysnuwał ostatecznych konsekwencji: mniejszość dawała się przekonywać, lub dobrowolnie ustępowała przed wolą większości. „Za najświetniejszych czasów sejmowania polskiego większość głosów rozstrzygała faktycznie zarówno w senacie jak w izbie poselskiej w kwestyach większej wagi“, stwierdza Bobrzyński („Sejmy polskie“). Od schyłku XVII wieku, gdy poziom moralny społeczeństwa obniżył się, stała się zasada jednomyślności dogodnym narzędziem bądź dla wicherzeń zewnętrznych, bądź dla opozycji przeciwnej wszelkim reformom i poczęła służyć do zrywania sejmów: w czasach upadku utarło się mianowicie, że „veto“ jednego z posłów unieważniało uchwały całej wogóle sesji i tamowało czynności sejmowe. Zniósł ją częściowo już reforma Czarotoryskich 1764 r., do reszty ustawa 3 maja¹. Przeciwwagę „liberum veto“, częściowo przynajmniej, przynosiły ze sobą konfederacje, dobrowolne związki obywateli, zawiązywane na czas ze-

¹ Upatrujemy słusznie niedorzeczność w tem, że uchwały, które sejm powziął, mogły być obalone przez jednego człowieka, powołującego się na swoje prawo „veta“: Europa nie wychodzi z podziwu, jak taka absurdalna zasada utrzymywała się u nas przez tyle wieków. Mało kto jednak zdaje sobie sprawę, że „liberum veto“ istnieje dotąd wszędzie, gdzie ustawa, choćby uchwalona przez cały parlament, upada, skoro nie zyska jeszcze sankcji głowy państwa. Że w tym wypadku również wola jednego człowieka przekreśla wolę ciała prawodawczego, to krytykom polskiego „liberum veto“ wydaje się najnaturalniejszym w świecie.

wnętrznego niebezpieczeństwa oraz podczas każdorazowego bezkrólewia celem utrzymania porządku w państwie. Uchwały zapadały wówczas na sejmach wyjątkowo większością głosów. Złączona w owych związkach szlachta (przez długi czas i mieszczaństwo) słuchała obranej przez siebie władzy, „generalności konfederackiej”, ślepo i bezwzględnie, aż do gotowości na śmierć dla spełnienia jej postanowień. Zwierzchność konfederacka posiadała władzę nieograniczoną, dyktatorską.

Życie polityczne Rzeczypospolitej rozwinęło się w tych ramach z niezmierną intensywnością. O ile mieszczaństwo faktycznie rychło zeszło z widowni, a pewne przysługujące mu prawa wykonywało raczej tylko manifestacyjnie, aby stwierdzić, że je w zasadzie posiada, to ogół ziemiański coraz bardziej zaprawiał się w szerokim życiu państwowym. W ciągu długiej i nieprzerwanej praktyki trzech stuleci wyrabia się kultura polityczna, która wchodzi w krew szlachty polskiej. Sprawy publiczne — złe lub dobrze pojmowane — pochłaniają ją, są zajęciem ulubionym i zaszczytnym, jak w starych republikach greckich, i równie jak tam posiadają zdolność roznamietniania. Na sejmach, zwyczajnych, zwoływanych obowiązkowo co dwa lata, i nadzwyczajnych, zbierających się w miarę potrzeby, na niezliczonych rodzajach sejmików powiatowych i wojewódzkich (sejmiki przedsejmowe, elekcyjne, deputackie, gospodarskie, relacyjne, generalne), w obieralnych trybunach sądowych i na licznych urzędach, jest szlachta nieustannie zaprzęgnięta sprawami bądź samorządu lokalnego bądź odnoszącymi się do interesów państwa.

Obraz powyższy jest w ogólnych zarysach wykończony już pod koniec XVI wieku i bez zmian zasadniczych pozostanie takim przez dwa następne stulecia, właśnie wtedy, gdy niemal cała Europa kontynentalna poddała się pod jarzmo absolutyzmu. Ponieważ we wszystkich tych prawach i swobodach politycznych bierze udział ca-

ły, niezmiernie liczny i różnolity w swym społecznym uwarstwieniu ogół szlachty, a tron oddawna już przestał być dziedzicznym, Polska krystalizuje się ostatecznie jako ustrój szlachecko-demokratyczny i szlachecko-republikański. W ustach narodu zjawia się samorzutnie na oznaczenie tak ukształtowanego państwa nazwa „Rzeczypospolitej”, która odpowiadając wiernie duchowi urządzeń publicznych, upowszechnia się szybko jako nieurzędowe określenie konstytucyjnej monarchii polskiej.

W naszej literaturze historycznej, niekoniecznie nawet autoramentu szkoły krakowskiej, i wogóle w całej współczesnej umysłowości. tendencya do obniżania wartości urządzeń i idei państwowych własnego narodu stała się czemś w rodzaju dobrego tonu, z którym zdaje się, stoimy odosobnieni w Europie. Dla przykładu spróbujemy tu w zwięzłym przypisku skontrolować parę poglądów na dawny sejm Rzeczypospolitej.

Al. Rembowski [„Konfederacya i rokosz”] pisze: „Uważam za stosowne nadmienić, że twierdzenie prof. Bobrzyńskiego, jakoby ustawa polska z roku 1565, uświęcająca udział szlachty w życiu państwowym, stworzyła parlamentaryzm, może w nauce o państwie spowodować tylko zamieszanie pojęć. Przez wyraz „parlamentaryzm” rozumie nauka polityki zgodnie z historykami prawa państwowego system rządzenia, czyniący ministerium *zawisłym od poparcia większości izby gmin*. System powyższy wyrobił się i utrwalił w Anglii dopiero na początku XVIII wieku”. Otóż kryterium powyższe jest najzupełniej dowolne. Dowodzi tego jasno fakt, że w Prusiech, a nawet i w Rzeszy niemieckiej, ministerstwa stały do r. 1918 zaufaniem i wolą korony, nie izb, i żadne votum nieufności ze strony reprezentatywności ludowej nie mogło zmusić ich do ustąpienia. Co więcej, nawet w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki ministrowie nie są odpowiedzialni przed kongresem, lecz wyłącznie przed prezydentem. Czy można jednak twierdzić, jakoby Niemcy czy Ameryka północna, nie były państwami parlamentarnymi? Nie. Gdyż istotą parlamentaryzmu jest poprostu taki układ stosunków, w którym społeczeństwo posiada głos współdecydujący w sprawach państwowych za pośrednictwem swego mniej lub więcej szeroko zakreślonego przedstawicielstwa.

Ze stanowiska teorii przesadnie podkreśla się i przeciwstawia dziejszemu stanowi rzeczy fakt, że posłowie byli u nas przed reformą 3 maja tylko mandataryuszami sejmików a nie przedstawicielami

całego państwa, że „ci co w sejmie zasiadali, reprezentowali Interesy państwa o tyle tylko, o ile one się schodziły z tamtymi“. Jedno i drugie jest oczywiście zgodne z martwą literą urządzeń ówczesnych. Skoro jednak weźmiemy pod uwagę praktykę, która wobec „szarej teorii“ ma chyba też jakieś znaczenie, to stwierdzić należy: 1) że członkowie sejmu polskiego, mimo iż byli mandataryszami sejmików, wznosili się niejednokrotnie na wysoki poziom przedstawicielstwa całości państwowej, czego mamy mnóstwo przykładów, 2) że deputowani dzisiejsi, aczkolwiek nie prawnie, to faktycznie, czują się również — nieraz przedewszystkiem — przedstawicielami swoich „okręgów“ i mandataryszami wyborców, od których na zgrożdzeniach przedwyborczych otrzymują *sui generis* instrukcje, przyczem wiadomo jak wrażliwi bywają na punkcie zyskania osobistej nawet wdzięczności tych, od których wzięli mandaty, 3) że dawne stany w znaczeniu prawnopaiństwowem zastąpione zostały przez „klasy“ społeczne i że w dzisiejszych ciałach ustawodawczych posłowie, podobnie jak niegdyś było w Polsce, reprezentują przedewszystkiem interesy swej klasy, a „państwa o tyle tylko, o ile one schodzą się z tamtymi“. Wystarczy wskazać na posłów robotniczych, posłów agraryszów n. p. pruskiego typu, na walki o reformy wyborcze podsyte zupełnie wyraźnie klasowymi interesami i t. d. Pozostawienie zresztą dotąd w składzie ciał prawodawczych izby „wyższej“, izby „lordów“, izby, która na Węgrzech nazywa się wprost „izba magnatów“, dowodzi, że pierwiastek stanowości nie został całkowicie usunięty nie tylko z ducha, ale nawet z organizacji nowoczesnego parlamentaryzmu.

Prof. Oswald Balzer [„Reformy polityczne i społeczne konstytucji 3 maja“] mówi znowu: „Przywykliśmy nazywać sejm polski *ciałem parlamentarnem*, reprezentacją *narodu*: jeżeli do tych nazw przywiążemy znaczenie ścisłe, dzisiejsze, to trzeba je chyba zarzucić: izba poselska nie była izbą parlamentarną w znaczeniu dzisiejszem“. Z równą słusnością należałoby jeszcze na początku XX-go w. odmówić istotnych cech parlamentu sejmom, które nie opierały się na głosowaniu powszechnem, bo i one reprezentowały tylko ułamek narodu. Gdyby o istocie parlamentaryzmu miała rozstrzygać zasada bezwzględnie doskonałej reprezentacji, to pokazałoby się, że parlamenty istnieją tylko w nielicznych dotąd krajach. W całym szeregu państw usunięta jest od udziału w życiu reprezentacyjnym zasadniczo cała *polowa ludności*, t. j. — kobiety. Wyłączenie to jest niezawodnie krzywdzące i niedorzeczne: nie zechcemy mimo to jednak twierdzić, że parlament francuski, w którym kobiety nie mają prawa głosu, nie jest dlatego parlamentem. Wysuwane dla kontrastu z dawnym polskim sejmem określenie: „parlamentaryzm w znacze-

niu dzisiejszem“ jest arcyśliskie, gdyż to „dzisiejsze znaczenie“ ogarnia w dobrej zgodzie przedstawicielstwa o tak znacznych odchyleniach, jak parlament angielski i przedrewolucyjna Duma rosyjska, sejm pruski i parlament — nowozelandzki. Ze sejm Rzeczypospolitej polskiej nie był „dzisiejszym parlamentem“, tego chyba nie trzeba dowodzić. Jeżeli jednak Bobrzyński widzi w r. 1505 narodziny parlamentaryzmu w Polsce, to atakowanie tego „słusznego twierdzenia „dzisiejszością“ nie może bynajmniej zachwiać istotą rzeczy, która nie tylko w perspektywie dziejowej, ale jak widzieliśmy, nawet dziś, w obrębie tego samego czasu, przejawia się w bardzo różnych postaciach.

Pomiędzy dawnym sejmem polskim a najliberalniejszym z sejmów nowoczesnych zachodzi głównie i przedewszystkiem różnica *ilościowa*, naturalna ze względu na upływ — stuleci, podczas gdy między ustrojem i duchem Polski historycznej a większością państw w Europie, nie tylko współczesnych jej, lecz nawet jeszcze XIX i XX wieku, zachodzi różnica *jakościowa*, *zasadnicza*, taka, jaka wyraża się w stosunku wolności do despotyzmu.

NARÓD I KRÓL.

Wolna elekcyja panującego. Stosunek do monarchy. Prawo do korony. „Artykuły Henryczańskie”. Król-prezydent. Prawo o wypowiedaniu posłuszeństwa. Król dla narodu, nie naród dla króla. Królobójstwo w Polsce nieznane.

Polityczna społeczność polska od schyłku średniowiecza aż po koniec swego istnienia wyznaje zasadę, że człowiek powinien podlegać tylko tej władzy, którą sam z siebie wyłonił. Król w Polsce nie jest też narzucony ślepym trafem urodzenia — wybrano go wolną elekcyą, początkowo wśród szczuplejszego koła elektorów, później na olbrzymim zgromadzeniu wyborczem, na którym mógł zjawić się i oddać swój głos każdy pełnoprawny obywatel państwa. Obok senatorów i posłów od ziem i znacniejszych miast, cała osiadła szlachta Korony i Litwy, bez względu na stopień zamożności, miała prawo przybyć na sejm konwokacyjny do Warszawy i osobiście brać udział w wyborze króla. Był to więc wybór na podstawie powszechnego głosowania, jednej wprawdzie warstwy, lecz niezmiernie licznej.

Zasada elekcyjności tronu w Polsce istniała już właściwie od roku 1382, po wymarcu głównej linii Piastów i po zgonie Ludwika węgierskiego, którego jeszcze Kazimierz Wielki poprosił „przeznaczył” na króla na mocy układów familijnych, nie pytając o niczyją zgodę. Jagiellonowie dziedziczyli tron na Litwie — w Polsce byli królami obieralnymi. Tron litewski stał się również obieralnym z chwilą, gdy Zygmunt August wyrzekł się był prawa

dziedzictwa. W Polsce za panowania domu Jagiellońskiego dokonywała wyboru każdorazowego króla początkowo rada dostojników koronnych, potem sejm. Dopiero po wygaśnięciu Jagiellonów sejm warszawski r. 1573 za wpływem Jana Zamoyskiego, któremu marzyły się republikańskie rzymskie wzory, postanowił po raz pierwszy wybrać głowę państwa nie głosami poselskimi, lecz na powszechnym zjeździe rycerstwa. Odtąd datują się owe niezwykle akty wyborcze, w których brała udział cała szlachta, stanowiąca w danym okresie dziejowym „naród” polityczny, akty wadliwie zorganizowane ale istotą swą, poprzez absolutyzm, utrwalający się wówczas w Europie, wybiegające ku wyżej rozwiniętym a dziś w wielu krajach praktykowanym pojęciom nowoczesnym. Dopiero w r. 1791 niebezpieczeństwo grożące ze strony ościennych mocarstw autokratycznych zmusiło Polskę upodobnić się do otoczenia i wprowadzić monarchię dziedziczną. Niemniej, przez cały ciąg panowania dynastji Jagiellońskiej naród polski dobrowolnie obierał siedmiu po kolei królów z jednej rodziny, a w czasach późniejszych obrał trzech z rządu Wazów i dwóch Wettinów, co wymownie dowodzi, iż chroniąc zasadę polityczną, nie popadał jednak bynajmniej w doktrynerstwo.

Przez długie wieki szlachta polska strzegła zasady elekcyjności tronu, jako kardynalnej cechy swobód obywatelskich. Dziś niezmiernie łatwo wykazać szkody, jakie przyniosła Polsce wolna elekcyja. Niemniej motywy ogółu szlacheckiego miały za sobą głębokie racje polityczne. Dziedziczność tronu na całym kontynencie europejskim została wyzyskana przez monarchów jako narzędzie do wprowadzenia rządów absolutnych, a oprócz tego była niewyczerpanem źródłem wojen sukcesyjnych, które ustawicznie zawichrzały Europę. Naród, który nie chciał absolutyzmu, musiał bronić się przeciw zasadzie dziedziczenia i zamiast „pana dziedzicznego” chętniej uznawać władzę „pana obieralnego”.

Między narodem i królem panował w Polsce stosunek, który dobitnie charakteryzuje ducha urządzeń publicznych. Wobec osoby królewskiej zachowuje szlachcic polski pełne poczucie swej godności obywatelskiej i ludzkiej. „Króla szanował — mówi historyk Kalinka — jako powagę moralną, jako głowę federacji szlacheckiej, której członkiem sam się być wyznawał, ale króla się nie bał, bo nic odeń złego doświadczyć nie mógł. Rad był pozyskać jego łaskę, lecz w potrzebie bez niej się obchodził. Czem był, nie z króla był, ale sam z siebie”. W przeciwieństwie do tego we Francji n. p. za Ludwika XIV już nie zabiegano o względy, ale kult osoby monarszej doszedł do szczytu upodlenia. Wchodząc na ucztę biesiadnicy składali ukłon przed serwetą przeznaczoną do obtarcia ust królewskich, a każdy przechodzący przez sypialnię „króla-słońca” musiał kłaniać się przed pustym łóżkiem. W Polsce w stosunku do panującego niema ani śladu owego bizantynizmu, owego służalczego płaszczenia się, owego czołgania się „u stóp tronu”, które typowo występują w Europie ówczesnej, a także o wiele — późniejszej. Do Stefana Batorego rzekł Jakób Niemojewski z całą swobodą wolnego człowieka: „Miłościwy królu, chowaj w całości nasze przywileje a będziesz nam miłościwym królem, jeśli nie — będziesz Stefanem Batorym, a ja Jakóbem Niemojewskim”. Porównajmy to odezwanie się z owym znanym z historii rosyjskiej faktem, iż pewien bojar za drobne jakieś przewinienie wbity na pal na rozkaz Iwana Groźnego, męcząc się przez całą dobę, mówił do dzieci i żony, stojących opodal słupa: „Boże chroń cara”. Był to tylko jeden z tysięcy przykładów tego niezrozumiałego dla Polaka „heroizmu niewoli”, o którym powiedział Mickiewicz, że jest „psu zasługą, człowiekowi grzechem”. W atmosferze polskiej sami panujący wzdragają się przed przyjmowaniem bałwochwalczego kultu. Kiedy na sejmie lubelskim r. 1569 magnaci litewscy, jeszcze pod wpływem starych wyobrażeń, padli na kolana przed Zy-

gmuntem Augustem, król wyrzekł: „Kłękaj Panu Bogu samemu czynić mamy, a nie ziemskim panom”. (W. Sobieski: „Król a car”). Tenże król podkreśla, że „rozkazuje” swym poddanym „prawem, nie czym innym”, a chociaż nie jest autokratą, chociaż nikt nie pełza przed nim i nie wybijają pokłonów, to on kocha ten swój naród i mówi do niego: „Gdybyście się gardła naparli, aby to było z dobrem waszem, tedy dla was powinienem uczynić — tak was miłuję”.

Szlachcicowi polskiemu towarzyszy dumne poczucie, że jest nie tylko „wyborcą królów”, ale posiada nadto sam prawo do korony. Dla każdego z członków olbrzymiej rzeszy szlacheckiej stoi otworem droga do tronu, jeżeli na mocy wyjątkowych talentów i zasług powołać go tam zechce zaufanie współobywateli. Wypadek taki zdarza się w dziejach Polski cztery razy, a dwaj z tych elektów, Sobieski i Leszczyński, pomnożyli szereg nienajgorszych monarchów. Obaj oni, dostawszy się na tron, czuli się nie jakimiś istotami nadprzyrodzonymi, lecz ludźmi wyrosłymi z krwi i kości społeczeństwa i mimo wszystkie niedostatki polskiego rządu odczuwali szlachetną dumę, że mogą sprawować władzę w państwie opartem na wolności i prawie. Sobieski w pierwszej mowie tronowej, nazajutrz po elekcji, nazwał siebie „prostym szlachcicem”, obranym „z życziwej woli swobodnego i prawowicie władnego narodu”. Leszczyński, ów zwolennik ukrócenia nadmiernych przywilejów szlacheckich i wróg liberum veto, wyznawał jednak, iż „daleko większy honor panować nad wolnym narodem, niż niewolniczym”. O stosunku narodu do króla decydował sam ustrój Rzeczypospolitej, ustrój, który zapobiegając tyranii jednostki, przesunął punkt ciężkości życia politycznego na zgromadzenie sejmowe, który każdego obywatela czynił tym sposobem pośrednio uczestnikiem rządu i który w krew narodu wszczepiał poczucie odpowiedzialności za tok spraw publicznych.

Władza królewska była ograniczona szerokiemi, jak widzieliśmy, kompetencjami sejmu. Od r. 1573 wstępującym na tron monarchom przedkłada sejm elekcyjny do przyjęcia ustawy zasadniczej („artykuły Henryczańskie”) i warunki rządzenia („pacta conventa”), rozgraniczające obowiązki i prawa króla od obowiązków i praw narodu. Król zatwierdza tę umowę przysięga. Po takim unormowaniu obopólnego stosunku, po uznaniu kierowniczej roli sejmu i zatwierdzeniu swobód narodowych, król polski rozpoczyna swe funkcje, które są funkcjami najwyższego przedstawiciela władzy wykonawczej i pierwszego obywatela państwa, funkcjami — w istocie swej — prezydenta republiki, pomimo tytułu i majestatu monarszego.

Naród zabezpiecza się dalej przeciw wszelkim próbom autokratyzmu ze strony swego władcy, a czyni to w sposób zarówno prosty, jak uczciwy. „Gdyby król prawa, swobody, artykuły i pacta nadwierał lub ich nie dopełnił — zaznaczono w umowie zasadniczej — tedy obywatele będą uwolnieni od wierności i posłuszeństwa monarsze”. Chodziło przytem nie o „ludzką omyłność”, lecz wyraźnie o złą wolę, o świadome zamachy na prawa narodu, co sejm r. 1576 osobno zastrzegł, „aby i dla króla i dla obywateli wola Rzeczypospolitej nie była wątpliwą”. Ustawa r. 1609 „de non praestenda oboedientia” dokładnie określa postępowanie, jakie ma wyprzedzić ostateczne wypowiedzenie posłuszeństwa, nie jest to bowiem procedura ani krótka ani lekkomyślna. Jeśli król targnął się w sposób jawny i oczywisty na zaprzysiężone prawa, ma być uchwałą senatu trzykrotnie przestrzeżony i upomniany przez prymasa państwa i dopiero „w razie odrzucenia prośby”, w razie notorycznego szkodnictwa, może sejm rozwiązać umowę, której jedna ze stron nie dotrzymała. Naród tedy był obowiązany wyczerpać cały szereg prób porozumienia się z królem, zanimby wypowiedział mu wiarę. Ten stosunek warunkowej lojalności wobec panującego mógł w praktyce prowadzić do nad-

użyć. I temu jednak zapobiegało prawodawstwo polskie, ustanawiając najśrodsze kary na awanturników wzniecających zaburzenia pod pozorem, że król „na zgubę Rzeczypospolitej zamiary knuje”.

Artykuł „de non praestanda oboedientia” świadczy o wysokiej w Polsce czi dla prawa, które wyżej stawiano, niż osobę królewską. Rzecz charakterystyczna przytem, że warunek ten nie przeszkodził królowi tej siły moralnej, co Stefan Batory, sprawować rządów żelazną ręką i karać gardłem najpotężniejszych magnatów, gdy udowodniono im łamanie ustaw: ogół solidaryzował się z królem, który nie dopuszczał deptania praw i sam je uczciwie wypełniał.

Stosunek ten obywateli do osoby królewskiej (jeśli weźmiemy po za nawias Węgry, których swobody zresztą zaczynają gasnąć już w pierwszej połowie XVI w.) jest czemś nieznanem w dziejach reszty ówczesnej Europy, która naprzemian korzy się w prochu przed najdzikszymi wybrykami swoich władców i pozwala im po sobie deptać, to znowu rzuca ich sobie pod stopy, pastwi się nad nimi, więzi, truje, ucina głowy i t. d. Naród polski załatwia swe porachunki z monarchą uczciwie i jasno, jak przystało ludziom wolnym. Gdyby nie mógł dłużej znosić jego panowania, wówczas stanie przed nim z podniesionem czołem, oko w oko, bez niewolniczego podstępu, w biały dzień, i z ręką na księdze praw przypomni artykuł „de non praestanda oboedientia”, artykuł, który przewiduje poprostu rozwiązanie obopólnej umowy. „Chceszli starzec się między nami — woła naród polski do swego władcy — szanuj nasze swobody”. Jeśli nie, tedy król będzie odesłany tam, skąd przybył, z całym dla majestatu respektem i z pełnem swej osoby bezpieczeństwem. Nic złego nie stanie mu się wśród Polaków. Nie błyśnie przed nim w cieniach nocy maska najętego zbira, nie zagrozi mu sztylet, trucizna ani szarfa. Przez całych ośm wieków swojego bytu państwowego i przez ciąg czterdziestu

kilku różnych panowań Polska nie zna ani jednego wypadku królobójstwa. W nowszym okresie dziejów od chwili gdy zaczyna się rozwijać władza sejmu, szlachta żyje w nieustannej obawie przed „absolutum dominium“, którego wzrost widzi w całej Europie, czuwa ciągle, aby korona nie nadużyła swoich praw na szkodę swobód obywatelskich, ale królów nie wlecze na szafot, nie morduje skrytobójczo. Król w Polsce nie potrzebował też nigdy otaczać się strażą, obracał się wśród swego narodu śmiało i swobodnie. Zygmunt Stary mówił, że niema w całej Rzeczypospolitej ani jednego człowieka, na którego pierś spokojnie by nie zasnął. Bohaterski oswobodziciel Wiednia, Sobieski, który słynął z popularności, nie wahał się stanąć do tańca wśród szarego tłumu, na weselu u prostego kowala, jak wolny człowiek wśród wolnych ludzi.

Ten wybitnie charakterystyczny rys polskiego społeczeństwa, iż nigdy nie rozprawiało się z panującymi w sposób podstępny i zbójcecki, lecz jawnie i po rycersku, mógł powstać tylko tam, gdzie równie jawnie i otwarcie głoszona była zasada, że nie naród istnieje dla króla, lecz król dla narodu, zasada nawskroś nowoczesna, wyznawana w Polsce wówczas, gdy dokoła państwa europejskie coraz bardziej staczały się na poziom prywatnej własności swych monarchów.

SZLACHTA POLSKA.

Liczebność. „Naród szlachecki“ i jego uwarstwienie. Możliwość karmazyni, tłum. Odrębny charakter szlachty polskiej. Równość szlachecka. Nobilitacje. Udział krociowej masy w życiu publicznym.

Aby mózdz ocenić w właściwy sposób przeszłość dziejową Polski, trzeba uprzytomnić sobie, że szlachta nie była tu, jak gdzieindziej, cienką tylko warstwą zwierchnią, lecz tworzyła ogromny, niezmiernie liczny odłam narodu, tak liczny, jak w żadnym innym kraju Europy. Liczebność ta była specyjalną cechą polskiej budowy społecznej. Gdy n. p. Francya z końcem XVIII w. na 20 milionów mieszkańców ma szlachty 140.000, więc niespełna 1½%, to Rzeczpospolita polska na 10 milionów mieszkańców w tym samym czasie liczyła z górą milion (niektórzy historycy podają 1.300.000) samej szlachty, co czyni 10—13% ogółu ludności. Niebywały ten odsetek przestanie dziwić, gdy przyjrzymy się wewnętrznej strukturze warstwy szlacheckiej polskiej. Jest ona w najwyższym stopniu zróżniczkowana, zawiera w sobie uwarstwienia, które bez mała odpowiadają budowie pełnego organizmu społecznego. W obrębie pozornie jednolitego „stanu“ mieszczą się cztery zgoła różne i mocno od siebie odcinające się grupy. U szczytu stoją wielkie rody magnackie, potężni dzierżyciele latyfundiów, przenoszących obszarom niejednokrotnie małe, a nawet średnie księstwa na zachodzie. Poniżej idzie liczne ziemiaństwo zamożne, odpowiadające angielskiej „gentry“, w którym jako dalsze odcienia można jeszcze rozróżnić „karmazynów“ i szlach-

te średnio sytuowaną, siedzącą na jednej lub paru wsiach. U dołu wreszcie rozlewa się niezmierna rzesza szlachty drobnej, ubogiej, zwanej szaraczkową, zagrodową czy zaściankową. Tu spotykamy właścicieli kilkumorgowych zaledwie działek ziemi, którzy ją sami własnoręcznie uprawiają, jak chłopci, nie posiadają bowiem wcale poddańców. Gospodarczo nie różnią się oni niczem od zwykłego chłopstwa, a często stoją niżej od chłopów lepiej uposażonych, n. p. z dóbr królewskich. „Politycznie wyniesieni ponad chłopów, materialnie nieraz gorzej uposażeni“, mówi o nich Pawiński („Polska XVI wieku“). Obok nich natomiast, lub raczej o stopień jeszcze w dół, widzimy bezrolny tłum szlachecki, zwany dosadnie „gołotą“, który żadnej własności nieruchomości nie ma, a zajmuje drobne urzędy, służy po dworach zamożnego ziemiaństwa lub czepia się pańskich klamek, często zaś niepostrzeżenie wsiąka do miast, chwytając się rzemiosła lub handlu.

W milionie szlachty polskiej ten proletaryat szlachecki, z ziemią czy bez ziemi, tworzy też główny odsetek. Pochodzenie tej warstwy jest różne. Wywodzi się ona czasem z nobilitowanych chłopów, częściej jest produktem ciągłego procesu rozdrabniania się własności ziemskiej, który przez działy rodzinne oraz klęski gospodarcze i wojenne, doprowadził do dwumorgowych nawet posiadłości szlacheckich. Już w połowie XVI wieku w różnych stronach Rzeczypospolitej, na Mazowszu, na Podlasiu, na Litwie i na Pomorzu kaszubskim, występuje licznie warstwa zwana urzędownie „nobiles pauperes“, szlachta uboga, szlachta, która coraz bardziej potem będzie się upodabniać do chłopstwa, aby za naszych wreszcie czasów, z utratą specyjalnych praw politycznych, schłopieć całkowicie. Zaludniła ona w Polsce całe wsie i całe niemal powiaty. Orał swą szczupłą skibę ziemi ów herbowy chudopacholek, nie odpasując przytem szabli na znak szlacheckiego urodzenia. Powtarzał sobie przysłowie, malujące

dobitnie poziom materialny całej tej „dobrze urodzonej“ biedoty: „Choć boso, a z kordem“!

To, iż szlachta polska nie stanowiła jednolitej warstwy społecznej, że rozpadała się na tyle różnych grup socjalnych, odcina ją w jaskrawy sposób od wszelkiej szlachty zachodniej. Ze tworzyła ogromną milionową masę ludności, czyni ją to zjawiskiem, nie posiadającym zgola analogii. Nie bez pozorów słuszności też, w poczuciu nie tylko swego uprzywilejowanego stanowiska, ale także tej wielkiej siły liczebnej, nazywała siebie poprostu „narodem szlacheckim“.

Pomiędzy poszczególnymi warstwami szlachty polskiej, oddzieleni od siebie przepaściami różnic majątkowych, istnieje zasadniczo idealna równość, słynna i z dumą wyznawana „równość szlachecka“, która stanowi jedną z najbardziej znamienitych cech życia publicznego w Polsce. Od Radziwiłła trzęsącego Litwą do ubogiego szaraczka, wszyscy, bodaj w teorii, uznają się za równych, jako szlachta, a tylko piastowanie urzędów publicznych wywyższa jednych nad drugich. Na znak równości szlachta bez różnicy stanowiska nazywa się „bracią“. Moźnowładca, sięgający głową poziom korony królewskiej, odzywa się do chudopacholka szlacheckiego odwiecznym obyczajem: „panie bracie“. Duch narodu kodyfikuje to w popularnym i ulubionym przysłowiu, które stwierdza, że „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie“. Istotnie, pod względem prawnym — pominąwszy niewiele tylko znaczące drobiazgi — żadne nie zachodzą różnice między poszczególnymi warstwami ogółu szlacheckiego. Wszyscy to samo zajmują stanowisko prawne w państwie. Przed wszystkimi w jednakiej mierze stoi otworem udział w sprawach publicznych i droga do najwyższych zasług i największych godności, niewyluczając — królewskiej. Dobitnie ilustrują to w praktyce losy rodziny Poniatowskich, w której dziad był nieznanym nikomu szlachetką.

syn już pierwszym senatorem Rzeczypospolitej, a wnuk królem.

Równości tej strzeże szlachta polska między innemi bezwarunkowym zakazem ubiegania się o tytuły baronów, hrabiów i książąt, co liczne i wciąż ponawiane uchwały sejmowe przypominają każdemu pokoleniu, wychodząc z zasady, że nie masz zaszczytu większego, niż być obywatelem wolnej Rzeczypospolitej. Wyjątkowo tylko rodóm książęcym na Litwie i Rusi, które wywodziły się od panujących tam niegdyś drobnych władców, a podpisane były na akcie unii lubelskiej, pozostawiono wolność nazywania się nadal kniaziami. Król polski nie posiadał władzy nadawania tytułów szlacheckich krajowej, mógł ich udzielać jedynie cudzoziemcom, a ustawa z r. 1673 nakładała karę dożgonnej infamii na tych, którzy przez przyjęcie tytułu od obcego monarchy poważyli się obrazić zasadę równości. Tak samo, aż do końca niemal, nie dopuściła szlachta do zaprowadzenia orderów. Próbę Władysława IV ustanowienia orderu Niepokalanego Poczęcia sejm udaremnił. Dopiero w połowie XVIII wieku wśród powszechnego zamętu przemyciono pierwszy polski order Białego Orła.

Duch polskiego „narodu szlacheckiego“ był zatem republikański i demokratyczny w pełnem tego słowa znaczeniu. Dumny ze swoich swobód, jakich nigdzie nie było na kontynencie, a nieraz nad miarę niemi upojony, nigdy przecież, z wyjątkiem zdeprawowanych pokoleń z końca XVII i pierwszej połowy XVIII wieku, nie zamykał się całkowicie przed dopływem z innych warstw ludności. Szlachta polska nie uległa niebezpieczeństwu wyrodzenia się w bezwzględnie skostniałą kastę, lecz zachowała cechy wciąż odnawiającego się organizmu, przyczem droga do tego uprzywilejowanego stanu prowadziła nie przez bogactwo i wpływy, lecz przez zasługę rycerską, która była dostępną i najuboższemu; jestto tem znamiennejsze dla charakterystyki ducha narodowego, że od po-

łowy XVI wieku nie król posiadał w Polsce prawo nobilitacji, lecz sejm, a więc sam „naród“. W żadnym z krajów Europy nie było tak licznych nadań szlachectwa i nie było o nie tak łatwo¹. Znanem zjawiskiem jest uszlachecanie gromadne całych wsi chłopskich za czyny wojenne. Hetman Zamoyski po zwycięstwie pod Wielkimi Łukami przyjął do swego herbu rodzinnego znaczną część żołnierzy, który to przykład nieraz się potem powtarzał. Szczególnie wielu włóścian służących wojskowo nobilitowano po wyparciu Szwedów za Jana Kaźmierza w nagrodę za oswobodzenie kraju od nieprzyjaciela. Za króla Zygmunta Augusta mnóstwo mieszczan otrzymało szlachectwo. Automatycznie zyskiwali je profesorowie Akademii krakowskiej. Do stanu rycerskiego zaliczeni zostali nawet Tatarzy osadzeni na Litwie, chociaż od ogółu szlachty oddzielała ich przepaść różnicy religijnej i w pojęciu głęboko katolickiego społeczeństwa polskiego byli oni „niewiernymi“. Rzecz najbardziej jednak znamienita, że przypuszczano do klejnotu herbowego — ochrzczonych oczywiście — żydów, więc żywioł bezbrzeżnie wówczas wszędzie lekceważony i pogardzany. Nobilitowano ich już w wieku XVI. W połowie XVIII wieku obdarzono szlachectwem wiele rodzin żydowskich, należących do sekty t. zw. Frankistów.

Z powyższego przedstawienia rzeczy wynika jasno, że udział w szerokich swobodach politycznych w Polsce, udział w życiu publicznem i wpływ na sprawy państwa posiadała nie jakaś nic nie znacząca garść oligarchów, lecz wielki odłam narodu, milionowa, wciąż pomnażająca się masa ludności. Do urn wyborczych stawalo w Pol-

¹ „Mężowie rycerscy przyjmowali do braterstwa swego coraz więcej ludu, przyjmowali całe pulki i całe pokolenia. I stała się liczba braci wielką jako Naród, i w żadnym Narodzie nie było tylu ludzi wolnych i bracią nazywających się, jak w Polsce“. [Mickiewicz: „Księgi narodu polskiego“].

sce 200.000 szlachty. Liczebny stopień tego udziału unaczni się najlepiej stwierdzeniem, że Francya za Ludwika Filipa (1830—1848), jak to ze słuszną dumą mógł Zygmunt Krasiński podnieść w liście do Lamartina, posiadała odsetek obywateli uprawnionych do głosowania do ciał przedstawicielskich — mniejszy, niż Polska przed trzema wiekami.

U N I E.

Swobody wewnętrzne źródłem wzrostu mocarstwowego. Siła przyciągania. „Wolni z wolnymi, równi z równymi“. Unie z Prusami, Inflantami, Litwą. Podstawy zjednoczenia z Litwą. Autonomizm polski. Jak u nas „wynaradawiano“? Patryotyzm państwowy. Dysonans kozacki. Trwałość unij.

Ustrój wewnętrzny, oparty na wysoko rozwiniętej wolności, gwarantujący tak szczodry wymiar praw i swobód obywatelskich, począł wywierać z czasem wpływ atrakcyjny na inne narody i wywołał w następstwie potężny wzrost mocarstwowo państwa polskiego. Droga specyficznie polską, nigdzie indziej niespotykaną w tej postaci, drogą Unij ze sąsiednimi państwami i ludami, małe stosunkowo państwo Piastów powiększa coraz to bardziej swoje obszary. Narody sąsiednie, podlegające w domu twardej ręce autokratyzmu lub samowoli oligarchicznej, a pociągnięte urokiem praworządności i swobód, jakie społeczeństwo polskie potrafiło u siebie rozwinąć, poczynają ciążyć ku niemu i zgłaszać dobrowolnie swe przystąpienie do związku z Polską. Przez dwa wieki, od początków wieku XV do końca XVI, trwa szereg tych bezprzykładowych akcesów, dzięki którym Rzeczpospolita polska urasta z czasem do rozmiarów największego mocarstwa w Europie.

Przy zawieraniu unii z Litwą postawiła Polska nieśmiertelną w swej prostocie zasadę: „wolni z wolnymi i równi z równymi“ i zastosowaniem jej osiągnęła zdumiewające wyniki. Prof. St. Kutrzeba podnosi, iż naprzekór

utartej teorii, jakoby w rozwoju państwa tylko absolutyzm objawił wszędzie siłę spajającą, Polska XVI i XVII wieku ze swym bujnym rozkwitem przewagi czynnika społecznego nad władzą monarszą potrafiła przeprowadzić jedność państwa o wiele lepiej, niż np. despotycznie rządzone Włochy lub Niemcy. W XVIII wieku Niemcy rozpadały się na półtrzęciej setki udzielnych kraików, wtedy gdy Rzeczpospolita polska stanowiła terytoryalną jedność państwową, mimo, iż w przeciwieństwie do narodowo jednolitych Niemiec jej materyał budowlany przedstawiał się niemal jako mozaika etniczna.

Łączącą siłę pięści zastąpiła tu skuteczniej łącząca siła miłości pojętej tak dosłownie, iż pierwszej unii Polski z Litwą towarzyszyły liczne małżeństwa, zawierane między szlachtą obu krajów. „Związkiem miłości“, więc niby mistycznym małżeństwem dwóch narodów, nazwano wręcz dalszą, ściślejszą unię polsko-litewską w Horodle r. 1413, której akt przez Polaków ułożony rozpoczynał się charakterystycznym wyznaniem: „Nie dozna łaski zbawienia, kogo nie wesprze miłość. Ona jedna nie działa marnie: promienna sama w sobie, gasi zawiści, uśmierza swary, użycza wszystkim spokoju, skupia co się rozpierzchło, podźwiga co upadło, wygładza nierówności, prostuje krzywe, wszystkim pomaga, nie obraża nikogo, a ktokolwiek się schroni pod jej skrzydła, ten znajdzie bezpieczeństwo i nie ulegnie się niczyjej groźby. Miłość tworzy prawa, włada państwami, urządza miasta, wie dzie stany Rzeczypospolitej ku najlepszemu końcowi, a kto nią pogardzi, ten wszystko utraci. Dlatego też my wszyscy zebrani, prałaci, rycerstwo i szlachta, chcąc spocząć pod pokierem miłości i przejęci pobożnem ku niej uczuciem, niniejszym dokumentem stwierdzamy, że łączymy i wiążemy nasze domy i pokolenia, nasze rody i herby...“

Polska zapisała w dziejach cały szereg takich dobrowolnych do siebie przystąpień.

W r. 1454 stany pruskie z miastami prawie czysto nie-

mieckimi i szlachtą w znacznej części niemiecką lub ziemczoną wypowiedziały posłuszeństwo oligarchicznemu rządowi Zakonu krzyżackiego i zwróciły się do Polski z prośbą o inkorporację. W dwanaście lat po tem zgłoszeniu się stanęła unia Prus z Polską. Odtąd, od roku 1466, jest pruskie Pomorze gdańskie integralną częścią Rzeczypospolitej, zachowując atoli pod względem ustrojowym szeroką wewnętrzną samodzielność. Nowa prowincja posiada odrębne prawo sądowe, t. zw. korekturę pruską, odrębny sejm, odrębny skarż z podskarżim pruskim. Do końca istnienia Rzeczypospolitej posłowie pruscy, kładąc podpisy na aktach elekcyi królów, zaopatrywali je zastrzeżeniem: „salvis per omnia iuribus terrarum Prussiae“. W granicach tychże Prus jeszcze dalej idącą odrębność administracyjną i sądową zachowuje Warmia z biskupem swym, jako księciem na czele. Do tego stopnia sięga swoboda, że nietylko niemczyzna w tych przyłączonych ziemiach zatrzymuje cechy języka urzędowego w magistratach, ale posługuje się nią nawet kancelaryja królewska w stosunkach z miastami pruskiemi, czego przestrzega jeszcze w dwieście lat później tak typowo narodowy król, jak Jan III. W roku 1525, z wygaśnięciem dynastyi Piastów, księstwo Mazowieckie wyrzeka się swej udzielnosci i przystępuje do dobrowolnego związku z państwem polskiem: i ono zachowuje przez długi czas odrębne urządzenia, między innemi własne zwyczaje prawne, skodyfikowane pod nazwą „exceptów mazowieckich“. W roku 1561 akces do Polski zgłaszają Inflanty. Zagrożone pod rządami Zakonu mieczowego zaborem przez rosnącą potęgę Moskwy, niemieckie to i przeważnie już protestanckie państewko duchowne, mające do wyboru z jednej strony jednowierczą i pokrewną plemiennie Szwecyę i Danię, z drugiej katolicką Polskę, wybiera tę ostatnią ze względu na widoki uzyskania najszerszego samorządu. Istotnie, wcielone do Rzeczypospolitej polskiej Inflanty zachowują obok pełnej swobody wy-

znaniowej oddzielne władze, własne sądownictwo, a początkowo osobny sejm. Stopniowo, bez żadnego ze strony polskiej nacisku, dokonała się ściślejsza nowego kraju asymilacja z całością państwa.

Równolegle do tych trzech mniejszych unii, z Prusami, Mazowszem i Inflantami, rozwija się wspomniane już na wstępie olbrzymie, zarówno ze względu na rozmiary terytoryalne, jak na znaczenie dziejowe, epokowe dzieło unii z Litwą historyczną, krajem, który obszarem swym niewiele ustępuje Francji. Przedstawia się ono jako szereg coraz ściślejszych umów, zawieranych między oboma państwami w przeciągu lat dwustu, jest zatem wytworem niezwykle dojrzałej ewolucji. Wśród całego łańcucha ponawianych w obrębie tego czasu unii polsko-litewskich wybijają się trzy główne etapy. W roku 1386 zawartą została pierwsza, personalna unia Polski z Litwą przez powołanie na tron polski wielkiego księcia Litwy, Jagielly, i poślubienia przez niego królowej polskiej Jadwigi. W roku 1413 doszła do skutku unia w Horodle, w której oba narody poręczyły sobie trwałe porozumienie co do następstwa tronu, a szlachta litewska otrzymała zadatki swobód i praw politycznych, jakie już posiadała szlachta polska. W 156 lat po tem nowem zbliżeniu i zrównaniu, po utrzymaniu przez cały ten czas wspólnej dynastii, gdy wewnętrzne upodobnienie się ustroju i ducha obu państw dokonało się już w głównych zarysach, nastąpiła w roku 1569 na sejmie lubelskim ostateczna, tym razem realna unia Polski z Litwą, która nienaruszona miała przetrwać, dopóki przemoc z zewnątrz nie obaliła świetnej budowli, wzniesionej rozumem naszych praocjów.

Oba państwa posiadały odtąd wspólnego monarchę, który był w jednej osobie królem polskim i w. ks. litewskim, oraz wspólny sejm, który zbierał się naprzemiennie w Warszawie i Grodnie a przewodniczył mu również na zmianę marszałek z Korony lub Litwin. Wspólnie występowały zjednoczone kraje na zewnątrz jako jedna Rzecz-

pospolita, wspólnych miały sprzymierzeńców i wrogów, wspólnie zawierały traktaty i prowadziły wojny. Poza tem pozostawały odrębne dziedziny życia i odrębne instytucje dla każdej połowy. Sejm walny, złożony z posłów i senatorów polskich i litewskich, uchwalał ustawy bądź dla całej Rzeczypospolitej, bądź specjalnie dla Korony lub Litwy. Zatrzymywały oba państwa własną administrację centralną, oddzielne skarby, osobne wojsko, odrębne sądownictwo aż do trybunału ostatniej instancyi. (W sądach litewskich, zorganizowanych według polskiego wzoru, obowiązywał miejscowy kodeks praw, t. zw. Statut litewski). Władza kanclerzy, podskarbich, marszałków i hetmanów koronnych wraz z całą im podwładną hierarchią nie sięgała na Litwę i odwrotnie. Obustronna ta autonomia szła tak daleko, że piastować urzędy mogła na Litwie tylko osiadła szlachta litewska, w Koronie tylko koronna¹. W praktyce nie zaznaczała się owa dwoistość państwa tak silnie, skoro ustrój prawny, administracyjny, skarbowy i wojskowy był tu i tam niemal zupełnie zgodny, skoro zwłaszcza osią, około której obracało się życie publiczne, był jeden sejm walny, nie tylko spełniający funkcje ustawodawcze, ale i kierujący całą polityką. Niemniej Litwa posiadała w stosunku do Polski aż do epoki rozbiorów niczem niezachwiane stanowisko państwa współrzednego i odrębnego, jakkolwiek mieszkańcy obu krajów — mowa tu oczywiście o warstwach wyposażonych w prawa polityczne — dzięki swobodom, które ich łączyły, czuli się przedewszystkiem obywatelami wspólnej Rzeczypospolitej.

Lecz prócz autonomii terytoryalnej zna Polska jeszcze

¹ Oto przykład, jak zasady tej strzeżono. W roku 1579 zdarzyło się, że biskupem krakowskim zamianowany został Litwin, Jerzy Radeviłł, naodwrot zaś biskupstwo wileńskie miał objąć Polak. Wynikła o to zasadnicza sprawa. Zarówno Litwini, jak Polacy, uznali zgodnie, że precedens taki jest niedopuszczalny i rzecz zakończyła się w ten sposób, iż desygnowany do Wilna Polak wcale nie objął urzędu.

autonomię obcoplemiennych grup nie zajmujących nigdzie zwartego obszaru. Ormianie, mieszkający w południowych miastach Rzeczypospolitej, posiadali własne sądownictwo i odrębny „statut ormiański”, zatwierdzony przez polskie władze i normujący wewnętrzne stosunki prawne tego handlowego ludu. Żydzi mieli przez długie wieki w Polsce zupełnie samodzielną organizację swego wewnętrznego życia, wyposażoną nawet w organy centralne. Dwa razy w roku zbierały się „generalne sejmy żydowskie” (*Congressus generalis judaicus* — od r. 1582 do 1764), osobno w Koronie i osobno na Litwie, które składały się z przedstawicieli gmin wyznaniowych i jako najwyższa instancja załatwiała różne sprawy objęte żydowską autonomią. Sejmom tym przyznane było prawo rozdziału według własnego uznania podatków, jakie Rzeczpospolita ryczałtowo nakładała na ludność żydowską. Posiadali żydzi wreszcie własne sądownictwo. Żyd oskarżał żyda tylko przed sądem żydowskim. Dopiero gdy żyda oskarżał chrześcijanin, lub odwrotnie, sprawa przychodziła pod sąd królewskiego wojewody, ale i tu zasiadał ławnik żydowski, którego współudział był konieczny dla prawomocności wyroku. O rozległej autonomii żydów w Polsce odzwierciedlają dziś z zachwytem pisarze narodowo-żydowscy. „Jeżeli gdziekolwiek — mówi Dr. M. Rosenfeld (*„Polen und Juden“*, Berlin 1917) — dążymy do autonomii narodowej, to jako ideał przyświeca nam to, cośmy posiadali już w Polsce. Pragniemy powrotu do dawnych tradycji, chcemy starego samorządu, jaki niegdyś w Polsce kwitnął”¹.

¹ Nietylko jednak prawo było tak szczodre dla żydów. W parze z tem szła wysoka kultura humanitarna społeczeństwa. Historyk żydowski dr. Mojżesz Schorr stwierdza w stosunku tego społeczeństwa do ludności starozakonnej „czysto ludzki moment poszanowania godności człowieka żydów w odróżnieniu od wszystkich innych krajów”, który między innemi wyraził się tem, że znany na Zachodzie jaskrawy symbol pogardy dla żydów, t. zw. żółta łata w ciągu dwóch

Obek odrębności ustrojowych posiadała różnolita ludność Rzeczypospolitej aż do końca jej bytu całkowitą swobodę języka. Ze strony żywiołu polskiego, niezawodnie górującego kulturą nad olbrzymią większością narodów i plemion, które wchodziły w skład wspólnego związku państwowego, nie było pod względem językowym żadnego zgoła ucisku. Nikogo Polska nie „wynaradawiała”. Niemniej wyższe warstwy niepolskie w Rzeczypospolitej, przede wszystkim litewskie i ruskie, przyjęły z czasem całkowicie język polski za swój, nie tracąc przytem poczucia odrębności narodowo-terytorialnej, co w pewnych swoistych formach przejawiało się nawet u takich ludzi, jak Kościuszko. Pomimo, że nowoczesne pojęcie wynaradawiania było na ogół obcem tamtej epoce, musimy sprawie tej poświęcić chwilę uwagi z dwóch przyczyn. Po pierwsze dlatego, aby wywlec pod światło faktów historycznych oszczerczy fałsz pewnych, mianowicie rosyjskich i niemieckich pisarzy, jakoby dawna Polska, „uciskała narodowo” złączone ze sobą ludy. Powtóre, ponieważ nie brak jednak przykładów, że nawet za czasów istnienia Rzeczypospolitej zdarzały się kraje, w których przedwcześnie dojrzała myśl celowej i siłą przeprowadzonej unifikacji językowej: wystarczy przytoczyć, że np. w Prusiech już w połowie XVIII wieku w brutalny sposób germanizowano Polaków śląskich, między innemi rafinowanym, choć zresztą krótkotrwałym ukazem Fryderyka II, zabraniającym dawania ślubu parom, które nie wykażą się dostateczną znajomością języka niemieckiego. (Buzek: „Historia polityki rządu pruskiego wobec Polaków”).

Ze strony oszczerców obcych wysuwa się głównie zarzut, że Polska „wynaradawiała” wyższe warstwy na Li-

stuleci 1370—1538 w prawodawstwie polskiem spotykany tylko cetero razy, a potem już niespotykany wcale, był „w praktyce wogóle całkowicie nieznanym”. [Schorr: „Rechtstellung u. innere Verfassung der Juden in Polen“, Berlin 1917].

twie i Rusi litewskiej. Wystarczyłoby zapewne powołać się na fakt, iż Litwa stanowiła w stosunku do Korony państwo odrębne z własnym, jak to widzieliśmy, rządem, administracją, sądownictwem i armią, aby wykazać całą niedorzeczność przypuszczenia, iżby Polacy mogli narzucać jej swój język. Ale nie poprzestańmy na tym walnym dowodzie i sięgnijmy głębiej.

Nie mogło być mowy o wynarodowieniu wyższych warstw litewskich, gdyż one w chwili pierwszej osobistej unii z końcem XIV wieku oddawna były językowo wynarodowione, uległszy wpływowi bardziej podówczas wyrobionej białoruszczyzny. Język ten był urzędowym na Litwie, w nim zredagowany był sądowy Statut Litewski. Językiem białoruskim w chwili zetknięcia się z Polską posługiwali się bojarzy i panowie litewscy w sprawach nie tylko państwowych, lecz i rodzinnych. Tym językiem najbieglej sam władał i porozumiewał się z Polakami Jagiello. Już Kromer pisał: „Odkąd jęła Litwa po rusku mówić, litewski język nie był użyteczny”. Zauważono słusznie („Polska i Litwa dawniej i dziś”), że wobec tego mogłaby być mowa chyba o „ucisku ruskim”, co zresztą byłoby także nonsensem, ponieważ nie Ruś panowała nad Litwą, ale Litwa nad Rusią. Taki stan rzeczy zastali Polacy w epoce unii. Zmienić w nim prawnie nic nie mogli i nie zmienili, gdyż władza ich nie sięgała po za Koronę ani wtedy, ani później. Życie dopiero sprowadziło zmiany. Zbiałoruszczona niegdyś dobrowolnie szlachta litewska poczęła z czasem również dobrowolnie ulegać wpływom polszczyzny — język białoruski zaczął ustępować w użyciu potocznym przed wykształcenijszym językiem polskim. Polonizacja, która była procesem działającym wolno przez parę pokoleń, zatoczyła kręgi wśród wyższych warstw społecznych, całej już teraz Litwy Jagiellońskiej. Stopniowo, nieznacznie, bez żadnego nacisku szlachta zarówno rdzennie litewska, jak białoruska (a równolegle z tem w Koronie i ruska) poczęła mówić i my-

sleć po polsku. Do jakiego stopnia nie było w tej metamorfozie językowej najmniejszej presji ze strony Polaków, świadczy fakt, że już po dokonanych procesie owej polonizacji język białoruski pozostał i nadal językiem na Litwie urzędowym, językiem kancelarii W. Ks. Litewskiego i siłą rozpędu wciąż jeszcze obowiązywał w aktach urzędowych. Już w XVII wieku coraz częściej, a potem stale, powtarzało się przez długi czas jedyne w swoim rodzaju curiosum, że szlachta litewsko-białoruska podawała do sądów akty pisane po polsku, a sądy, stosując się do przepisów niezmiennych jeszcze prawa, opatrywały je wciąż formułkami ruskimi. Tym sposobem przetrwała białoruszczyzna szlachecka na Litwie ocale niemal stulecie swą likwidację w życiu. Oto — ucisk.

Czy mogła być w takich warunkach mowa o jakimkolwiek „tępieniu” przez Polaków języka — litewskiego? Już fakt, że sama szlachta litewska go porzuciła, uchyla potrzebę odpowiedzi. Polacy odnosili się do tego języka ludu z tem samem poszanowaniem odrębności, jakie na tyłu innych spotykaliśmy połącz. Wynaradawianie nie było prosto kunsztem polskim. Jako ilustrację do stosunku ukształconego o tyle wyżej żywiołu polskiego do pogardzanej naówczas mowy litewskiej warto przytoczyć, że zanim jeszcze ustalono prawnie zasadę, iż Polak nie może piastować urzędu na Litwie i odwrotnie, gdy duchowieństwo z Korony szło na Litwę dla ugruntowania wiary chrześcijańskiej i gdy Kazimierz Jagiellończyk pragnął wysłać na biskupstwo wileńskie Sędziwoja z Czech, otrzymał od tego Małopolanina znamiennej odpowiedzi: „Miłościwy królu, nie umiem po litewsku i już jestem za stary, abym się tego języka mógł łatwo nauczyć”. Historyk uchrześcijania Litwy ks. dr. Jan Fijałek („Polska i Litwa w dziejowym stosunku”) na podstawie żmudnych badań stwierdza, że lud litewski przez cały czas istnienia Rzeczypospolitej, t. j. i wtedy, gdy polszczyzna była tam językiem całkowicie panującym w warstwach wyższych, znajdował

pełną opiekę dla swej mowy ze strony spolonizowanej już szlachty i Kościoła. Przytoczywszy długi szereg faktów i dokumentów z dziedziny wyznaniowej, autor wspomniany pyta: „Gdzie są tego rodzaju pomniki u innych w Europie narodów, któreby uwzględniały tak jak w Kościele polskim wszystkie języki miejscowej ludności?” Nie znajdziemy ich w każdym razie u niemieckich rycerzy krzyżowych, którzy równocześnie ogniem i mieczem usiłovali „nawracać” plemiona letonskie.

Nieliczni tylko z wykształconych Litwinów kultywowali język litewski. Do takich należał kanonik Mikołaj Dauksza, który z końcem XVI wieku po litewsku pisał i drukował. Otóż wymowny i charakterystyczny był stosunek tego pisarza litewskiego do polszczyzny. Możemy o tem przekonać się ze wstępu jego do litewskiego przekładu postylli Wujka. We wstępie tym Dauksza mówi: „Z przyrodzenia każdy, jako do swej nacyi i krwi, tak do swego języka chęć ma większą i mocno się do niego przywiązuje. Lecz to nie tym umysłem mówię, abym miał ganić umiejętność postronnych języków, zwłaszcza polskiego, który nam przez ono miłe zjednoczenie W. Księstwa ze sławną Koroną Polską niemal przyrodzonym jest, ale tylko ganię zbrzydzenie i niemal odrzucenie języka naszego, właśnie litewskiego“ i t. d. Więc nawet i ten miłujący swą starą mowę plemienną klasyczny świadek nie mógł oskarżać i nie oskarżał Polaków o wynaradawianie. Polonizacja była, dobrowolną. Źródło jej stanowiła nie sama siła przyciągająca kultury naszej w utartem i ważkiem tego słowa znaczeniu, a więc kultury umysłowej, która tak wysoko stanęła już za Zygmuntoów, ale przede wszystkim siła przyciągająca *polskiej kultury politycznej*. Ze wpływ stanowczy wywierały na czynniki ideowe, że była to najgłębsza i najszlachetniejsza asymilacja — przez Wolność, o tem świadczy fakt, iż spolszczyły się językowo nie tylko zwierzchnie warstwy rusko-litewskie, które kulturalnie stały niżej od nas, lecz także — na kresach

zachodnich i północnych szlachta niemiecka, która pod względem rodzimej kultury intelektualnej nie ustępowała bynajmniej Polakom. Jeżeli spolszczeniu językowemu uległy na zachodnich naszych kresach rody Kalksteinów, Denhoffów, Szlichtyngów, Weyherów i Wolszlegierów, oraz dziesiątki innych, o między tylko od macierzystych dla siebie krajów niemieckich, z których dobytku kulturalnego my sami czerpaliliśmy niejednokrotnie, to działał tu jedynie urok atrakcyjny tych wolności i swobód, w które tak bogata była Rzeczpospolita, a których nie było po tamtej stronie zachodniej granicy. Na tej samej podstawie opierała się polonizacja szlachty bałtyckiej, owych Platerów, Zyberków, Hylzenów, Borchów, Weyssenhoffów, Tyzenhauzów, Manteufflów, Romerów, Mohlów, którzy tylu znakomitych, oddanych i wiernych synów dostarczyli polskiej ojczyźnie, rodów tak daleko od ognisk umysłowej kultury polskiej i oddalonych, jak daleko było z Inflant do Warszawy i Krakowa¹.

Zasadniczą tedy cechą państwowości naszej była wolność i tolerancja ustrojowa dla wszystkich przejawów odrębności historycznej, czy cywilizacyjnej, lub nawet tylko plemiennej i językowej. Każda skryształizowana indywidualność zbiorowa korzystała w granicach Rzeczypospolitej z pełnych praw do życia i mogła swobodnie się rozwijać.

Na gruncie tak rozwiniętego ustroju wytworzył się w Polsce patryotyzm państwowy, niepodobny zgola do tego, co współcześnie widzimy gdzieindziej, patryotyzm

¹ Analogię do przyciągającej siły polskich ideałów wolnościowych stanowi wpływ asymilacyjny, jaki Francja wywarła na Alzację, w okresie Wielkiej Rewolucji. W gorącej atmosferze wielkich haseł wszechludzkich, które promieniowały z Paryża, niemiecka z pochodzenia i z języka Alzacja stała się duchowo do głębi francuską. W czasie wojen republiki i wojen Napoleońskich Niemniej, jak 62 generałów francuskich pochodziło z tego kraju, a nazwiska 28 wryto na Łuku tryumfalnym w Paryżu.

niemal nowoczesnego typu. Swobody polityczne, szerokie i bujne, wiązały każdego obywatela mocno z państwem, kazały mu cenić tę „Najjaśniejszą Rzeczpospolitą”, jako gwarantkę rozlicznych wolności. „Ojczyzna wasza — mógł słusznie mówić z początkiem XVII wieku Skarga — matką wam jest, a nie macochą, na rękę wam swoich nosi, a krzywdy żadnej cierpieć nie dopuści”, gdy poddani innych państw „uciśnienie i tyranie cierpią”. Szlachcic polski, współrządca swego kraju, dumny swem prawnie zabezpieczonym stanowiskiem człowieka prawdziwie wolnego, patrzył z politowaniem na autokratycznie rządzących sąsiadów z zachodu, a z pogardą na niewolniczo podległe ludy najbliższego wschodu i tem wyżej musiał szacować organizm polityczny własnego państwa¹. Świadomość ostrej odrębności w stosunku do sąsiednich narodów wytwarzała na wewnątrz poczucie wspólnoty bez względu na plemienne, językowe i wyznaniowe różnice, jakie dzieliły mieszkańców rozległej Rzeczypospolitej. Na ogromnych obszarach od morza Bałtyckiego do morza Czarnego wśród odmiennych żywiołów etnicznych i kulturalnych, nachylających się bądź ku łacińskiej, bądź ku bizantyńskiej cywilizacji, istniał jeden mocno zarysowany patriotyzm państwowy — polski, czerpiący siłę swą w fakcie, iż cała ta różnolita masa politycznie czynnej warstwy ludności oddychała pełnią swobód obywatelskich.

W długim szeregu pokoleń nie wykazuje historia ani jednej próby zerwania tego świętego związku państw i narodów, jaki wytworzył geniusz dziejowy polski. Zwią-

¹ „Nigdy Polacy — pisał Kościuszko w r. 1814 do historyka angielskiego Jamesa Mackintosha — nie poddadzą się z własnej woli jarzmu cudzoziemców, albowiem ich charakter zbyt się różni od charakteru ich sąsiadów”. Ten „różny charakter” był w znacznej mierze wytworem wielowiekowej odrębnej kultury politycznej i on to przedewszystkiem udaremnił próby zjednoczenia rozdartych części Polski z państwami rozbiorowemi, które wyrosły na podstawie ideologii wręcz przeciwnej.

zek Polski i Litwy, ze względu na odmienność pierwiastków politycznych, które go utworzyły, oraz na niespożyty swą trwałość, stoi jako zjawisko odosobnione w dziejach. Unia kalmarska trzech państw skandynawskich (1379) przetrwała zaledwie jeden wiek, a upadła, jak mówi historyk Danii, Dahlman, dlatego, gdyż opierała się głównie na sile materyjalnej i była sprawą panujących, nie sprawą ludów. Unia polska okazała się wewnętrznie niezniszczalną.

Jedyny wybitny dysonans w dziedzinie współzycia ludów zamieszkujących Rzeczpospolitą tworzy powstanie Kozaczyzny w połowie XVII wieku.

Powstanie to, które zawichrzyło kraj i podcięło jego siłę państwową, było atoli ruchem głównie socyalnym, przynajmniej w pierwszej fazie swego rozwoju. Jaką rolę grał w niem czynnik narodowo-polityczny, oświecla między innemi fakt, że przedstawicielem Rzeczypospolitej, wysłanym do pertraktowania z Kozaczyzną, był wojewoda Adam Kisiel, Rusin i schizmatyk. W roku 1658 przyszło między Polską i Ukrainą do ugody w Hadziaczu. Rozszerzała ona unię lubelską i przekształcała Jagiellońską Rzeczpospolitą w związek federacyjny polsko-litewsko-ukraiński, w którym Ukrainie przypadał podobny stosunek do Korony, w jakim do niej pozostawała Litwa. Lecz akt ten przyszedł niestety za późno. Zniweczyła go Moskwa ku szkodzie zarówno Polski, jak Ukrainy. Polityka wobec Kozaczyzny, i wogóle schizmatycznej Rusi, przypadająca na czasy upadku naszej myśli politycznej, upadku tolerancji i zdolności łączenia żywiołów różnorodnych, była jednym z największych błędów i jedną z najcięższych win, jakie obarczyły naszą przeszłość. Polska odstąpiła tu od zasad, którym zawdzięczała pomyślność wewnętrzną i siłę na zewnątrz i odstępowo to zemściło się na niej.

Jak silną spójnię potrafiła Polska wytworzyć potem między ludami przez siebie sfederowanymi, jaką trwałość wykazały unie polskie, świadczy fakt, że nawet gdy Rzecz-

popolita ostatecznie przestała istnieć i znikł węzeł państwowy, łączący jej różnorodne części, to długo jeszcze, niejednokrotnie aż dotąd, trwa ciążenie ku Polsce krajów, które niegdyś stanowiły z nią jeden organizm polityczny. Największy z nich, Litwa, włączona została w skład imperium rosyjskiego przed 120 laty z górą, niemniej, w warstwach, które były historycznie czynne, uznawała się i po rozbiorach w dalszym ciągu za przynależną do Polski. Żadne wysiłki, których potężna Rosya nie szczędziła, nie były w stanie wytepić tego poczucia przynależności, żaden nacisk nie mógł stłumić w historycznej warstwie litewskiej pamięci, że żyła kiedyś w wolnym i szczęśliwym związku Rzeczypospolitej polskiej. Od lat 120 trwa Litwa wiernie u boku Polski podczas wszystkich jej walk o odzyskanie wolności. Nietylko w epoce rozbiorów, gdy w Warszawie wybucha powstanie Kościuszki, porywa za broń także Wilno: to samo bowiem dzieje się przez cały wiek XIX. W walce z Rosją w roku 1831 leje się pod wspólnym sztandarem krew zarówno w Polsce, jak na Litwie. W latach 1836—1838, gdy w wyczerpanej Warszawie zaległo głuche odrętwienie, Litwa porywa się sama do nowych spisków, których przywódcy litewscy, Konarski, Zawisza, Wołłowicz, wraz z tysiącami uczestników, ponoszą męczeńską śmierć za próbę odbudowania Rzeczypospolitej. W roku 1863 powstanie ogarnia znowu obydwie kraje, a rok przedtem niebywała w dziejach procesja dwu narodów spotyka się w Horodle, aby na tem historycznem miejscu odnowić uroczyste przedwieczne śluby unii.

Pierwiastków odmiennych, stopionych niegdyś dobrowolnie w jedną polityczną całość, niepodobna oddzielić od siebie ani w rzeczach ani w ludziach. Tragiczny Reytan, który w warszawskiej izbie sejmowej na czele bohaterskiej garści współtowarzyszy pod grozą moskiewskich bagnatów protestował przeciw rozbiorowi Polski, to syn Litwy. Człowiek, którego imię stało się synonimem naj-

wyższych polskich ideałów, który na krakowskim rynku przysięgał wypędzić z Polski najeźdźców, Tadeusz Kościuszko, to również Litwin. Mocarz polskiego ducha, genialny wyraziciel jego tęsknot i wzlotów, Adam Mickiewicz, którego szczątki pochowała Polska w królewskich swych grobach na Wawelu, to także Litwin. Potomkowie tych, co imieniem Litwy zaprzysięgali niegdyś wieczną wiarę wspólnej Rzeczypospolitej, historyczne rody Radziwiłłów, Sapiehów, Czartoryskich, Czetwertyńskich, Sanguszków i dziesiątki, setki i tysiące innych, dochowali tej wiary do dziś, niezłomni w swem poczuciu jedności z Polską.

Mamy tu przed sobą przedziwne zjawisko dziejowe: unia polsko-litewska przeżyła istnienie państw, które ją zawierały. Treść aktów politycznych, spisanych w roku 1413 i 1569, po upływie pięciu stuleci żyje w duszach ludzkich, choć akty z państwowych kancelaryj przeszły dawno do szaf muzealnych, a postanowieniom ich zabrakło siły wykonawczej. Taką spiszową trwałość wykazało dzieło polskiej mądrości stanu, które łączyło „wolnych z wolnymi i równych z równymi“.

SWOBODY JEDNEJ WARSTWY.

Wyjątkowe pretensje do Polski. Mieszczaństwo. Stulecie upadku. Losy polskiego samorządu miast. Położenie chłopów w Polsce a w Europie. Reformy XVIII wieku. Z psychiki narodu. Stan prawny a rzeczywistość. Niewolnictwo w Stanach Zjednoczonych. Właściwa miara oceny.

Jakkolwiek Rzeczpospolita polska była państwem wybitnie wolnościowym i rozwinęła w tym kierunku ogromne bogactwo twórczej myśli politycznej, to przecież często nie tylko ze strony obcych, źle poinformowanych lub też wręcz wrogich nam pisarzy, których sądy bywają przykrawywane do podejrzanych interesów bieżących, ale także ze strony samych Polaków, wychowanych na samobiczującej się nowszej historyografii naszej, zdarza się słyszeć, że wszystko to traci właściwie na wartości, gdyż Polska stanowiła raj dla jednej tylko uprzywilejowanej warstwy społecznej, podczas gdy daleko liczniejsza ludność mieszczańska i chłopska przeżywała równocześnie całe wieki w najbardziej opłakanych warunkach.

Mogłoby się zdawać wobec takiego zarzutu, że t. zw. niższe warstwy stąpały w innych krajach Europy po różach, kiedy w szlacheckiej republice polskiej przeżywały długi okres istotnie ciężkiej i twardej niedoli. Niel. Każdy szkolny podręcznik poucza, że chłop był w pewnych epokach dziejów wszędzie gnębiony; mieszczaństwo było wszędzie z praw odarte. Lud rolny w Europie od drugiej połowy XVI wieku coraz to cięższym jarzmem robocizny był przytwardzony do gleby, a ucisk pańszczyźniany przybrał tak wielkie rozmiary, że zadawano sobie

w tych czasach pytanie, czym lepiej być: czy długo pielęgnowaną a krótko ściganą zwierzyną, czy wiecznie ściganym a nigdy nie pielęgnowanym chłopem-poddanym („was es besser habe, das lang gehegte und kurz gehetzte Wild, oder der stets gehetzte und nie gehegte Unterthan“, Janssen: „Geschichte des deutschen Volkes“). We Francji pisał w roku 1688 Jean de la Bruère: „Widać po wsiach pewne dzikie zwierzęta, samców i samice, czarne, opalone od słońca, przywiązane do ziemi, którą ryją i kopią z dziką zaciekłością. Kryją się na noc do jam, gdzie żyją czarnym chlebem, wodą i korzeniami. Mają jakgdyby mowę, a gdy wstają na nogi, pokazują twarz ludzką: w istocie są to ludzie“. Nie potrzeba chyba dodawać, że — chłop. Mieszczaństwo po świetnym rozkwicie średniowiecza znalazło się również mniej więcej wszędzie w upadku. Traciło nie tylko prawa polityczne, ale i warunki materialnego rozwoju. W Niemczech w XVI wieku szlachcic — zupełnie jak w Polsce — był wolny od cła, jeśli sprowadzał dla siebie towar z zagranicy lub gdy własny produkt wiejski wywoził, pod osłoną zaś tego przywileju dopuszczano się nadużyć na szkodę miejscowego przemysłu i handlu. Nieliczne tylko, wyjątkowe umysły ówczesne, zarówno w Europie, jak u nas, zdawały sobie sprawę, że i niesłusznym i szkodliwym dla państwa jest upośledzanie nie-szlachty. Powszechnie przyjmuje się to za rzeczy usprawiedliwione historycznym rozwojem pojęć. Nikomu, o ile idzie o stosunki na zachodzie, nie przychodzi do głowy dzika myśl, aby do oceny tych zjawisk przykładać ściśle dzisiejszą miarę. Położenie warstw nieszlacheckich w Polsce przedwiecznej mierzy się miarą nie ówczesnych pojęć, lecz pojęć XIX i XX wieku i konstruuje się na tej podstawie z łatwością druzgocące oskarżenia. Niedorzeczność tych oskarżeń i pretensyj uraga wszelkiemu historycznemu myśleniu. Z taką samą racją można by także obwinić o nieuctwo nawet Newtona i

Kopernika, którzy nie rozumieli w swoim czasie wielu zjawisk przyrodniczych, oczywistych dziś dla najmniej pojętnego ucznia wiejskiej szkółki.

Chociaż jednak dla oceny warunków bytu włościanstwa i mieszczaństwa w Polsce jedynie dopuszczalnym probierzem mogą być wyobrażenia owej odległej epoki, spróbujmy przekonać się, czy pod niejednym względem położenie to nie było, podobnie jak położenie szlachty, korzystniejsze, niż w krajach ościennych.

Przedewszystkiem słowo o ekonomicznym stanie miast naszych.

„Te nędzne miłościny — pisze w roku 1810 Wawrzyniec Surowiecki („O upadku przemysłu w Polsce”) — w których dziś widzimy rynki puste; ratusze bez okien i dachów, w których się teraz czołga kilkuset biedaków bez sposobu do życia, liczyły niegdyś po kilkaset różnych warstatów rzemieślniczych“. Wyjmiemy z cennych badań Surowieckiego dla przykładu parę najnędzniejszych miejscowości, wśród których są i takie, co dziś raczej do ubogich osad wiejskich, niż do miasteczek, podobne, z trudem niejednokrotnie dadzą się wyszukać na karcie geograficznej. Oto jakiś Ostrów pod Warszawą — składający się z 93 chałup — liczył sobie samych rzemieślników 200, Stanisławów mazowiecki 263, Garwolin 192, Wyszogród 308, Pyzdry 215, Łęczyca 161, Przasnysz 399. Jakże wobec tego ludnie i bogato musiały wyglądać miasta średnie i większe. Kraków miał mieszkańców 80.000, w czasie, gdy Hamburg 6—7000. W jednym z przeszłych stuleci istniało na obszarze naszej ojczyzny około stu drukarni. Bogactwem, wykształceniem rywalizowały wyższe warstwy mieszczańskie ze szlachtą. Niewątpliwie w związku z rozkwitem handlu w Polsce znajduje się niezwykle wczesne, wyprzedzające nawet całą Europę zaprowadzenie regularnego ruchu poczt i jednakowej taryfy za listy bez względu na odległość: u nas w roku 1583, na zachodzie w XVII wieku a gdzie indziej i znacznie później. O żywym tętnie

interesów handlowych mówi również wczesne ujednolitanie miar i wag w całej Polsce, czego żadne państwo podówczas jeszcze nie знаło (wszędzie obowiązywały miary i wagi prowincjonalne), a co na kontynencie po nas dopiero rewolucja francuska uczyniła. (Henryk Radziszewski: „Polska idea ekonomiczna“).

Do jakiej epoki odnoszą się te objawy bujnego gospodarczego życia naszych miast i naszego mieszczaństwa? Czy to w średnich wiekach pracowały setkami warstatów rękodzielniczych owe nędzne dziś miłościny? Nie. To wszystko, co przytoczyliśmy wyżej, działo się w wieku XVI i z początkiem jeszcze wieku XVII — równocześnie zatem z oddawna już osiągniętym szczytem praw, wolności i swobód politycznych szlachty polskiej. Upadek ekonomiczny mieszczaństwa naszego, którego przyczyną stały się zarówno długoletnie wyniszczające wojny z Szwecją, Moskwą, Turcją, Tatarami i Kozaczyszyną, jak szkodliwe, lecz odpowiadające pojęciom owego czasu wyjątkowe uprawnienia szlachty, przyszedł w połowie XVII wieku i trwał nie wiele dłużej, niż jedno fatalne stulecie, wtedy, gdy niejednokrotnie i rynki miast zachodnio-europejskich trawą zarastały.

A teraz prawno-polityczna strona obrazu.

Zachwiało się stanowisko polskiego mieszczaństwa, gdy moralna i umysłowa wartość społeczności szlacheckiej uległa obniżeniu, gdy swobody tej przodującej warstwy, doszedłszy do zenitu — zetknęły się z generacją, która z twórczego poziomu wielkich ojców stoczyła się na poziom biernego użycia. Nie był przecież mieszczański w Polsce nigdy pozbawiony praw obywatelskich w zupełności, nie tylko w swej gminie miejskiej, ale i na szerokiej widowni ogólnopolskiej. Konstytucja „Nihil novi“, która na całe stulecie zdecydowała o ustroju państwa, uchwalona została na sejmie radomskim 1505 głosami szlachty i mieszczan. W XVI wieku mieszczaństwo miast kró-

lewskich brali udział we władzy ustawodawczej¹, zdobywali wyższe urzędy w Rzeczypospolitej, a rycerstwo nie wahało się urzędownie nazywać ich „braćmi“ (Łoziński: „Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie w XVI i XVII wieku“). Nie znajdujemy nigdzie w polskim prawie państwowem przepisu, usuwającego mieszczan od udziału w sejmach. W roku 1573 konfederacja generalna warszawska mówi o sobie: „My rady koronne duchowne i świeckie, rycerstwo wszystko i stany insze jednej a nierozdzielnej Rzeczypospolitej“. Wyrażenie „insze stany“ stosowało się do miast. We wszystkich następnych konfederacjach generalnych oraz sejmach konwokacyjnych i elekcyjnych znaczniejsze miasta biorą udział przez swych posłów. Prawo do czynnego uczestnictwa, w akcie tak ważnym, jak wybór króla, posiadają miasta: Kraków, Wilno, Lwów, Poznań, Warszawa, Lublin, Kamieniec, Gdańsk, Toruń, Elbląg i wykonywują je do samego końca. Reprezentanci miast pojawiają się na sejmie 1668 roku i podpisują abdykację Jana Kazimierza. W roku 1733 potwierdzają „pacta conventa“. W obu wypadkach dzieje się to w okresie szczytowym samowładzy szlacheckiej i świadczy — zauważa słusznie jeden z pisarzy politycznych (J. Grabiec) — że może głównie bierność i nieumiejętna polityka mieszczaństwa stały na przeszkodzie pełni jego praw obywatelskich i że stanowisko polskiego prawa państwowego była raczej jego zwyrodnieniem, niż cechą zasadniczą. W tej samej epoce hegemonii szlachty, w XVII i XVIII wieku, mnożyła się liczba miast, których magistraty uzyskały tytuł „nobiles“ w miejsce dawnego „spectabiles et fameti“, uszlachcenie to zaś magistratu ja-

¹ „Sejm piotrkowski r. 1565, który przeprowadził szereg uchwał, dotyczących polityki handlowej, odbył się właśnie przy udziale posłów miejskich, którzy bronili swoich interesów i do których życzeń Izba poselska stosowała się niejednokrotnie, przyjmując poprawki rozmaite w ustawach“. [A. Szelągowski: „Pieniądz i przewrót cen w XVI i XVII wieku w Polsce“].

ko organu publicznego, nakazywało traktować miasto, jako osobę prawną, na równi ze szlachtą. Gdy w innych krajach mieszczaństwo pozbawieni byli prawa posiadania majątków ziemskich (w Prusiech aż do r. 1807), to w Polsce prawo to przysługiwało po wszystkich czasach mieszczańcom większych miast, jak Lwów, Kraków, Wilno, Lublin, a ponieważ względnie łatwo było uzyskać w nich obywatelstwo, przeto zakaz władania ziemią przez mieszczan nie istniał właściwie nigdy w pełnej sile.

Jeszcze dobitniej zarysowuje się różnica w innej, ważniejszej dziedzinie: w dziedzinie samorządu komunalnego. Na zachodzie w XVII i XVIII wieku stary samorząd miast został w wielu krajach bądź skrepowany do ostatnich granic i zamieniony w fikcję (członków rad miejskich i urzędników miejskich mianowała wprost władza monarsza), bądź też nawet zupełnie skasowany. W Polsce poddano rady miejskie pod nadzór królewskich starostów, ale wewnętrzny ich ustrój pozostawiono nietknięty. Gdzieindziej sądownictwo i policję w miastach objęły częściowo lub całkowicie organy królewskie, w Polsce funkcje te autonomiczne nie były nigdy odebrane. Wreszcie konstytucja 3-go maja 1791, uzupełniając to, co z biegiem czasu uległo uszczupleniu a zarazem rozwijając zgodnie z pojęciami nowoczesnymi, dobrowolnie, bez żadnego nacisku „z dołu“, osobną ustawą uchwaloną głosami wyłącznie szlacheckimi wyposażała miasta zreformowanym, pełnym i szerokim samorządem. Dwa różne systemy rządzenia: centralizm, który wszystko niwelował w autokratycznie rozwijającej się reszcie Europy, i bujny polski autonomizm, rzucali i tu swe refleksy.

Przyjrzyjmy się z kolei najliczniejszej klasie narodu, ludności włościańskiej.

W okresie najwyższego rozkwitu praw politycznych szlachty chłop polski — przez szereg wieków wolny kmięć, podlegający sądownictwu swoich sołtysów — zepchnięty zostaje do stanu poddaństwa i podporządkowany nie-

ograniczonej z czasem władzy patrymonialnej pana. Droga tą idzie jednak nie sama Polska, lecz także Europa zachodnia, a idzie tak szybko, że nas znacznie wyprzedza. Wcześniej i w sposób nierównie dotkliwszy ukształtowało się tam panowanie szlachty nad ludem, rozwijając się w ciemństwo pełne przerażających okrucieństw. Pomimo smutnego położenia poddanych nie było w Polsce ani owych książąt, noszących na sobie pasy ze skóry chłopskiej, ani nędzy, która zmuszała ludność pograniczną do gromadnych ucieczek, ani handlu ludźmi, który kwitnął jeszcze w XVIII wieku w samym środku Europy (dostawa rekrutów za gotówkę do Anglii przed landgrafa heskiego Fryderyka w latach 1776—1784), ani, za wyjątkiem wiecznie burzliwych ukraińskich kresów Rzeczypospolitej, krwawych buntów poddanych, ani straszliwych wojen chłopskich, po których następowały akty szalonej represji. Wybuchów rozpacz w klasie włościańskiej, jakimi wypełnione są karty historii europejskiej, nie spotyka się u nas¹. Natomiast obce źródła wyraźnie stwierdzają, że chłop z krajów sąsiednich często uciekał do Polski, aby poprawić swój byt. Królewsko-pruska kamera w Kolonii nad Sprewą donosiła w roku 1708 królowi Fryderykowi I, że jego poddani z Prus, z Pomorza i z nowej Marchii porzucają domy i zagrody i idą osiedlić się w Polsce, gdzie otrzymują różne swobody i korzyści. (Ks. K. Zimmerman: „Germanizacja Wielkopolski”). Podczas pierwszego rozbioru rząd rosyjski jako jedną z rzekomych krzywd sobie wyrządzonych przytoczył, że 300.000 chłopów z pogranicznych krajów moskiewskich uciekło do Polski (Tadeusz Lubomirski: „Rolnicza ludność w Polsce”). Chronili się do nas tłumnie chłopci ze Śląska, z Moraw. Gdy

¹ Historia nasza zapisała jedyny znaczniejszy „bunt” polskich chłopów pod wodzą Kostki Napierskiego na Podhalu w r. 1651, w rozmiarach wprost miniaturowych w stosunku do tego, co przez długie wieki działo się na Zachodzie.

w XVIII wieku rząd austriacki doprowadził do zawarcia traktatów o wydawanie zbiegów — jedna Polska wyrzekała się prawa wzajemności, gdyż włościanie jej nigdzie nie uciekali (Grünberg, „Bauernbefreiung in Böhmen, Mähren u. Schlesien“: Die Reciprocität scheint auch von diesen Ländern, mit Ausnahme Polens, gewährt worden zu sein, was sich leicht dadurch erklärt, dass wohl schlesische Unterthanen in grossen Massen nach Polen flüchteten, nicht aber umgekehrt).

W najgorszej nawet epoce nie było w Polsce pastwienia się nad poddanymi, tak często spotykanego gdzieindziej, a dotąd nie znaleziono śladu, by szlachcic, korzystając z prawa patrymonialnego, wykonał kiedykolwiek karę śmierci na chłopie. Los chłopów był tu ponadto krócej ciężkim, niż w innych krajach, gdyż tylko w wieku XVII i XVIII, gdy jeszcze szesnasty zachował sporo z blasku złotego okresu włościan dwóch poprzednich stuleci. „Wymiar pańszczyzny i pokrewnych jej świadczeń — stwierdza Oswald Balzer, znakomity znawca ustroju Polski — nie doszedł był nigdy do tych granic, jakie tu i ówdzie ustaliły się na Zachodzie”. Przytem, spełniając powinności dworskie, odrabiając pańszczyznę, płacąc czynsz, chłop wiedział, że w zamian miał prawo do opieki pańskiej, że w razie elementarnej klęski dozna ulgi w opłatach i zapomogi w inwentarzu, zaś pewną autonomię, pewien współudział w załatwianiu praw bieżących, dawały mu instytucje gromadzkie, których postanowienia przybierały niejednokrotnie charakter ustaw (Ulanowski: „Wieś polska pod względem prawnym od XVI do XVII wieku”). Nie można również zapomnieć, że znaczna część stanu włościańskiego — włościanie dóbr koronnych, a po części i duchownych — korzystała z pewnych praw cywilnych pod opieką państwa.

Zabiegi na koniec prywatne około poprawy położenia ludu przybrały w Polsce dużo większą miarę, niż gdziekolwiek indziej. Polska miała pod tym względem stare

i dobre wskazania, gdyż w najlepszej epoce dziejów narodu w XVI wieku wołali o to Skarga, Górnicki, Ostro-
róg, a znakomity pisarz polityczny, Andrzej Frycz Mo-
drzewski, domagał się wręcz zniesienia poddaństwa i zrów-
nania wszystkich wobec prawa, wtedy, gdy się o mo-
żliwości takiego postulatu nikomu jeszcze nie śniło w Eu-
ropie. Z początkiem XVIII wieku utorował drogę idei
podniesienia stanowiska prawnego, dobrobytu i oświaty
włościan król Stanisław Leszczyński w swym traktacie
„Głos wolny“ (rozdział „Plebei“). Inicjatywa społeczna
w tym kierunku szybko poczyniła postępy i wydała zna-
komite owoce. Próby zreformowania stosunków włośc-
ciańskich w duchu nowoczesnym, rozpoczęte około roku
1740, objęły wielkie latyfundię magnackie, Jabłonow-
skich, Zamoyskich, Lubomirskich, Czartoryskich, Ponia-
towskich. W drugiej połowie tego wieku prąd ten stał się
prawie powszechnym. Zrywano z pańszczyzną, zamienia-
no robociznę na czynsz, nadawano włościanom wolność
osobistą, obdarzano ich samorządem. „Wszędzie—stwier-
dza T. Lubomirski — dziedzice zrzekają się przewagi wła-
dzy patrymonialnej, wszędzie wznawiają lub tworzą sa-
modzielny ustrój sądowy i wszędzie się objawia ruch re-
stauracji gmin i ich niezawisłości“ („Rolnicza ludność
w Polsce“). O rozmiarach tej samorządnej reformy może
dać wyobrażenie fakt, że posiadłości Stanisława Ponia-
towskiego, w których większą część poddanych wyzwolono
i „uczyniono właścicielami“, liczyły same tylko do 400.000
ludności. „Nie dopuszczając się przesady — mówi A.
Rembowski („Porównanie konstytucyj stanowych“) —
można utrzymywać, że w żadnym z krajów europejskich
inicjatywa prywatna nie uczyniła tyle dobrego dla wło-
ścian i to z takim niezaprzeczonem zaparciem się sta-
nowych interesów, co w Polsce“.

Wielka reforma państwowa 3 maja 1791 polepszyła
prawne warunki bytu warstwy włościańskiej. Była ona,
przy całej swej połowiczności, tak liberalną w porówna-

niu ze stosunkami panującymi u sąsiadów, że kanclerz
rosyjski Bezborodko bał się „rozprzestrzenienia polskiej
zarazy“ („wolność włościan — pisał 25 listopada 1794 —
może również rozdrażnić naszych wieśniaków“), a ce-
sarz Austrii Leopold rozkazał gubernatorowi Galicji pi-
sać memoriał: „co zrobić należy dla mieszczan i chłopów
wobec reform dokonanych w Polsce“. W trzy lata póź-
niej, w roku 1794, Kościuszko, jako naczelny wódz i fak-
tyczny dyktator narodu, poszedł o znaczny krok na-
przód, ogłaszając w uniwersale połanieckim nowe ważne
postanowienia na korzyść włościan. Ostatni ten akt pra-
wny niepodległego państwa polskiego, regulujący stosun-
ki włościańskie, zapewniał ludności chłopskiej między in-
nemi bezpośrednią opiekę rządu, nieusuwalność z upra-
wianego gruntu i wolność osobistą — zdobywcze niezmi-
ernej na swój czas doniosłości. ta reforma wydała się na-
szym sąsiadom tak wywrotową, że generał moskiewski
Cycjanow po bitwie pod Maciejowicami ogłosił w Gro-
dnie ukaz, w którym nakazywał „uległość panom według
dawnych zwyczajów“ i zabronił powoływać się na uni-
wersał Kościuszki¹.

¹ Po rozbiorach Polska, pozbawiona własnych organów państwo-
wych, już nie mogła kontynuować reformy włościańskiej, a rządy
rozbiorowe tamowały na naszych ziemiach celowo wszelką w tej dzie-
dzinie inicjatywę społeczną, pragnąc jaknajbardziej pogłębić prze-
dział między ludem i szlachtą. W różnych dzielnicach podejmowano
bezsukcesnie próby ustawodawczego rozwiązania kwestii włościań-
skiej w duchu nowoczesnym. Rządy obce zachowywały się opornie
lub paraliżowały tę akcję. W Galicji w r. 1846 ówczesny ruch re-
wolucyjny podniósł hasło uwłaszczenia włościan. W Królestwie pier-
wszym aktem rządu powstańczego z r. 1863 było uwłaszczenie, co
zmusiło rząd rosyjski do wprowadzenia tej reformy w życie. Histo-
ryczny manifest Towarzystwa demokratycznego polskiego, datowa-
ny z Poitiers, ogłosił już w roku 1836 program przyznania włościa-
nom ziemi na własność. Gdyby Polska nie została przez rozbiory
pozbawiona swobody ruchów, byłaby jedna z pierwszych w Europie
rozwiązała u siebie kwestię włościańską.

Obok tych faktów znajdziemy w dziejach Polski jeszcze pewne momenty psychologiczne, które pośrednio mogą nam posłużyć do odtworzenia obrazu rzekomego „piekła” chłopskiego w Polsce, a posiadają również wartość dokumentalną. I tak niezmiernie wiele mówi stosunek szlachty z końca XVIII w. do Kościuszki. Kościuszkę reprezentował to, co byśmy dziś nazwali radykalizmem społecznym. Podczas sześcioletniego pobytu w Ameryce dojrzały w nim przekonania demokratyczne zupełnie nowoczesne, które po powrocie do kraju w całym swem publicznem działaniu śmiało i jawnie wyznawał. Parafrazując deklarację Jeffersona, głosił, że „w naturze wszyscy równi jesteśmy”, przystosowując zaś tę zasadę do stosunków praktycznych, szerzył pogląd, że „słowo poddany powinno być przeklęte u oświeconych narodów”. Gdy ujął za broń przeciw najazdowi — oświadczył wyraźnie, że „za samą szlachtę bić się nie będzie”, że „chce wolności całego narodu”, a po zwycięskiej bitwie pod Raclawicami, w której krakowscy kosynierzy wzięli szturmem armaty moskiewskie, przebiera się manifestacyjnie w chłopską sukmanę. Potem przyszedł uniwersał połaniecki, akt kompromisowy, ale w danych warunkach prawnych oznaczający nieledwie przewrót. Szlachta, gdyby wyglądała w stosunku do chłopów tak czarno, jak ją malują tendencyjni portreciści, powinna była tego człowieka obwołać dawno Jakobinem. Wcale nie. On był wszak — dyktatorem szlacheckiej Rzeczypospolitej. Jego postać już wówczas otoczył powszechny entuzjazm. Noszono jego medaliony, rozpowszechniano tysiącami jego portrety, wielbiono w nim bohatera. Ten kult ze strony społeczeństwa przecież wyłącznie szlacheckiego, kult, któremu nie przeszkodziły bynajmniej wyznawane tak dobitnie przekonania socyalne Kościuszki, jest nader charakterystyczny. Gdyby nie było innych świadectw, on je-

den wystarczyłby za dowód, że przepaść pomiędzy szlachtą a ludem w Polsce nie była chyba — niezgłębiona¹.

Do praktykowanych gdzieindziej orgij ucisku chłopów nie dopuszczał także wrodzony Polakom łagodny charakter, owa „*dulcis sanguis Polonorum*”, zaobserwowana przez obcych już w XVI wieku, charakter, który nawet wobec nieprzyjaciela nie zatracił w sobie ludzkiego poczucia. Dla ilustracji przytoczymy przykłady, pierwsze z brzegu. Rada najwyższa narodowa, która w roku 1794 kieruje ostatnią obroną Polski przed najazdem, rzuca ludowi swemu wniośnię pouczenie, że „kiedy o zemście na nieprzyjaciela mowa, nie rozumie się przez to zemsty na ludziach kraju moskiewskiego bezbronnym, w pojmaniu lub zabezpieczeniu narodem zostających, których los należy szanować”, „idzie o zemstę godną Polaka przez okazanie odwagi” i t. d. W roku 1831 oswobodzona chwilowo Warszawa daje wspaniały przykład ludzkości wobec wroga: lud okazuje miłosierdzie jeńcom, ranni żołnierze polscy ustępują na wozach miejsc rannym moskiewskim, a rząd narodowy umieszcza w budżecie wydatek na utrzymanie szkoły dla pozostałych dzieci rosyjskich. (A. Kraushar: „Życie potoczne Warszawy 1830—1831”). W narodzie, który wobec wroga umiał tyle ludzkości okazać, nie mogło być miejsca na okrucieństwo wobec własnego ludu. To też ciężkie prawo, które normowało w ubiegłych wiekach byt chłopów polskiego, było raczej łagodzone, niż zaostrzane w praktyce.

Przekonawszy się, że nie tak czarno wyglądało u nas z położeniem mieszczaństwa i włościan, jak to głosi kursujące oszczerstwo, stwierdźmy teraz, że położenie to — aczkolwiek smutne — nie może być żadną miarą podstawą do kwestyonowania wartości swobód i praw polity-

¹ Coś mówi także fakt, że małżeństwo szlachezca z kobietą innego stanu, a więc i włościanką, nie miało żadnego wpływu na uprawnienie potomstwa. Dzieci nie traciły przez to „klejnotu” szlacheckiego.

cznych, które Rzeczpospolita szlachecka tak bujnie była rozwinęła. Zaprzeczać tej wartości jest to popełniać tak samą błądzącą w oczy niedorzeczność, jak gdyby ktoś chciał utrzymywać, że Francja nie była nigdy narodem rycerskim, gdyż ta tyłowa cecha jej rozwinęła się również w ramach jednej tylko warstwy.

Zjawisko szerokiego wymiaru praw dla ograniczonej części zaludnienia nie przeszkadza wszak, iż dotąd ludzkość żywi podziw dla starożytnych republik z ich wysoką kulturą wolności i demokracji. Jeszcze dobitniej występuje to na przykładzie, późniejszym nie tylko od tych przedtysiącletnich ustrojów, ale od — Polski, na przykładzie Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki. Konstytucja federacyjna tego państwa, jedna z najliberalniejszych na świecie, uposażając prawami politycznymi całą ludność — białą, nie przyznała ich murzynom, co więcej, nie zniosła ich niewolnictwa. „Wszyscy murzyni, wraz z potomstwem istniejącem i przyszlę, mają pozostać na zawsze niewolnikami i będą podlegać kupnu, dariożnie i przysądzeniu na równi z majątkiem ruchomym i zgodnie ze swą naturą“, głosiły ustawy kraju, który miał już za sobą nieśmiertelną Deklarację Jeffersona. Aż do roku 1866 w nowoczesnej, nawskroś demokratycznej republice północno-amerykańskiej istniało i było prawnie uznane niewolnictwo kilkumilionowej warstwy ludności! Nikomu przecież dotąd nie przyszło do głowy, aby kwestionować z tego powodu wielkość tych zasad, jakie zaśniały przy narodzinach wolnej Ameryki i których doskonałym rozwinięciem świeci ona do dziś starej Europie.

Gdy tę samą miarę zastosujemy do idei i prawno-państwowych urządzeń szlacheckiej Rzeczypospolitej polskiej, to okaże się w całej pełni niedorzeczność pseudokrytyki dziejowej, która odmawia im znaczenia z powodu upośledzonego stanowiska mieszczaństwa i włościan. Skoro bowiem z praw politycznych i obywatelskich zostały odarte gdzieindziej *wszystkie* warstwy społeczne, a w

Polsce przynajmniej jedna, niezmiernie liczna, te prawa posiadała, skoro tam od kaprysu jednego człowieka zależą losy całych państw, a w Polsce milion ludzi ma zabezpieczony współudział w rządach, to jakiegoż żonglerstwa logicznego lub grubej złej woli trzeba, aby wysokiej wartości swobód polskich przeczyć dlatego, że z nich nie korzystał cały naród — choćby nawet szerokie i pełne pojęcie narodu nie było dziełem ostatnich dopiero czasów?!

TOLERANCYA WYZNANIOWA.

Swoboda religijna jako następstwo swobód politycznych. Położenie żydów. Wobec reformacji. Ustawa tolerancyjna r. 1573. Równouprawienie wszystkich wyznań. Polska schronieniem prześladowanych. Jak wyglądała reakcja religijna w Polsce? Unia brzeska.

Naród, który na gruncie życia politycznego wytworzył kult najwyższej swobody jednostki, nie mógł tej swobody ukrócić tem bardziej w subtelnej dziedzinie wiary. Z wolności obywatelskiej, z tego źródła, które zabarwiło wszystkie cechy ustrojowe polskie, z którego rozwinęły się różnorodne autonomie historycznych i plemiennych odrębności w ramach jednej Rzeczypospolitej, konsekwentnie wyrosła także swoboda religijna i wzajemna tolerancja wyznaniowa, nigdzie dawniej nieznaną w tym stopniu, a w najświetniejszym swym okresie wykazującą charakter wręcz nowoczesny.

W najbardziej wymowny sposób przejawiało się to w stosunku do żydów, tego społeczeństwa, które niezależnie zresztą od innych przyczyn ściąganego na siebie nienawiści było wszędzie typowym kozłem ofiarnym przesądów i namiętności religijnych. Mimo że Polacy byli narodem arcychrześcijańskim i mimo że osiadli wśród nich żywił starozakonny od najdawniejszych czasów okazywał wobec gościnnego dla siebie państwa w chwilach jego ciężkich terminów bardzo kruchą lojalność, co tem bardziej mogło pogłębiać istniejącą przepaść, nieznaną tu były srogi prześladowania, jakich doświadczały żydzi w całej niemal Europie. W czasach największej reakcji katolickiej

tumulty przeciw żydom były niewinną igraszką wobec pełnych grozy okrucieństw, których widownią był zachód. Gwałty, znęcania się bestyalskie i mordy pozostały nawet wówczas obcymi naturze polskiej. Nie było również owych gromadnych wypędzeń, tak pospolitych gdzieindziej. Badacz historii żydów na naszych ziemiach dr. Mojżesz Schorr stwierdza: „Na chwałę dziejów Polski należy podnieść, że w przeciwieństwie do wszystkich innych europejskich krajów średniowiecza, przez cały ośmiowiekowy przeciąg niepodległego bytu Polski nie zdarzył się ani jeden wypadek wypędzenia żydów z państwa” (Schorr „Rechtstellung u. innere Verfassung der Juden in Polen” Berlin 1917). Wyznanie żydowskie posiadało zupełną wolność rozwoju w krajach polskich. Nauka rabinacka mogła tu stworzyć najbardziej kwitujące swoje centra. Żydzi — konstatuje jeden z pisarzy żydowskich — cieszyli się w Polsce w ciągu całego jej bytu państwowego „wielkoduszną tolerancją i daleko idącą swobodą” (miesięcznik „Moriah”, grudzień 1916).

Polska nie знаła na ogół religijnego fanatyzmu i sprawy stosunku do Boga zostawiała sumieniu każdego ze swoich mieszkańców. Już podczas soboru w Konstancji (1414), nauka polska przez usta znamenitego statysty i rektora akademii krakowskiej Pawła Włodkowica z Brudzewa postawiła naprzeciw powszechnej doktrynie i praktyce średniowiecza zasadę zupełnie nowoczesną, że „wiera nie ma być z przymusu” (fides ex necessitate esse non debet — jak brzmiała w oryginale wiekopomna ta deklaracja)¹. Stanowisko to zajaśniało u nas w pełnym blasku w epoce Reformacji.

Ruch reformacyjny zjawiał się wcześniej i znalazł łatwy przystęp Rzeczypospolitej, która tysiącami węzłami

¹ W traktacie „De potestate papae” mówi Włodkowic: „Papież może słusznie niewiernym wydać wojnę, jeśli chrześcijan prześladowują, ale nie może siłą i orężem nawracać ich na wiarę, do której sama tylko łaska boża skłania serca ludzkie”.

związana była z zachodem i z ośrodków jego życia umysłowego obficie czerpała. Szerokie rozpowszechnienie humanizmu w wyższych warstwach narodu przygotowało grunt dla reformy religijnej. Najpierwsze rody polskie: Radziwiłłów, Leszczyńskich, Górków, Oleśnickich, Stadnickich, Zborowskich, Ostrogorów, Łaskich, Tomickich, Jazłowieckich, Działyńskich, Firlejów i dziesiątki innych częściowo lub zupełnie odpadły od katolicyzmu. Prymas państwa arcybiskup Uchański, skłaniał się ku wytworzeniu narodowego kościoła. Reformie religijnej uległ pierwszy narodowy pisarz Rej. Zaroilo się na obszarach Rzeczypospolitej od różnowierczych zborów, szkół, drukarni. Rozszerzył się kalwinizm i luteranizm, pojawili się wyznawcy religii Braci czeskich, wyłoniła się polska sekta Aryanów („Braci Polskich”), nie licząc mnóstwa sekt drobnych, a Polak Jan Łaski, którego wybitnej indywidualności obcy badacze poświęcają dziś monografie (holenderska monografia Kuypera, niemiecka Daltona), sięgnął działalnością swą do Fryzyi, Danii i Anglii.

Tej wielkiej przemianie pojęć towarzyszy tolerancja, jakiej w Europie ówczesnej nietylko nigdzie nie było, ale której tam nawet często zrozumieć nie umiano. Na zachodzie wznosiły się stosy, na których płonęli „heretycy”. Strumieniami lała się krew „na chwałę Boga”. Dziesiątki tysięcy ludzi mordowano na rusztowaniach, drugie dziesiątki tysięcy, tropione jak dzikie zwierzęta, uciekały z kraju do kraju. Polska nie знаła tortur inkwizycyj. Nie gwałciła sumień. Nie wszczyniała wojen religijnych. Krwawe prześladowania innowierców, to zjawisko zgola w tym katolickim kraju nieznane.

Wobec Reformacji władze polskie zajęły odrazu stanowisko pełne tolerancji. Od początków tego ruchu panowała w Polsce faktyczna, choć nie potwierdzona jeszcze żadną ustawą swoboda wyznaniowa. Przez cały wiek XV i XVI, chociaż katolicycy królowie polscy ostro potępiali w specjalnych rozporządzeniach „nowinki re-

ligijne”, t.j. nauki reformatorów, nowowiercy cieszyli się w praktyce zupełną swobodą. Wśród najpierwszych dygnitarzy państwa, otaczających tron królewski, spotykamy protestantów. W roku 1569 posiadają oni większość w senacie: 38 krzesła na 73. Protestanci przewodzą na sejmach Rzeczypospolitej. Innowierstwo nie zagradza nikomu drogi do służby publicznej. Ohydna zasada „cuius regio — eius religio”, uchwalona w Niemczech na zjeździe augsburskim 1555 roku, zasada, która stała się zarzewiem strasznych i długoletnich walk religijnych, nigdy w Polsce nie istniała. W czasie, gdy różni książęta Europy pławili we krwi swych poddanych wierzących inaczej, niż król, wielki twórca Unii lubelskiej, Zygmunt August, wypowiada do swego narodu wiekopomne słowa: „Nie jestem królem waszych sumień”, a Stefan Batory oświadcza: „Mniemam, że wiary nie wolno nigdy rozszerzać prześladowaniem i krwią, ani sumień ludzkich zniewalać gwałtem”. Stanowisko to podziela ogół społeczeństwa. Nawet Jezuita polski, Skarga, po którym najmniej możnaby oczekiwać jakichkolwiek względów dla innowierców i który zwalcza ich płomienną wymową, nie woła o represje, lecz ogarnięty nastrojem powszechnym, mówi: „Złe odszczepieństwo, ale krew miła”. Podobnież inny wysokiego stanowiska duchowny katolicki, ks. podkanclerzy Myszkowski, którego słowa — zauważa Kubala („St. Orzechowski”) — „płynęły jakby z pod serca całego narodu”, zachęca: „Różne rozumienie pisma niech nie mąci miłości między nami, niechaj nie urąga jeden drugiemu a każdy przy swoim rozumieniu zostaje”. Kanclerz koronny Jan Zamoyski wyrzekł typowo charakterystyczne dla ducha polskiego słowa: „Kiedyby to mogło być, abyście wszyscy byli papieżnikami, dałbym za to połowę zdrowia mojego, żebym drugą połowę żyjąc, cieszył się z tej świętej jedności. Ale jeśli kto będzie wam gwałt czynił, dam wszystko swe zdrowie przy was, abym na tę niewolę nie patrzył”.

Obok faktycznej, zyskali innowiercy polscy także ustawodawczo zagwarantowaną wolność sumienia. Prawo swobodnego wyznawania religii wymierzyła Rzeczpospolita szeroką i szczerą dłoń na pamiętnym sejmie konwokacyjnym roku 1573, który we wspaniały sposób zadokumentował polityczną i kulturalną Polskę dojrzałą. W chwili, gdy na zachodzie szalał fanatyzm, a ów sławny „pokój” augsburski, który orzekł, iż wiara księcia ma być wiarą poddanych, zdołał doprowadzić na krótko do porozumienia się dwóch tylko uprzywilejowanych wyznań, wiekopomna ustawa sejmowa polska „De pace inter dissidentes” z 28 stycznia 1573 r. — współczesna niemal nocy św. Bartłomieja — równouprawniła wszystkie wyznania chrześcijańskie w kraju i orzekła, że bezwzględnie nikt w Polsce nie może być prześladowany z powodu swoich przekonań religijnych. Pojęcie tolerancji religijnej weszło do konstytucji Rzeczypospolitej, stało się jedną z ustaw zasadniczych, którą każdy król zaprzysięgał od tamtej pory obejmowaniu władzy. Swoboda wyznaniowa, przysługująca de jure tylko szlachcie i mieszczaństwu, de facto przysługiwała również chłopom, których możnowładcy-desydenci, pomijawszy oczywiście wyjątki, nawet w okresie największego wzrostu Reformacji nie zmuszali do przyjmowania swojej wiary, jak się to wszędzie wówczas działo. „Aby kogo do zboru niewolono — mówi pisarz polityczny polski XVII wieku — aby penowano (karano), iż tak wierzyć nie chce jako pan, albo iż do kościoła chodzi, to nigdy nie było”. (Rembowski „Konfederacja i rokosz”).

W Europie, zalanej potokami krwi podczas wojen religijnych, Polska wyglądała jak wyjątkowe, bezprzykładne zjawisko ¹.

¹ Obchód czterechsetlecia reformacji w Polsce, odbyty w Warszawie w roku 1917, otwarty został przez mówcę-ewangelikę słowami:

Wobec tych obyczajów ludzkich, wobec praw i swobód, jakich naród polski używał, zwracały się ku niemu z sąsiednich a nawet dalekich krajów oczy wszystkich, którzy cierpieli za przekonania religijne. Tuż po nocy św. Bartłomieja hugonoci we Francji domagają się, aby król francuski poszedł „à l'exemple de Pologne”. Erasm z Rotterdamu sławił swobodę myśli w Polsce, mówiąc o kraju naszym, że jest „jedyną ojczyzną tych, co mają odwagę być uczonymi”. W okresie wrzenia wielkiej Reformacji zamieniła się Polska w azyl dla prześladowanych na Zachodzie nowatorów. Działali tu wypędzeni skądinąd wybitni reformatorzy obcy: Ochino, Stankar, Statorius, Lismanin, Lelio i Faust Socyni. Całe sekty szukały tu bezpiecznego schronienia i pola działania. Odłamy husytów, Bracia czescy, po wygnaniu z Czech schronili się tłumnie do Wielkopolski w roku 1548. Jeszcze w XVII wieku, podczas przekwitania tolerancji, na zachodzie Rzeczypospolitej wzdłuż granicy brandeburskiej i śląskiej osiadło mnóstwo Niemców, którzy w gościnnej Polsce kryli się przed prześladowaniem za wiarę we własnej ojczyźnie. Później t. zw. starowiercy rosyjscy, ścigani przez cara, chcąc swobodnie wyznawać swą wiarę, przechodzili wielkimi gromadami polską granicę.

Ten stan rzeczy trwał dwa stulecia. W ciągu XVII w., gdy katolicyzm wziął ostatecznie górę nad wyznaniem reformowanym, przyszły ograniczenia dawnej swobody innowierców, nie były one jednak niczem w porównaniu z tem, co przeżywała zachodnia Europa. Największe napięcie rozdrażnienia religijnego w Polsce wyładowywało się w przeważnie bezkrwawych tumultach miejskich, przeciw którym zresztą kilka razy, uchwalano specjalne „konstytucje o tumultach” i które nigdy nie zamieniły

mi: „Chcemy wybiedz myślą do owej krainy szczęśliwej, która obywateli swoich największą na świecie darzyła wolnością, do dawnej Rzeczypospolitej polskiej...”

się w domową wojnę, jakich pełno było gdzieindziej. W wojnach kozackich, które miały charakter zrazu socjalny a później polityczny, moment wyznaniowy był ubocznym. Obecności jego, mianowicie w dalszem rozwinięciu się wypadków, mimo to nie myślimy ani przeczyc ani osłabiać. Polska sprzeniewierzała się już wówczas swym długoletnim zasadom tolerancyjnym, które znalazły tak wspianiałą i bezprzykładną na owe czasy wyraz w ustawie sejmowej z r. 1573. O ile przecież idzie o dyzunitów, którzy upośledzani i krzywdzeni przez katolików stali się czynnikiem ciągłego wrzenia na wschodzie Rzeczypospolitej, nie wolno zapominać o podżegającej roli Moskwy, płynącej z pobudek czysto politycznych, o drażnieniu celowem, które utrudnić miało wszelką akcyę porozumiewawczą. Z tych samych pobudek sąsiad protestancki podsycał ferment wyznaniowy na zachodzie.

Pomimo wszystko reakcyą katolicką w Polsce nazywa się właściwie epoka tłumnego powrotu dysydentów na stare wyznanie rzymskie, a okresem fanatyzmu nazywa się schyłek wieku XVII i pierwsza połowa wieku XVIII, gdy zabroniono wnoszenia nowych zborów protestanckich w miastach o większości katolickiej, gdy ograniczono ostentacyjne formy innowierczego kultu oraz wypędzono — jeszcze w roku 1658 — najbardziej zniechędzonych Aryan, podejrzanych o zdradzieckie konszachty z najazdem szwedzkim. Charakterystyczne przytem, że tym wyjątkowo niecierpianym sekciarzom dano jednak dwa lata czasu na zlikwidowanie stosunków prywatnych. Pisarze niemieccy rozdmuchują tendencyjnie t. zw. sprawę toruńską z roku 1724 (skazanie na ścięcie burmistrza Rösnera i jego dziewięciu towarzyszy oraz liczne kary więzienne na mieszczan), zapominając, że nie odegrali oni w owym wypadku bynajmniej roli niewinnych baranków, gdyż w odwet za zaczepki katolickich żaków szkolnych napadli i spalili kolegium jezuickie. Czemże był zresztą ów odosobniony i dlatego tak łatwo w oczy wpada-

jący epizod z całą srogością swego wyroku wobec strumienia krwi, która lała się na zachodzie, wobec tysięcy stosów, które tam płonęły przez wieki? Podobnie, jak to dziś czynią niemieccy historycy, rozdmuchiwały tę sprawę obłudnie już wówczas dla politycznych celów dwory protestanckie, a w spółce z nimi, w masce opiekuna ucisnionych, taki miłośnik wolności, jak car moskiewski Piotr „Wielki”. Autorów rosyjskich, bolejących wogóle nad rzekomo smutnym losem innowierców w naszej ojczyźnie należy przywołać do porządku przypomnieniem zupełnie nowoczesnego męczeństwa unii, autorów niemieckich należy ostrzeżwić faktem, że gdy polska konstytucya 3 maja 1791 zatarła ostatnie u nas ślady nietolerancyi religijnej — to w niemal sto lat potem w północnej połowie Niemiec wrzała jeszcze walka z katolicyzmem i wtrącano biskupów do więzień („Kulturkampi” Bismarka).

Jako szczyt nietolerancyi występuje w dawnej Polsce fakt, że wreszcie zamknięto dysydentom dostęp do urzędów i godności ziemskich¹ — w miastach zachowali go w znacznej części do końca. Ale patrzmy, jak wolno postępowała ta reakcya, jakby na dowód, że nie płynęła z instynktu narodowego. Przez cały wiek XVII, chociaż dewocya katolicka coraz gwałtowniej wzbiera pod wpływem działalności zakonu Jezuitów, prawa polityczne dysydentów pozostają w pełni nienaruszone. Aż do roku 1733 widzimy ich jeszcze sprawujących funkcye poselskie na sejmach. Aż do roku 1733 zasiadają oni jako obieralni sędziowie w trybunałach i piastują urzędy publiczne. Węć niemal do połowy XVIII wieku nie tracą najważniejszych

¹ Niemieccy sędziowie naszej przeszłości, którzy tak surowo piętnują owo zamykanie urzędów przed innowiercami w Polsce XVIII wieku, zechcą zwrócić uwagę na często powtarzające się skargi *dziśszych* katolików niemieckich na pomijanie ich przy obsadzaniu stanowisk publicznych przez rząd pruski. Równouprawnienie na papierze nie przeszkadza tu praktyce wręcz przeciwnej.

praw obywatelskich, a ledwie się to stało — na krótki czasu przeciąg — już powiew „oświecenia“ wdzierał się pod dachy szlacheckich siedzib i niósł zapowiedź reform Wielkiego Sejmiku lat 1788—1791. Łagodny przebieg i stosunkowa krótkotrwałość reakcji religijnej w Polsce może a contrario służyć za dowód, jak głęboko w naturze polskiej tkwiła zasada tolerancji.

W Polsce też, i jedynie tu, dokonano trudnego dzieła pojednania dwóch kościołów, wschodniego i rzymskiego, dzieła, które z ujemnym skutkiem tyle razy podejmowane było gdzieindziej. W niespełna trzydzieści lat po ostatecznym złączeniu się Polski i Litwy na sejmie lubelskim r. 1569, w epoce rozkwitu unii politycznej, powiodło się Polsce doprowadzić do skutku również unię dwóch wielkich odłamów chrześcijaństwa. Na pamiętnym synodzie w Brześciu litewskim 1595 roku stanął wiekopomny akt, mocą którego kościół grecki na ziemiach Rzeczypospolitej ponownie został z rzymskim zjednoczony, uznając zwierzchność papieża, a zachowując nadal odrębność ustroju swego i obrzędów. Gdy unia florencka 1439 roku po kilkunastu zaledwie latach rozpadła się znowu na wrogie sobie kościoły, wschodni i zachodni, polska unia Brzeska wykazała tak wielką siłę trwania, że po upływie trzech stuleci, chcąc na zagrabionych obszarach Rzeczypospolitej rozszerzyć prawosławie, Rosja musiała strzałami karabinowymi nawracać w r. 1874 unitów, a miliony ich jeszcze do dziś uznają zwierzchność Rzymu.

W opinii naszych kół wykształconych utrzymują się dotychczas mętne i krzywdzące przesłanki narodową zapatrywania na znaczenie swobody wyznaniowej w dawnej Polsce. Zawdzięczamy to historykom ze szkoły krakowskiej, którzy obdzierając z wszelkiej wartości przewodnie idee w dziejach Rzeczypospolitej, nie zaniedbali uczynić tego również z wspaniałym zjawiskiem, jakim była tolerancja religijna naszych przodków: skwalifikowano ją prosto jako objaw „niezdolności do silnych namiętnych porывów“, jako wypływ kwietyzmu, bezwładu i niemal bezmyślności. Zdaniem tych history-

ków tolerancja była przejawem niższości polskiej wśród powszechnej walki o byt. Pogląd równie oszczerzy, jak paradoksalny i nie wytrzymujący krytyki. Można by z nie mniejszą ani o włos słuszością utrzymywać, że upowszechnienie się nowoczesnej procedury sądowej w miejsce dawnego prawa pięści jest dowodem nie postępu w kulturze prawnej i obyczajowej, lecz zniedołężnienia ludzkości. Skoro narzucanie komuś siłą własnych wierzeń religijnych uchodzi dziś słusznym za rzecz brutalną, dziką i głupią, a przodkowie nasi stali na wyżynie tego poglądu już przed setkami lat, to zamiast naciąganych wycieczek w dziedzinę temperamentu polskiego naturalniejszą będzie chyba konkluzja, że wyprzedzili oni w rozwoju pojęć prawnych i etycznych współczesne sobie narody. Że tak było, że tolerancja polska płynęła z głębokich pokładów duchowych i była wytworem świadomości działającej myśli, to potwierdza bijący w oczy ścisły związek, jaki zachodził między zjawiskiem tolerancji religijnej a zasadą szerokiej wolności, która przenikała całokształt polskiego życia. A że praktyczna wartość tej zasady w międzynarodowym współzawodnictwie bywa niekiedy nie gorszą od wartości kłów i pazurów, będących wykładnikiem także „silnych namiętności“, tego dowodzi ów ogromny rozrost, jaki Polska osiągnęła w epoce najwyższego rozkwitu nie tylko religijnej swej tolerancji i właśnie dzięki niej.

P R A W O I Ż Y C I E.

Wstręt do przymusu. Moralne więzy życia gromadnego. Praktyczna próba ich wartości. Sto lat rozstroju. Poczucie prawa. Sądownictwo. Zasada obrony i jawności rozpraw. „Palestra”. Własność. Bezpieczeństwo publiczne jako problem systemu karnego.

Przez całą polityczną twórczość narodu polskiego — przez jego ustrój państwowy wysnuty z zasady „nic o nas bez nas”, przez wolną elekcję podkreśloną artykułem o wypowiedzeniu posłuszeństwa królowi, przez unję i autonomję oparte na podwalinach wszechstronnej tolerancji — przewija się charakterystyczna cecha natury polskiej: wstręt do przymusu. Rys ten występuje jako jeden z najbardziej znamienitych w typie polskim. Wielkie czyny skoncentrowanej energii w naszym narodzie były zawsze uwarunkowane istnieniem pobudek swobodnie uznanych i głęboko odczuty. Więzy życia gromadnego posiadały konieczny podkład w sankcji moralnej wszystkich, którzy w skład organizacji wchodził. Autor „Sejmu czteroletniego” Kalinka kreśli w następujący sposób typ szlachcica polskiego na tle środowiska: „Służbę lub urząd pełniąc, nie czuł się podwładnym, tylko dobrowolnym pracą towarzyszem. W życiu prywatnym, tak dobrze jak publicznym, wiązała go wiara, tradycja, obyczaj, hierarchja, ale wszystko to było dobrowolnie przez niego uznane i przyjęte; przymusu nie pojmował, nie cierpiał”.

Wbrew utartym poglądom na państwo jako na organizację przymusu, Polska istniała z temi pojęciami przez

setki lat. W XVI i XVII w. była potężną i umiała być groźną: stanęła zwyciężką stopą w Moskwie na dwieście lat przed Napoleonem, obroniła chrześcijaństwo pod Wiedniem, złamała potęgę Turcji. A jednak „cały ustrój Rzeczypospolitej — mówi Kalinka — opierał się na dobrej woli obywatela”. Pod koniec istnienia państwa Polskiego wielka reforma z 3 maja 1791, reorganizując administrację publiczną, powołała do życia t. zw. komisje cywilno-wojskowe — pierwszy w Polsce przejaw nowoczesnej biurokracji. Ale biurokracja ta posiadała swoiste cechy polskie, właściwe i poprzedniemu okresowi: urzędnicy spełniali swe obowiązki jako zaszczytną służbę obywatelską, a za wszystkie środki rygoru, jakimi dziś utrzymuje się ogół w karności, miało tam wystarczyć poszanowanie dla prawa. I o tej administracji pisze historyk owych czasów Korzon w swych „Dziejach wewnętrznych Polski za Stanisława Augusta”: „Przejrzawszy księgi, protokoły i wyroki, przyjdziemy do przekonania, że komisje cywilno-wojskowe funkcjonowały ku zadowoleniu tak władz wyższych, jak ludności i że społeczeństwo okazywało niezwykłą powolność ich zarządzeniom, bez żadnych prawie środków przymusowych”.

Polska ze swym niemal zupełnym brakiem przymusu państwowego musiała tem samem stawiać swoim obywatelom niezmiernie wysokie wymagania moralne. Tym wymaganiom Polacy umieli sprostać przez dwa kwitnące wieki XV i XVI, w znacznym stopniu jeszcze w wieku XVII, gdy zdołaliśmy obronić się przed napaścią równoczesną wszystkich niemal sąsiadów. Pomiedzy okresem najświetniejszego rozkwitu Rzeczypospolitej w wieku XV, XVI aż ku połowie XVII — a epoką reform 3 maja 1791 r., pomiedzy tymi dwoma okresami, w których mechanizm polskiego życia mimo braku przymusu funkcjonował prawidłowo, leży z górą stuletni przeciąg czasu, w którym założenia pierwotne rozwinęły się chorobliwie, wolność stawała się niejednokrotnie swawolą, decentraliza-

cya nadmierna groziła rozbiciem całości, a dobra wola obywateli okazywała się siłą zbyt słabo spajającą wewnętrzne związania państwowe. Był to najsmutniejszy w dziejach Rzeczypospolitej okres osławionej i przez czcicieli silnej pięści tendencyjnie ująskrawianej — „polskiej anarchii”. Ale i wtedy o ileż wyżej stał naród polski od despotycznie rządzonych społeczeństw sąsiednich. Nawet w tej smutnej epoce istnieje w zbiorowości powszechnej, aczkolwiek w słabszym natężeniu i nieraz zwyrodniała, ta siła moralna, która przenika cały obszar dziejów narodu polskiego: poczucie prawa.

Zjawisko to jest łatwo zrozumiałe. Naród, któremu od wieków nie narzucano ustaw z góry, który sam był swoim ustawodawcą, musiał z natury rzeczy rozwinąć w sobie poczucie prawa wyżej, niż społeczeństwa, które podane samowładnej woli jednostki nie brały udziału w tworzeniu prawnych norm życia. Ztąd charakterystyczny fakt, że kanclerz państwa mógł u nas odmówić samemu nawet królowi położenia pieczęci pod aktem, gdy jego treść była niezgodna z duchem obowiązujących ustaw.

Uderzająco znamienym jest w dziejach Polski brak epoki „prawa osobistej pomocy” (prawa pięści), tego wykwitu istotnej anarchii, gdy rozstrzyganie sporu na własną rękę przez gwałt fizyczny (w Niemczech po czterech wiekach istnienia wznowione jeszcze w czasie wojny 30-letniej) uchodziło właściwie za legalną instytucję, gdy nie było rządu ani sądu, a samowolny wymiar sprawiedliwości był przywilejem przyznanym każdemu silnemu. W Polsce podobnych wynaturzeń prawnych nie było nigdy. U nas, gdy władza państwowa osłabła, to zjawia się — jako daleki refleks prawa pięści — awnturniczy „zajazd”, t. j. samowolna egzekucja wyroku, która, nie mówiąc już o zasadniczej różnicy prawnej, wygląda wobec dzikiego „Faustrechtu” jak igraszka dziecięca (wystarczy sięgnąć do nawpół humorystycznego opisu Mickiewiczowskiego) i zresztą zdarza się rzadko a uważana jest zawsze za gwałt

publiczny, nigdy za legalną instytucję. Objawom samowoli przeciwstawić można objawy wręcz odwrotne, nieraz zdumiewające. W tem społeczeństwie rębajłów nie było hanby, kiedy szlachcic czynnie znieważony zamiast do korda — odwoływał się do sądu. Drobne urazy czy zatargi załatwiano się na poczekaniu: szabłą. Krzywdy niesiono przed trybunał. Tą drogą słynny starosta kaniowski Potocki za obicie dygnitarza wojewódzkiego od cierpiał czteromiesięczne więzienie, gdyż przeciwnik nie chciał wyzwać napastnika na rękę, jakgdyby nie było w kraju karzącej zwierzchności, lecz dochodził sprawy w trybunał. Już wtedy gdy „anarchia” polska stała u zenitu, t. j. około połowy XVIII wieku, zdarzają się takie przykłady surowości prawa, jak fakt, iż głośny na całą Litwę Wołodkowicz, posiadający potężne poparcie Radziwiłłów, ulubieniec i nieodstępny towarzysz księcia „Panie Kochanku” za występne swe awantury schwytały i postawiony przed sąd poniósł karę śmierci przez rozstrzelanie w Nowogródku.

W całej prawnej dziedzinie polskiego życia widzimy refleks tych naczelných zasad, na których wsparła się budowa państwa: kultu wolności — poszanowania indywidualizmu. Na sądownictwie polskiem, podobnie jak na ustroju politycznym, wycisnęły te dwie podstawowe cechy piętno niezwykle wczesnej dojrzałości. Gdy z wyjątkiem Anglii we wszystkich monarchiach europejskich panował w procedurze proces śledczy inkwizycyjny, połączony z badaniem tajemnem opartem głównie na torturach, na podstępnych pytanich (captiosae Fragen) i na pisemnych protokołach, to w postępowaniu sądowem polskiem, wobec jednej przynajmniej warstwy narodu, tj. szlachty, spotykamy wszędzie zachowywane zasady jawności, rozprawy ustnej, oskarżenia i obrony, te znakomite zasady, które dopiero za wpływem wielkiej rewolucji francuskiej wprowadzone zostały w XIX wieku we wszystkich państwach europejskich, a przed rewolucją

istniały tylko w Anglii i Polsce. Wytwarzało to w ludności, korzystającej z tych urzędów, poczucie prawne zgoła inne, niż w krajach tkwiących w absolutyzmie. Wystarczy powołać się tu na niezmiennie charakterystyczny rys, że skazany stawiał się zwykle sam, by „zasiąść wieść”, skoroby zaś nie chciał uczynić zadość wyrokowi, stawał się banitą i każdy mógł go zabić bezkarnie, co od XVI wieku zdarzało się nieraz. Henryk Rzewuski w swym jaskrawem malowidle społeczeństwa szlacheckiego z czasów zupełnego upadku („Pamiętki J. Pana Seweryna Soplicy”) notuje: „Jak ksiądz kiedy u spowiedzi pokutę naznaczy, warty grzesznikowi nie dodaje, tak i gród dekret tylko ogłaszał, a strona sama go spełniała. Przyjeżdżał sądzony do grodu, przed nim oświadczał gotowość, potem szedł na wieżę i tam naznaczone niedziele wysiedziawszy, przed tymże grodem manifest zanosił, że swoje odbył”. Człowiek, uciekający przed karą wymierzoną przez sąd, uważany był w Polsce za tchórza, a bywały przykłady, że wydawała go własna rodzina, dla której większym wstydem, niż wyrok, było niespełnienie wyroku.

Jak głęboko prawo wkorzeniało się w pojęcia narodu świadczy fakt, iż w XVIII wieku powoływano się w sądach polskich jeszcze na niektóre postanowienia Statutu wiślickiego z XIV wieku. Słynne pieniacтво polskie z czasów upadku, tak zgubne jako zjawisko społeczne, dowodzi jednak pośrednio istnienia autorytetu prawa. „Palestra” była po wszystkie czasy niwą uprawianą z szczególnem zamięłowaniem, stanowiła jedną z pasyj narodowych — jak praca rolnicza i rzemiosło rycerskie — gdyż zawsze, nawet wśród rozgwaru namiętności, wśród obłędu i występków politycznych, cześć dla prawa tkwiła głęboko w umysłach Polaków. Byli oni zdolni „mieć fanatyczną głowę na punkcie prawa”, zauważył nienawidzący Polski, a długo w Warszawie przebywający ambasador rosyjski Repnin w roku 1767.

Szczególnie mocno ugruntowane było nie tylko w umysłach ogółu szlacheckiego, ale w instynkcie całego narodu pojęcie własności. Istniało przysłowie, że łatwiej stracić w Polsce życie, niż własność. O bezpieczeństwie publicznym, tym niezawodnym probierzu wartości państwa, posiadamy z czasów największej właśnie „anarchii” polskiej cenne zeznania cudzoziemców.

Rulhiere w „Histoire de l'anarchie de la Pologne” (Paryż 1807) pisze: „Niepodobne prawie do wiary, że wśród takiej anarchii Polska zdawała się szczęśliwą i spokojną; bezpieczeństwo panowało w miastach; podróżny bez żadnej obawy mógł przebywać tak lasy najświatniej, jak drogi najliczniej uczęszczane; nie słyhać nigdzie rozmów o jakiejś zbrodni i nic lepiej nie popiera mniemania niektórych filozofów, że człowiek z natury jest dobry”. W r. 1779 podróżował po Polsce historyk angielski Wiliam Cox, profesor uniwersytetu w Cambridge, w towarzystwie lorda Herberta. Cox zapisał spostrzeżenie, iż w ciągu całej podróży przez kraje polskie nic im nie zginęło chociaż powóz w nocy zostawał zawsze na dworze bez dozoru, tymczasem w Rosyi po każdym noclegu spostrzegali jakąś kradzież mimo iż w powozie spiał służący. (Cox: „Travels into Poland, Russia and Denmark”). Niemiec Biester podróżując w roku 1791 zapewnia, że „w Polsce czy we dnie czy w nocy jechać można bardzo bezpiecznie: kilkakrotnie sto tysięcy dukatów wiezie kabryoletem jeden człowiek”. (Ksawery Liske: „Cudzoziemcy w Polsce”). Niechętny Polakom Schulz („Reise eines Liefländers”), który podróżował przez Polskę w latach 1788—1793, pisze o bezpieczeństwie publicznym w krajach Rzeczypospolitej: „Nie należy wierzyć temu co mówią o niepewności dróg. Ja sam odbyłem tę drogę (przez Polskę) trzy razy, wielu moich przyjaciół również i nigdy nie pokazało się nic podejrzanego”. Dodajmy do tych wynurzeń świadectwo Tadeusza Korzona („Wewnętrzne dzieje Polski za St. Augusta”), który pisze: „Co kwartał

przewożona była z każdej prowincji skarbowej, a więc n. p. z Poznania, z Krakowa, z Kamieńca, kasa prowincjonalna do Warszawy, wynosząca czasem około miliona złotych, pod eskortą jednego, a rzadko dwóch strażników konnych. Można się zdumiewać, że te kasy dochodziły miejsca przeznaczenia. Przejrzawszy wszystkie akta codziennych czynności Komisji skarbowej, wiemy dokładnie, że ani jeden transport w ciągu lat trzydziestu nie zginął, że raz tylko była złupiona kasa egzaktorowi w Łatyczowie przez hajdamaków nad granicą turecką.

„Ponieważ” — zauważa Korzon słusznie — bezpieczeństwo publiczne jest głównym i ostatecznym celem wszelkiego systemu karnego, zaś cel ten w Polsce był osiągany z podziwu godnym powodzeniem, przeto i samemu systemowi przyznać należy niepospolite zalety, górujące nad wszystkimi wadami”.

WOJNY POLSKIE.

Wstręt do wojen zaborezych. Piast—symbol. Zamiłowanie pokoju. Kultura obyczajowa. Pospolite ruszenie. Polska wobec narodzin militarysty. Idea wojen polskich. Przedmurze Europy. Kompetencyja sejmu w sprawach wojennych. Problem „wojny słusznej”.

Polska wyrosła szybko z barbarzyńskiego zamilowania we wojnach, które zresztą nigdy, nawet za Piastów, nie stanowiło jej szczególnie znamiennej cechy; instynkt narodu, podobnie jak innych ludów słowiańskich, skłaniał się raczej ku zaspokajaniu swych potrzeb własną pracą, niż łupiestwem popełnianem na sąsiadach; przeważna część orężnych wystąpień polskich była już wtedy wywołana koniecznością zasilania się przed napasciami — Niemców, Prusaków, Litwy. „Na gospodarczo—twórczej pracy rozbudował się gmach Polski” stwierdza ekonomista H. Radziszewski („Polska idea ekonomiczna”), uzasadniając to twierdzenie szerokim zarysem historycznym. Od wyjścia zaś z młodzieńczego okresu swych dziejów, przez pięć ostatnich wieków państwowego bytu, ojczyzna nasza nie prowadziła nigdy wojen zaborezych. Zbójcki najazd na cudzą własność, choćby przystrojony płaszczem „racyi stanu”, uważany był w tem wielkiem i tak ogromnemi zasobami rozporządzającym państwie za rzecz nikczemną. Państwo dobywało miecza jedynie w wypadkach nieuniknionych, dla obrony własnej, i dlatego wojna nazywała się u nas charakterystycznie „potrzebą”. Buszczyński w swem „Znaczeniu dziejów Polski” podkreślił trafnie znamieny fakt, że gdy u innych ludów

mit o pierwotnych bohaterach narodowych owija się niemal zawsze dokoła krwawych postaci wielkich zdobywców i wielkich zbrodniarzy, to polska legenda postawiła u przedtysiącletniej kolebki wylaniającego się narodu króla-rolnika Piasta, uosobnienie twórczej pokojowej pracy. Równie znamienne jest, że jedyny raz w dziejach Polski przynzane monarsze miano „Wielkiego“ otrzymał od narodu nie znakomity wojownik, jakich nie brakło, lecz król, który upamiętnił się wydaniem kodeksu praw (Statut wiślicki) i zasłynął sprawiedliwością, który założył pierwszy w kraju uniwersytet (1364) i zbudował mnóstwo monumentalnych gmachów i całych miast, tak, iż przeszedł do potomności z pochwałą, że „zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną“. Właśnie ten król-budowniczy, król miłośnik pokojowej pracy, zyskał miano „Wielkiego“.

Te dwa symbole przeniknęły całą treść dziejową Polski.

W chwili największego wzniesienia się potęgi państwowej, gdy Rzeczpospolita tworzyła najrozleglejsze w Europie mocarstwo, oblężona żądza „panowania nad światem“, która tyle razy pustoszyła kwitnące niwy ziemi i zalewała krwią całe kraje, pozostała obcą naturze narodu polskiego, chociaż słychać on z rycerskiej brawury. „Pośród powszechnego łupiestwa“ — mówi Julian Klaczko — „pozostała Polska czystą od niesprawiedliwej grabieży cudzych ziem, obcą wszelkiej chciwości, nawet wówczas, kiedy miała łatwą sposobność „sprostowania granic“ lub przyjęcia „misyi Opatrzności“. Ten rys, godny prawdziwie cywilizowanego narodu, wystąpił w całej pełni swego uświadomienia we wspaniałej mowie hetmana w. kor. i znakomitego wodza Jana Zamoyskiego, który wołał w Sejmie: „Ci wszyscy, którzy napaści czynią na ziemię obce, są burzycielami świata i nieprzyjaciółmi ludzkiego plemienia. Bądźmy gotowi ginąć przy obronie własnej ojczyzny, oddłóży jedną połowę majątku dla ocalenia

drugiej, twórzmy wojsko dla bezpieczeństwa naszej granicy, nie dla najeżdżania ziem cudzych. Znakomity pisarz polityczny, Andrzej Frycz Modrzewski, rozróżniając wojnę godziwą od niegodziwej, pisał: „Którzy nie dla innszej przyczyny wszczynają wojnę, jeno dla sławy albo dla rozszerzenia państwa, ci bardzo źle sprzyjają ludziom i ich rzeczom“. A o jedno pokolenie później „Tacyt polski“ Maksymilian Fredro odzywa się: „My życzymy spokoju dla wszystkich narodów... walczymy za krzywdy i za nasze domowe ogniska.“

Potworność nazywająca się wojnami sukcesyjnymi, które dla interesów dynastycznych szerzyły mordy i zniszczenie, tak zwykła w historii Europy, była w Rzeczypospolitej polskiej czemś nieznanem i obcem. Król Zygmunt Stary, gdy ofiarowywano mu koronę węgierską i czeską, rzekł te niespotykane w dziejach słowa: „Po co chcieć panować nad kilkoma narodami, gdy tak trudno przysporzyć szczęścia jednemu“, słowa, których głęboką mądrość życie tyle razy sprawdziło.

Wysłany do Polski Francuz Choissin w roku 1573 pisał z podziwem: „cette nation deteste l'effusion du sang, si ce n'est contre les ennemis déclarés“, „naród ten nie nawidzi rozlewu krwi, chyba gdy ma przed sobą zdecydowanego nieprzyjaciela“. Polacy ówczesni byli świadomi tej odrębności swej psychiki i wysokiego poziomu swej kultury obyczajowej i szczylicili się tem, mówiąc: „o nas inne narody powiadają, że *dulcis est sanguis Polonorum*“ (słodkie jest uposobienie Polaków) i dodawali z dumą: „Abhorrent lectissimi et dulcissimi mores nostri ab omni crudelitate, natura ipsa nostra ad omnem humanitatem facta, refugit ferocitatem“, „nasze obyczaje pełne oglady i słodczy brzydzą się wszelkiem okrucieństwem, a sama nasza natura, skłonna do wszelkiego humanitaryzmu, stroni od krwiożerczości“ (W. Sobieski „Hugenoci“).

Typ polskiej siły zbrojnej w nowszych czasach i aż niemal do końca tworzyło pospolite ruszenie. Było ono

przeznaczone wyłącznie do obrony i zgodnie z tem nie mogło być wyprowadzone po za granice państwa. Do służby w pospolitem ruszeniu, do udziału w jedynie usprawiedliwionej w oczach Polaków wojnie — odpornej, obowiązany był każdy obywatel-szlachcic (mieszczaństwo miało sobie powierzona obronę miast) i spełnienia tej powinności strzegła bardzo stanowcza egzekutywa. W dawniejszych czasach ci, którzy na wezwanie nie stawili się, podlegali wręcz karze śmierci i konfiskacie majątku. Ustawa nowsza z roku 1676 skazywała winnych na utratę dóbr, które przechodziły na własność skarbu publicznego. Od obowiązku służenia można było uwolnić się tylko dla ważnych powodów za wyraźnem zezwoleniem sejmu.

Gdy w XVII wieku cała Europa reorganizowała się militarnie, stwarzając wielkie stałe siły zbrojne, gdy gorączkowo stosowano wszędzie „postęp“ w taktyce wojennej i technice broni, aby się móżd skuteczniej wyniszczać i mordować, Polska nie poszła za ogólnym prądem. Prócz koniecznych załóg dla bezpieczeństwa na pograniczach, (t. zw. obrona potoczna) nie chciała utrzymywać wojsk w czasie pokoju. Szlachta zwalczała namiętnie ideę znaczniejszej armii stałej, nie zamierzając podejmować przeciw nikomu wojen napastniczych, a oceniając trafnie, że stała armia prowadzi do absolutyzmu, co doświadczenie dziejowe wszędzie potwierdziło. Po raz pierwszy, pod naciskiem zewnętrznego niebezpieczeństwa, sejm w roku 1788 uchwalił uzbroić i trzymać pod bronią sto tysięcy ludzi, ale — rzecz nader charakterystyczna — najwybitniejszy ówczesny autorytet wojskowy w Polsce, Kościuszko, w memoriale skreślonym podczas sejmu czteroletniego przemawia za naśladowaniem milicji amerykańskiej, tak podobnej do polskiego „pospolitego ruszenia“, stanowczo zaś oświadcza się przeciw stałej armii, bo toby „kajdany kładło na obywateli“.

Pomimo wstępu do wojen, który leżał w naturze polskiej i mimo wad i niedostatków pospolitego ruszenia, hi-

storia oręża polskiego jest także w nowszych czasach pełną świetnych czynów. O pierś polskiego rycerstwa w długoletnich i uporczywych walkach w XV wieku rozbiła się największa wówczas w Europie potęga militarna, Zakon krzyżacki, który przeobraziwszy się na darowanych sobie ziemiach w zbójckie państwo, w imię krzyża uprawiał międzynarodowy rabunek. Chwała zwycięstwa, odniesionego przez rycerstwo polskie nad Krzyżakami pod Grunwaldem, nie zdołała jeszcze przebrzmieć, gdy znamię półksiężycza rzuciło postrach na Europę. Polska, wysunięta najdalej na ówczesny wschód europejski, wystąpiła teraz do długoletniego boju w obronie chrześcijaństwa i kultury zachodniej, z pełną świadomością posłannictwa, jakie historia na nią włożyła. W roku 1444 młodociany król Władysław padł w bitwie pod Warną. Odtąd, a zwłaszcza 6d upadku Węgier, zapanało wśród rycerstwa polskiego przekonanie, że stanowi ono żywy mur ochronny, którego przeznaczeniem zasłonięcie Chrystusowego krzyża przed fanatyczną potęgą Osmanów. Zadanie to wśród ciężkich walk zostało świetnie spełnione. Zasłynęła wówczas w całym świecie niezwykczona skrzydlata jazda polska — „hussary“ — stanowiąca właśnie rdzeń pospolitego ruszenia. Mogilami swemi pokryła szlachta stepy Bessarabii, Węgier i podnóża Bałkanów. Przez szeregi pokoleń najwięksi wodzowie polscy ciągnęli na tradycyjny bój z nawałą otomańską i nie tylko walczyli ośbicie, ale i ginęli, jak świetny wzór rycerza bez skazy i lęku, wielki hetman Stanisław Żółkiewski, poległy w roku 1620. Prawnuk jego po kądzieli, król Jan Sobieski, pod murami oblężonego Wiednia w roku 1683 złamał ostatecznie przewagę Turcyi i położył kres groźbie, wiszącej od dwóch przeszło stuleci nad krajami chrześcijańskimi.

Mimo więc odrady do wojen, mimo zasadniczego wstępu do armii stałej, mimo swej „dulcis sanguis“, dorastała Polska do najwyższych zadań militarnych owego czasu. Zwycięzka i silna, nie używała jednak swej broni

do napaści i grabieży. Przeciwnie, broniła przed napaścią. Była przedmurzem i ochronną tamą Europy. Gdyby przez pół tysiąca lat o polską groblę nie rozbijały się fale niszczącej powodzi Mongołów i Turków, Europa nigdy by nie doszła była do późniejszego rozkwitu. Rycerstwo nasze posiadało pełne poczucie tej swojej wielkiej roli dziejowej, jak świadczą niejednokrotnie wynurzenia ówczesne. To górne pojęcie o misji, spełnianej przez oręż polski, wyraziło się między innymi prastarym obyczajem, iż podczas czytania ewangelii obecne w kościele rycerstwo wyciągało do połowy szablę z pochew, w dowód, że gotowe jest bronić każdej chwili wiary, gdyby była przez kogo zagrożona. W owym okresie było to najwyższe idealne dobro, jakie człowiek uznawał. Tylko takie wniosłe motywy miały moc porywania Polaków do walki orężnej.

Wypowiedzenie wojny należy w dawnej Polsce do kompetencji narodu, zgromadzonego w osobach swych prawnie i swobodnie wybranych przedstawicieli. Nikt po za sejmem nie posiada władzy wezwania pospólitego ruszenia. Już w roku 1496 prawo zwolywania go, przysługujące do tej pory królom, przeszło na sejm. Od roku 1573, t. j. od pierwszych „artykułów” i „pactów”, przedłożonych Henrykowi Walezemu, każdy monarcha przysięga: „o wojnie albo ruszeniu pospólitem nic zaczynać nie mamy mimo pozwolenie sejmowe wszech stanów”, oddając tym sposobem sejmowi prawo decyzji o wypowiedzeniu wojny wogóle, choćby miała być prowadzona wojskiem zaciężnym i kosztem samego króla. Na tem stanowisku utrzymało się prawo państwowe polskie bez zmiany zasadniczej aż do końca istnienia Rzeczypospolitej. Decyzja narodu stanowiła hamulec, który utrudniał państwu popadanie w konflikty i to tem bardziej, że towarzyszyła temu zasadnicza niechęć do rzezi wojennych. Wobec możliwości rozlewu krwi ludzkiej, żadne państwo nie rzadziło się nigdy tak wysokimi skrupułami moralnymi, jak polskie. Przed rozpoczęciem wojny sejm zastanawiał się

niejednokrotnie w specjalnej komisji, czy jest ona nieuprzedmiotowiona, czy w sporze, który groził zatargiem zbrojnym, słuszność jest po stronie Polaków. Pojęcie słuszności, które w stosunkach międzynarodowych wygląda jak ton zabłąkany z innego świata, to pojęcie istniało w polityce państwa polskiego jako wartość realna. Uważano je za tak ważny czynnik życia, że wychowawca wszczepiał je młodzieży już na ławie szkolnej, razem z pierwszymi elementami kształtującymi charakter. Ustawa Komisji edukacji naodowowej z roku 1785 nakazywała szkołom: „W nauce historii nauczyciel nigdy nie będzie nazywał polityką t. j. umiejętnością rządu ani bohaterstwem tego, co jest chytrością, zdradą, podłością, gwałtem, przemocą, najeźdźcą i cudzego przywłaszczeniem”. Takiej urzędowej instrukcji wychowawczej napróżno szukalibyśmy gdziekolwiek nie tylko wówczas, ale i dziś. W Polsce wpływała ona logicznie z wysokiego poziomu, na który wzniosły się były już od wieków poglądy na życie.

Wobec ogólnego zmilitaryzowania się Europy i drańskich zapędów innych państw wysokie to moralne stanowisko zemściło się potem strasznie na Rzeczypospolitej. Ze jednak polska myśl, która wzdragała się niegdyś przed widmem kielkującej naówczas powszechnej zbrojności—była słuszną, że interesom kultury odpowiadała ona, a nie idee, które niebawem miały przejść po trupie Polski i z czasem świat zamienić w koszary, o tem przekonywa ta potworna zatrać ludzi i rzeczy, jakiej Europa doczekała się na początku XX wieku.

SZERZYCIELKA WOLNOŚCI.

Promieniowanie swobód. Szlachta litewska przed unią i po unii. Stuletnie oddziaływanie na Moskwę. Program federacyjny Żółkiewskiego: myśl unii polsko-litewsko-moskiewskiej. Po utracie państwa. „Za naszą i waszą wolność”. Udział w ruchu wolnościowym Europy. Uniwersalizm sprawy polskiej. Nowoczesna rola Polaków jest kontynuacją ducha dawnej Rzeczypospolitej.

W długim swym bycie dziejowym Polska, wchodząc w styczność z innymi narodami, mianowicie ze słabszymi lub niżej rozwiniętymi, nosła im nie więzy, lecz ich rozkucie, nie jarzmo, lecz dar wolności. Gdy w roku 1611 wojska polskie zdobyły po długim oblężeniu potężną twierdzę graniczną Smoleńsk, która była oddawna przedmiotem sporu między Polską a Moskwą, wybito w Warszawie dla upamiętnienia tego zwycięstwa medal ze znamennym napisem: „Dum vincor liberor”, „Zwyciężony — otrzymuję wolność”. Istotnie, przez ponowne przyłączenie do Rzeczypospolitej stawał się Smoleńsk uczestnikiem jej szerókich swobód. Medal smoleński, to jakby symbol naszej roli dziejowej, która polegała na promieniowaniu idei wolności wszędzie dokąd dotarła polska stopa. O tej roli mówią w pierwszym rzędzie warunki, w jakich dochodziły do skutku związki i unie, które zawierały z nami ościenne kraje i ludy: unia z Litwą, przystąpienie miast i rycerstwa Prus, przystąpienie Inflant. Obu ostatnim krajom przyniosła Rzeczpospolita bądź wyzwolenie z pod ucisku już istniejącego, bądź zabezpieczenie przed uciskiem grożącym, a w obu wypadkach udział w wytworzonych

przez siebie instytucjach, wyrosłych na bujnej glebie wolności.

Nadewszystko jednak występuje to promieniowanie swobód polskich w stosunku do rozległych ziem Litwy i Prus.

W chwili zbliżenia się do Polski Litwa i związane z nią ziemie ruskie rządzone były przez najklasyczniejszy despotyzm we wszystkich warstwach swej ludności. Wielki książę był właścicielem całego państwa i wykonywał władzę niczem nieograniczoną. Ulegał jej nie tylko lud prosty. Bojarzyn rusko-litewski nie mógł rozporządzać ani swą posiadłością ani nawet losem najbliższej rodziny, nie miał prawa poślubić żony bez wiedzy swego kniazia, nie wolno mu było też opuszczać granic kraju: był niewolnikiem. Akt unii horodelskiej z r. 1413 mówi o bojarach wyraźnie i z całą plastyką: „jarzmo niewoli, w której do tego czasu zamotani i związani byli, z szyi ich składa się i rozwiązuje”. Od pierwszego zetknięcia się z despotą litewską Polska szerzy tu wolność.

Już pod wpływem początkowych unii absolutyzm książęcy ulega ograniczeniom, które stopniowo i stale zataczają coraz szersze kręgi. Bojarzy zyskują wraz z godnością zachodniego rycerstwa wolność osobistą i majątkową, z niewolników wielkksiążęcych stają się obywatelami, posiadającymi prawa, których wola władcy nie mogła ich pozbawić. Przywilej z roku 1387 zapewnił im swobodę stosunków rodzinnych. Na podstawie tego samego aktu otrzymują na własność ziemię, posiadaną dotychczas warunkowo, z rąk księcia. Przywileje z roku 1434 i 1447 czynią ich uczestnikami niedawno przedtem przez szlachtę polską zdobytego prawa, że nie mogą być bez sądu więzieni („Neminem captivabimus”) i że majątek nie może im być zabrany inaczej, jak wyrokiem sądowym. Obok praw obywatelskich zdobywają dzięki zbliżeniu się do Polski prawa polityczne. Dotychczas samowładny wielki książę litewski nie oglądał się zgola na ich apro-

bate, gdy chodziło o zarządzenia ustawodawcze, o kwestie skarbu, o stosunki administracyjne, polityczne, czy wojskowe. Nawiązanie węzłów z Polską wprowadziło tu gruntowne zmiany. W miarę, jak rozwijała się i urzeczywistniała idea unii, bojarzy zyskują wzorem polskim udział w rządzie przez odpowiednie instytucje publiczne (sejmy, sejmiiki, sądy), a wreszcie, podobnie jak w Koronie, pełne republikańskie kierownictwo spraw państwowych. Te wszystkie swobody nadawane były pod wpływem wolnościowego ducha polskiego i łączyły się nawet formalnie z aktami unii, co sami Litwini wyraźnie określili słowami: „prawa wolnija, dobryja, christijauskija, kak w Korunie polskoj”. Przejście stosunków sięgnęło tak głęboko, że nawet orientalne dotąd niewolnictwo ludu na Litwie przeszło w poddaństwo zachodnie w jego umiarkowanej polskiej postaci.

Opór przeciw myśli unii ze strony Litwy, tak podkreślany przez historyków obcych, zwłaszcza rosyjskich, był oporem garstki tylko oligarchów, którzy bali się słusznie, że po zbliżeniu i upodobnieniu się państwa litewskiego do Polski nie będą mogli utrzymać nadal swego prawnie uprzywilejowanego stanowiska. Natomiast parla do unii całą siłą liczna rzesza bojarów, którą musiał pociągać szlachecko-demokratyczny ustrój Korony i jej to dziełem był ostateczny związek obu narodów w Lublinie. Niedługo przed sejmem lubelskim bojarstwo, zebrane w obozie pod Witebskiem, związało się w konfederację dla energiczniejszego poparcia swoich żądań i w stanowczo zreagowanym akcie domagało się ostatecznego utrwalenia łączności z Polską, chcąc zabezpieczyć sobie pewniej te wszystkie urządzenia, swobody i wolności, których posiadaniem cieszyła się szlachta polska. Jakoż wolności te, wpłynawszy raz pełną strugą do despotycznego niedawno księstwa, i podniósłszy je na wyższy poziom polski, przetrwały tam aż do końca istnienia wspólnej Rzeczypospolitej.

Misję rozkuwania więzów absolutyzmu, spełnioną tak pomyślnie na Litwie, usiłowała Polska rozciągnąć następnie na dalszy wschód — moskiewski.

Wpływ Polski na despotyczną Moskwę rozpoczął się pod koniec XVI wieku, gdy wraz z przybywającymi coraz liczniej do carstwa Polakami poczęły przenikać tam pojęcia o prawach obywatelskich i konstytucyjnym rządzie. „Zetknięcie się z Polakami — pisze Piotr ks. Dołgorukow w swej „Verité sur la Russie“ (Paryż 1860) — przypomniało moskiewskim bojarom do jak upadłego stanu niewolnictwa zostali doprowadzeni, będąc i graską carskiej woli, podlegając tyranii, a nawet cielesnej chłości. Szlachta moskiewska patrzyła z zazdrością na liczne swobody, jakich używała szlachta polska”. Pierwszym skutkiem tego była próba wprowadzenia urządzeń polskich w Moskwie za Dymitra Samozwańca (1605) oraz próba bojarów ograniczenia absolutnej władzy cara Wasila Szujskiego (1606—1610), od którego zażądano zobowiązania się, że nie będzie samowolnie konfiskował niczego mienia i nie będzie skazywał na śmierć bez sądu i który też rzeczywiście wystawił przy objęciu rządów „zapis“, ograniczający prawa monarchów w stosunku do życia i mienia poddanych. „Zapis“ ten — zauważa Kutrzeba — „toć to odbłask artykułów Henrykowskich z roku 1573, toć to moskiewskie „pacta conventa“ na polską modłę“. Dla pewniejszego wprowadzenia swobód do Moskwy postanowili bojarzy zaprosić na tron moskiewski Polaka, królewicza Władysława. Dumny dyak, t. j. kanclerz Iwan Gramotin, podczas poselstwa w Krakowie żądał wyraźnie, aby przyszły władca „nadał wolności, których przedtem nie bywało w hosudarstwie moskiewskiem“ — wolności polskich. Utworzyło się w Moskwie stronnictwo reform wolnościowych, „stronnictwo polskie“, które dąży do połączenia się z Rzeczpospolitą, a do którego należą znakomite rody bojarские Szachow-

skich, Sałtykowów, Trubeckich, Mścislawskich, Massalskich, Dołgorukich, Wałujewów, Szeremetiewów i innych. To stronnictwo przeprowadziło w roku 1610 wybór Władysława, strąciwszy z tronu Szujskiego, którego zamknęto wprzód w monasterze a potem wydano Polakom jako więźnia. Wpływ Polski na Moskwę doszedł wówczas do szczytu i wyraził się w intensywnym szczepieniu w wyższych warstwach pojęć o swobodach obywatelskich i politycznych.

Wódz polski Żółkiewski, który po pobiciu wojsk cara Szujskiego pod Kluszyńnem wkracza jako zwycięzca w bramy Moskwy, nie niesie tam pęt niewoli, lecz szeroko zakrojony program federacyjny: rozszerzenia unii polsko-litewskiej na państwo moskiewskie wraz z wszystkimi wolnościami, jakie posiadała Rzeczpospolita Jagiellońska. Kontynuuje on pod tym względem myśl wielkiego kanclerza Zamoyskiego, który już w roku 1585 wypracował był projekt zjednoczenia Polski i Litwy z Moskwą na zasadzie równorzędności, „iżby się z nami złączyli i zuniowali w jedną Rzeczpospolitą“. Była to olbrzymia koncepcja objęcia unią całego wschodu Europy. Żółkiewski rozumiejący w pełni wielkość tego zadania, pouczony tak niedawnym przykładem Litwy, która dwa wieki dojrzewała do zupełnego przyjęcia zasad wolności, w liście do kanclerza litewskiego Lwa Sapiehy pisał: „Jeśli nie zaraz tak, jakbyśmy życzyli i jako chcemy, mądrego filozofa sentencja: successive est motus. Z waszmościami, bracią naszą, narodem W. Ks. Litewskiego, wyszło lat 160 od unii króla Jagiełły, niżli do tej, jaka teraz jest, wspólności z Koroną przyszło. Pierwej mała różdżka — mówił obrazowo — czasem bywa z niej wielkie drzewo. Z tych początków, które teraz Pan Bóg dał, mogą przyjść rzeczy do doskonałości“.

Zrazu rzeczy te szły pomyślnie i zdawało się, że absolutyzm na ogromnych obszarach wielkiego księstwa mo-

skiewskiego padnie pod wpływem polskim, jak padł na Litwie. Wzorując się na Jagiellońskiej Rzeczypospolitej ustanowiła Moskwa przedstawicielstwo narodu w dwóch izbach (Duma bojarska i ziemska), bez których zgody panujący nie mógł wydawać ustaw, nakładać nowych podatków, zawierać traktatów i przymierzy, wypowiadać wojen, a tracił również prawo karać bez sądu śmiercią i konfiskatą dóbr. Za przykładem polskim wprowadzono sądy obieralne. Pomiedzy carem a bojarami miała istnieć umowa tym razem istotnie na wzór „pactów conventów“. Jeszcze gdy o rafę tajonych ambicyj Zygmunta III, o jego tępy upór i ciasnotę rozbił się plan Żółkiewskiego i po dwuletniem bezskutecznem czekaniu Moskwy na przybycie królewicza Władysława na tron wstąpił Michał I Romanow, bojarzy, korzystając z jego młodości, zniewolili go do złożenia przysięgi na rzędy konstytucyjne, które weszły istotnie w życie. Lecz już w roku 1618 ojciec nowoobranego władcy metropolita Filaret, powróciwszy z Polski, gdzie jako jeniec przebywał i objawszy rejęncję u boku młodocianego cara, stanął na czele reakcji, która nienawistnie i skutecznie poczęła niszczyć tę pierwszą w Moskwie „konstytucję“. Szczęśliwie jej unosiły się jeszcze długo na powierzchni moskiewskiego życia. Do Piotra I ukazy nosiły jeszcze nadpis: „car rozkazał a bojarzy przytwierdzili“. „W wieku XVII — zapisuje A. Giller podczas niedobrowolnych swych studyów nad Rosją („Z wygnania“) — pod działaniem myśli polskiej w państwie moskiewskiem wyrobiło się nietylko w bojarach, ale i w ludzie silne dążenie do swobód politycznych, co przejawiało się w licznych zaburzeniach i wstrząśnieniach tego stulecia w Rosyi“. Aż do schyłku XVII wieku wszelkie próby moskiewskie ukrócenia absolutyzmu były czerpane ze źródła polskich idei politycznych, tak jak znacznie później czerpano je z ducha wielkiej rewolucji francuskiej. Piotr, t. zw. „Wielki“, zdusił ostatnie ślady Jagiellońskie-

go posiewu, zastępując je już całkowicie wzorami, przenoszonymi przedewszystkiem — z Niemiec¹.

Osobny rozdział przyciągającego działania polskich swobód przedstawiają tragiczne dzieje Nowogrodu. Pod koniec XVI wieku ludność tej starej republiki ruskiej, zagrożona przez despotyzm Moskwy, zdecydowała się szukać ocalenia w opiece Rzeczypospolitej i prosić o wcielenie do sąsiedniej Litwy. Ten samozachowawczy odruch ku połączeniu się z krajem wolności utopił Iwan Groźny w krwi Nowogrodzian, wyprawiając ową słynną w dziejach straszną rzeź, od której zaczerwieńczyły się wody Ilmenu.

Urok swobód polskich w ciągu omówionego tu okresu był w pewnej części wyższych warstw społeczeństwa moskiewskiego tak silny, że od czasów Iwana Groźnego odbywała się nieustanna emigracja bojarów, którzy raz po raz przekraczali granice polskie, aby w nich pozostać na zawsze. „Jak ptaki pod jesień — pisze prof. Wacław Sobieski w rozprawie „Król a car“ — jeden bojar po drugim ucieka od mroźnych lodów północy i szuka schronienia w kraju złotej wolności, a przedewszystkiem ów głośny książę Kurbski, który przybywszy do Krakowa w sławnym swym liście zlorzeczy tyranowi i wzywa go na sprawiedliwy sąd Boga“. Gdy w pięćdziesiąt lat później ze wstąpieniem na tron pierwszego Romanowa stronnictwo reform po krótkim powodzeniu upadło pod ciosami reakcji, wielu oświecenijszych bojarów wraz z rodzinami znowu wynosiło się do Polski, wyrzekając się nawet majątków, jak n. p. znakomity ród Soltykowów, którego

¹ Równolegle z tem oddziaływaniem politycznem także kultura polska w XVII wieku szerzyła się na wschodzie moskiewskim, tak, że bojarzy uczyli się polskiego języka i czytali polskie książki w oryginale, poeci pisali wiersze polskie, a damy moskiewskie nawet modliły się na psalterzu Kochanowskiego. Czytany był w Moskwie nasz Modrzewski, Ostroróg, Bielski, Strykowski. Niektórych autorów polskich tłómaczono po kilka razy.

jedna gałąź wyemigrowała do Rzeczypospolitej i wkrótce dostarczyła nowej ojczyźnie wybitnych patriotów.

Idea wolności, ten główny składnik polskiej kultury politycznej, nie przestała promieniować na obce ludy i po upadku Rzeczypospolitej. Przez cały wiek XIX Polacy bądź wywołują ferment bądź spieszą z pomocą wszędzie, gdzie chodzi o obalenie despotyzmu. Walczą z nim przedewszystkiem u siebie w domu, podnosząc w szeregu krwawych starań broń przeciw ujarzmicielom własnej ojczyzny, przyczem na prześladowców swych, działających z rozkazu rządów zaborczych, patrzą z pogardą a zarazem z litością jako na urodzonych niewolników, a lepsze żywioły niejednokrotnie przeciągają na swoją stronę; przykładem liczne spolszczone rodziny urzędnicze niemieckie, które uległy czarowi idei polskiej i dostarczyły narodowi naszemu najwierniejszych synów. Sprawę własną łączą Polacy nierozdzielnie ze sprawą wolności powszechnej. W roku 1831 żołnierze rewolucyj listopadowej, idąc w bój z despotyczną Moskwą, wypisują na swych znakach najwznioślejsze hasło, jakie kiedykolwiek w dziejach pojawiło się na sztandarach wojennych, hasło: „za naszą wolność i waszą“, w którym odbija się cała wielkość dziejowej duszy polskiej, zdolnej widzieć we wrogu nieszczęśliwego spodłonego brata i pragnącej go podnieść na ludzkie wyżyny. Świadomość łączności sprawy polskiej ze sprawą powszechnego wyzwolenia ożywia wybitnie sejm warszawski roku 1831, gdy w manifestie swym wola: „Prawy Polak, jeżeli ulegnie, zginie z tą w sercu pociechą, że jeśli własnej wolności uratować nie pozwoli mu nieba, śmiertelną walką zasłonił przynajmniej na chwilę zagrożone europejskich ludów swobody“. Walcząc przeciw tyranom własnej ojczyzny, rozumieją Polacy, że walczą zarazem o szczęście wszystkich ludów i naodwrot, niosąc broń przeciw despotyzmowi w jakimkolwiek zakątku świata, wierzą, że biją się pośrednio o wolność Polski. Ze pogląd ten był trafny, że rzekomy roman-

tyzm naszych ojców, polegający na popieraniu walki o wolność wszędzie, gdzie się ona toczy, był koncepcją realną i nawskroś trzeźwą, to zrozumieliśmy w całej pełni dopiero dziś, gdy widzimy, że Polska powstała na gruzach pruskiej i moskiewskiej despotyi i wiemy, że najskuteczniejszą gwarancją jej niepodległości jest przebudowa świata na takich podstawach, aby każdy naród mógł sam stanowić o swoim losie.

Przez szereg pokoleń porozbiorowych trwa u nas tradycja czynnej pomocy dla cudzej słusznej sprawy. Zapoczątkowało ją dwóch bohaterów narodowych, Kościuszko i Pułaski, którzy nie mogąc być chwilowo jako żołnierze przydatnymi własnej ojczyźnie, wyprawiają się do Ameryki, by ofiarować jej oręż w walce o wyzwolenie. Kościuszko zdobywa sobie tam prócz szlif generalskich tak wielką popularność, że gdy w dwadzieścia lat później ponownie staje na ziemi amerykańskiej, lud w Filadelfii wyprzęga konie od powozu i wiezie go sam, jako swego zbawcę¹. Niezmienne charakterystyczną jest rola Pułaskiego. Ten eks-konfederat, typowy przedstawiciel starszylachetczyzny polskiej, nie musiał nawet po wierchu przez idee oświecenia (które znał i podzielał Kościuszko), uważa sprawę młodej republiki północno-amerykańskiej za tak bliską sobie, że za nią ginie. Świadczy to dobitnie, że mógł tam widzieć odbicie przewodnich idei własnej ojczyzny, że ta „zacofana“ Rzeczpospolita polska z przed epoki 3 maja była formacją duchowo pokrewną republice Nowego Świata. Do Franklina mówi Pułaski z prostotą: „W narodzie naszym obrzydzenie jest do wszelkiej tyranii, więc gdzie tylko na kuli ziemskiej biją się o wolność, uważamy oną jakby własną sprawę“. Ta nie snuje się odtąd nieprzerwanie.

¹ Kościuszko wyprzedza pojęciami wolnościowcami nawet tak wielkiego bohatera wolności, jak Waszyngton, oświadczając się wraz z Jeffersonem gorąco za wyzwoleniem murzynów, czego Waszyngton jeszcze nie rozumiał.

Po upadku Rzeczypospolitej pojawiają się Polacy w szeregach rewolucyjnej armii francuskiej i według plastycznego wyrażenia Karola Marxa „pomagają burzyć feudalną Europę“. Legiony Dąbrowskiego walczą „za sprawę wspólną wszystkich narodów“, jak głosi pierwsza odezwa werbunkowa z Medyolanu, a legionieci noszą na czapkach z dumą napis: „ludzie wolni są sobie braćmi“. Ideały te żyją w sercach Polaków i wówczas, gdy pułki polskie spieszą tłumnie za chorągwiami Napoleona, roznoszącymi w strupieszalą Europę zdobycze wielkiej rewolucyi. Emigracja polityczna z Polski po roku 1831 daje potężną podniętę ruchowi „Młodej Europy“. W latach 1846—1848 znajdują się polscy emigranci na wszystkich barykadach i na wszystkich polach bitew o wolność. Scigani przez reakcję pogardliwem przewżwiskiem „konduktów wolności“, znienawidzeni przez rządy despotyczne, walczą jako żołnierze, oficerowie i wodzowie we Francyi, we Włoszech, na Węgrzech w Niemczech, w Austrii. Polak Mierosławski dowodzi powstaniem niemieckim w Badenie i włoskim na Sycylii. Generał Chrzanowski działa w północnych Włoszech na czele armii sardyńskiej. Do Medyolanu z utworzoną przez siebie legią polską ściąga Adam Mickiewicz, proklamując wojnę o wolność wszystkich ludów i wypisując na sztandarze hasło rozszerzenia chrześcijaństwa z dziedziny życia jednostkowego na stosunki międzynarodowe. Wśród „tyśiąca“ Garibaldińczyków są również Polacy. Śpiewano wówczas we Włoszech pieśń zaczynającą się słowami: „La liberta d'Italia, che tanto deve a voi, bravi Polacchi!“ — pieśń dziękczynną za krew naszą przelaną dla wyzwolenia Włoch. W Wiedniu rewolucję 1848 organizuje wojskowo Polak pułkownik Bem, a polski mąż stanu Smolka kieruje obradami pierwszego parlamentu austriackiego. Do powstania na Węgrzech zaciągają się tysiące Polaków: generał Dembiński jest dwakroć wodzem

naczelnym wojsk węgierskich, generał Wysocki dowodzi osobnym polskim legionem, generał Bem okrywa się nieśmiertelną sławą jako niezwykły partyzant w Siedmiogrodzie. W roku 1863 na Ukrainie powstańcy polscy, prawie wyłącznie z kół szlachty, ogłosili t. zw. „Złotą hramotę”, przyznając chłopom ruskim wolność i uwłaszczenie, chociaż to było wbrew interesom klasowym tamtejszego polskiego ziemiaństwa. To samo uczyniono na Litwie.

Jak niegdyś byli przedmurzem wobec barbarzyństwa wschodniego, tak po upadku stali się Polacy szermierzami powszechnej wolności. *Naszą krew okupione zostały w znacznej części te prawa, które są dziś udziałem konstytucyjnie rządzonych i wyzwolonych narodów Europy*¹.

Ideal polityczny, który reprezentowała Polska ujarzmiona i Polska w rozpysce emigracyjnej, sprawił, że zwłaszcza około połowy XIX wieku nabrała kwestya polska charakteru uniwersalnego. „Młoda Europa” widziała w jej rozwiązaniu warunek powszechnego zwycięstwa wolności. Odczuł to zwłaszcza żywo geniusz ludu francuskiego, który od roku 1831 przez trzy dziesięciolecia w literaturze, w parlamencie i w demonstracjach olicznych Paryża parł do wojny o Polskę. Historyk francuski Henryk Martin („La Russie et l'Europe”, 1866) stwierdza, że we Francji sprawa nasza była znacznie popularniejsza od włoskiej, która przecież budziła tyle entuzjazmu. Świadomość ścisłego związku między wyzwoleniem Polski, a obaleniem reakcji wystąpiła dobitnie wśród najlepszych umysłów Rosji, z których np. w roku 1863 Aleksander Hercen przewidział trafnie: „Upadek sprawy polskiej niezawodnie zatrzyma naszą rosyjską”. Zatrzymał ją,

¹ W sejmie pruskim 1918 roku zawołał polski poseł (Korfanty): „W roku 1848 rodacy moi dopomogli narodowi niemieckiemu do tego, że ta izba wogóle istnieje. Krew polska, przelana na ulicach Berlina, sprawiła to, że wy panowie możecie tu zasiadać i obradować”.

gdyż zgniecenie polskiego powstania stało się punktem wyjścia do pogrzebania reform liberalnych Aleksandra II i wznowienia ery najczarniejszej reakcyi na obszarze połowy Europy, od Wisły po Ural. Powszechny prąd popularności sprawy polskiej, jako jednoznacznej z ogólnoeuropejską sprawą ludów, porwał także Niemców. Szczątki pobitej armii naszej z roku 1831, wychodzące z kraju i dążące na zachód, były w przechodzie przez kraje niemieckie przedmiotem powszechnego uwielbienia społeczeństwa (równocześnie rząd pruski chwycił polskich żołnierzy i wydawał ich Moskwie). W roku 1848 po wybuchu rewolucyi marcowej rozegrała się w Berlinie pamiętna scena, gdy Polaków uwolnionych z więzienia tłum wśród okrzyków „Niech żyje Polska!” poniósł na rękach przed zamek królewski i domagał się dla nich natarczywie pokłonu, który wylekniiony król pruski złożył z okien swego pałacu. Niemcy ówczesni, ogarnięci dążeniami wolnościowemi, wielokrotnie dawali wyraz przekonaniu, że bez wyzwolenia Polski nie ma wolnej Europy. „Wolna Polska — pisał historyk Karol Hagen — dałaby możność ugruntowania się wolności politycznej w krajach, których ludy podniosły już rokosz, stałaby się nowym bodźcem dla narodów ujarzmionych i umożliwiłaby ruch wolnościowy nawet tam, gdzie dotychczas go nie było. W Polsce musi rozstrzygnąć się sprawa wolności”. (Limanowski: „Udział Polaków w walkach wolnościowych”). Zbudowanie demokratycznej Polski — pisał Karol Marks — jest pierwszym warunkiem zbudowania demokratycznych Niemiec”. W owym to czasie liczni poeci niemieccy, Lenau, Hebbel, Körner, Anastazy Grün, Holtei, Kinkel, Platten, Uhland, Chamisso, Herwegh, Moser (autor popularnej następnie i u nas pieśni, „Tysiąc walecznych”) i inni tworzyli natchnione hymny na cześć Polski wojującej z despotyzmem („Polenlied”). „Dein Krieg — es ist ein heiliger Krieg, dein Sieg — es ist ein

Völkersieg", „wojna twoja jest świętą wojną, zwycięstwo twoje jest zwycięstwem ludów", wołał do Polski poeta niemiecki Ernest Ortlepp. W utworach tych biały orzeł uwikłany w śmiertelny bój z orłem czarnym był przedstawiany często jako symbol walki o wolność. „Cywilizacja europejska i wolność, według powszechnego przekonania ówczesnego, walczyły pod sztandarem białego orła", stwierdzał w wiele lat później nienawistny nam historyk niemiecki Treitschke („Deutsche Geschichte im XIX J.").

Ludy Europy w tym okresie najwyższego wzniesienia się swego poziomu moralnego chyłą głowę przed duchową siłą wywłaszczzonego i prześladowanego narodu, równocześnie zaś w świadomości polskiej pod wpływem zadawanych przez wroga katuszy powstaje na chwilę, jako odruch obronny, jako źródło dalszego wytrwania, mistyczna koncepcja, że Polska jest „Chrystusem narodów", że jak On, cierpi dlatego, aby zbawić ludzkość. Emanacja tego nastroju mesyanistycznego jest wspaniała w potęgę swego natchnienia poezja trzech wieszczów narodowych, powstała w owym czasie na emigracji.

Cała ta nowoczesna rola Polaków, nie tylko buntowniczo przeciwstawiających się władzy nieprawej u siebie, lecz także rozniecających żądzę wolności i walczących za wolność na całym świecie, tkwiła korzeniami głęboko w czasach ubiegłych. Była ona wynikiem wychowania się narodu naszego przez długie wieki w zasadzie kardynalnej, iż nie masz bytu godnego człowieczeństwa bez możliwości swobodnego o sobie stanowienia. Wśród przelewania krwi polskiej na wszystkich barykadach od Włsy po Tybr, była przejawem tej samej siły wewnętrznej, co niegdyś w świetnym pochodzie, łamiąc despotyzmy sąsiednie, z konstytucyjną kartą swobód posuwała się na Litwę i Ruś aż ku Moskwie. Była logicznym wypływem i kontynuacją ducha starej Rzeczypospolitej, który przed

pięciuset laty zdołał być już wytworzyć na wschodzie Europy organizm polityczny, oparty na wielkiej idei władztwa narodu, idei urzeczywistnionej przez nas wówczas w granicach, jakie zakreślały pojęcia epoki, a w ciągu ostatniego stulecia coraz wyraźniej kształtującej dzieje ludzkości.

T Y P B O H A T E R S K I

Polski probierz bohaterstwa. Wielkość typu Dżingischana. Żółkiewski. Kościuszko. Traugutt. Zgodność ideału z życiem. Nieuznawanie przemocy. Walka o „królestwo boże”. Wielki mąż w pojęciu Mickiewicza.

„Gdybym w jednym zdaniu miał określić charakter i cywilizacyjne stanowisko narodu, zapytałbym co uważane bywa w nim za Wielkość, co uchodzi za bohaterstwo narodowe”, mówi F. Koneczny w swej monografii o Kościuszcze. I stwierdza: „W Polsce ażeby być wielkim, trzeba mieć przedewszystkiem wielki charakter, wielkie serce, wspaniałość duszy. Nam nieznaną wielkość zbrodnicza, u nas nie dochodzi się do szczytu historycznego uznania ze splamionem sumieniem. Przez całych tysiąc lat pochodu dziejowego nie przyznaliśmy ani razu piętna wielkości nikomu, kto nie celował cnotą, czystością intencji, ofiarnością i poświęceniem. Słowem: tylko szlachetni mogą w Polsce być wielkimi”.

„Wielkość” n. p. pruskiego króla Fryderyka II lub moskiewskiego cara Piotra brzmiały w uszach polskich nie tylko z przyczyn, które nas bezpośrednio dotyczą, ale z ludzkiego punktu widzenia, jak epitet sztylerstwa. Genialny przedstawiciel despotyzmu, ani genialny oszust, ani genialny zaborca, ani wogóle gwałciciel czyichkolwiek praw, nie mogą w umyśle polskim wywołać skojarzenia z wielkością. Dla nas są oni tylko odmianami typu Dżingischana, który był przecież także potężną indywidualnością, był nie tylko niepospolitym wodzem ale także znakomitym organizatorem olbrzymiego państwa i olbrzymich

mas, lecz z powodu braku ideału moralnego skwalifikowany został przez zdrowy instynkt ludzkości nie jako bohater, lecz jako wódz wzorowo zorganizowanej hordy.

Polska nowoczesna miała wielu znakomitych i świetnych wodzów-obywateli. Takimi byli: Zamoyski, Tarnowski, Chodkiewicz, Koniecpolski. Takim był surowy Czarnecki, który powstał z tego „co boli”. Takim był najpopularniejszy z królów naszych, Sobieski. Takim księżem Józef Poniatowski, piastun wojskowego honoru Polski. Takim Henryk Dąbrowski, twórca Legionów. Lecz pojęcie bohaterstwa w najwyższym, przedstawicielskim znaczeniu tego wyrazu przylgnęło w pamięci narodu do tych, którzy — zwycięzcy czy zwyciężeni — stali się przez swe czyny wykładnikami najistotniejszej treści ducha narodowego.

Tej miary dosięgnął hetman Stanisław Żółkiewski, który wznosił się na widowie jako bohater-wyraziciel duszy swego plemienia.

„Hektor polski”, największa postać naszej historii w okresie szczytowego rozwoju Rzeczypospolitej, jest Żółkiewski nieprześcignionym w doskonałości wzorem człowieka, obywatela i rycerza. Jego wszystkim wyprawom wojennym towarzyszy wielka i z etycznego punktu widzenia wznosząca myśl dziejowa. Przez Kluszyn dąży do złamania despotyzmu moskiewskiego i ro rozszerzenia unii wolnych narodów na wschód. Przez bionia cecorskie — do zasłonięcia kultury chrześcijańskiej przed niszczącą i bezpłodną siłą otomańską. Wojskom swoim, przy całym zachowaniu dyscypliny, przyznaje cenne prawo, że mają wiedzieć za co się biją: gotów jest przed bitwą — jak na polach guzowskich — przemówić do nich o słuszności bronionej sprawy. Twardy wojownik, wzdyga się przed okrucieństwem i słaby zasłania przed krzywdą. Gdy tłumy niepokoją kozackie, równocześnie grozi kniaziowi Rożyńskiemu, że jeśli nie zaniecha pomsty na polspółstwie, najpierw przeciw niemu wyruszy w pole. Przez

sześć tygodni po złamaniu cara Szujskiego rządu w Moskwie, żegnany na odejściu nie jak wróg, lecz jak przyjaciel: „wszystka czerń — stwierdza pamiętnikarz — po ulicach zabiegała mu drogę, błogosławiąc”. Odhywa wspaniały wjazd tryumfalny do Warszawy, wioząc znakomitych jeńców, jakich w tym składzie żaden naród u siebie nie oglądał, bo samego cara Wasila i brata jego Dymitra pokonanego wodza naczelnego i drugiego brata Iwana i Fiedora Romanowa, już wkrótce założyciela nowej dynastii. Wśród tych powodzeń, okryty nieśmiertelną chwałą, o czem myśli Żółkiewski? „Życzę sobie — marzy — śmierci słodkiej dla wiary św., dla ojczyzny, ale nie wiem, jeśli tej łaski od Pana Boga godzien”, a w testamentie nakazuje niebawem: „Jeśli bym w potrzebie umarł, miasto aksamitu czarnego, który znaczy żalobę, niech trumna przykryta będzie szkarłatem” na znak — radości. Nic nie ma w nim interesu osobistego, ani śladu prywaty, ani cienia niskiej ambicji. Nie umie się płaszczyć, o nic nie prosi, z tryumfów się nie przechwala, o nagrody nie dba. W bezgranicznym zapomnieniu o sobie, wszystko dokoła mierzy miarą pospolitego dobra. Pod Cecorą ginie jak olbrzym. „Jeśli zostaniem zwyciężeni — mówi — nie między jeńcami, jeno między poległymi mnie szukajcie”. Jest w godzinie śmierci tak wielki i wspaniały, jak był przez cały swój długi żywot.

Na zwrotnym punkcie swych dziejów, między upadkiem państwowym a rozpoczynającą się epoką niewoli, wydaje Polska drugi równej doskonałości typ bohaterski w Kościuszcze.

Kościuszkę uważa swą władzę dyktatorską za „narzędzie do skutecznej obrony ojczyzny”, nie żywi żadnych samolubnych widoków i zgodnie z tem powołuje do steru ludzi bezwzględnie czystych i bezinteresownych, którzy, jak wyraża się, „dochowali nieskażonej cnoty w życiu prywatnem i publicznem”. Zawodowo wyszkolony wódz, jest jednak w zasadzie przeciwnikiem zarówno wo-

jen, jak stałego utrzymywania wielkich armii: skłania się raczej ku powszechnemu wyćwiczeniu wojskowemu narodu. Bitność żołnierza opiera nie tylko na tresurze, ale i na sile moralnej. W uniwersale polanieckim nawołuje: „Naprzeciw kupie niewolników postawmy masę potężną swobodnych mieszkańców”. Rzemiosło wojskowe rozumie tylko w służbie idei, godnej ofiar. Przelewając krew, czyni to, aby wypłenić „ród rozbójników”. Dlatego nienawidzi nawet Napoleona, jako uzurpatora, który prowadził narody na rzeź dla osobistego wyniesienia się. Dlatego do końca życia przechowywał w czci swój ideał młodości. Tymoleona z Koryntu, który strącał tyranów, lecz nigdy nie skorzystał z tego, by zająć ich miejsce. Dlatego tak bliskim był duchowi młodej wyswobodzonej Ameryki. Kościuszkę truchlała na myśl, że w Polakach mogłaby kiedykolwiek zrodzić się „czolgająca dusza”. Jako zwycięzca, po odparciu Prusaków z pod Warszawy, nie pozwala na łuki tryumfalne i protestuje przeciw kultowi swej osoby. „Ludzie — upomina — powinni pamiętać zawsze o swej godności człowieczej”. Szanuje tę godność także w nieprzyjacieli, okazując słynną wspaniałomyślność dla pokonanych. Wielkie jego serce ogarnia nie tylko własny naród. Każdy czyn Kościuszki wytryska z pragnienia szczęścia dla wszystkich, z dążenia do zniesienia wszelkiego ucisku i ugruntowania braterstwa ludów: za ten ideał walczy na drugiej półkuli ziemi. Pisma francuskie z końca XVIII wieku nazywały go „une âme toujours occupée de grandes idées”. Nieśmiertelny Jefferson świadczył o nim: „Jest to najczystszy syn wolności z pomiędzy wszystkich, jakich znam kiedykolwiek”.

W ostatniej porozbiorowej epoce naszych dziejów, skończenie doskonały typ polskiego bohaterstwa wystąpił w osobie Romualda Traugutta, dyktatora z roku 1863.

Gdy powstanie faktycznie już kona, Traugutt bierze na siebie obowiązek utrzymania go przez jesień i zimę roku 1863—64 do chwili oczekiwanej interwencji Euro-

py. Wszystko dokoła wali się w gruzy. On, tropiony ustawicznie, niepewny każdej godziny, ze swego ukrycia warszawskiego skupiając w swem ręku nici ruchu, prowadzi przez pół roku bezprzykładowy w historii bój z wielkim mocarstwem, podtrzymuje nadludzkim wysiłkiem żywotność sprawy i stwarza pozory wojny, w której nie brak nawet zwycięstw. Zawdzięcza to niesłychanej sile moralnej, czerpanej z przeświadczenia, iż służy wielkiej idei. W instrukcyach do wojska rozwija poglądy na to, jakim powinien być żołnierz polski. Obok karności, której umiał sam tak znakomicie przestrzegać w obozie, domaga się od dowódców „usiłowań do umoralnienia siły zbrojnej”. „Żołnierz polski — mówi w jednej z takich instrukcyj — powinien być prawdziwym żołnierzem Chrystusa”, „czystość obyczajów i nieskalaną cnotę ma wszędzie roznosić”. „Rząd narodowy — mówi jeszcze — patrzy na wojsko nie tylko jako na obrońców kraju, ale zarazem jako na stróżów i wykonawców prawa”. Do ostatniej chwili, gdy za progiem czyhają już siepacze carscy, trwa na stanowisku i z niezachwianym spokojem spełnia swą wielką i tragiczną rolę. Nakoniec: jest już tylko piastunem czci narodu. Już tylko ma wzniosłe umrzeć. I idzie naprzeciw śmierci męczeńskiej z tem samem napięciem silnej woli, z jakim przez długie miesiące odpowiadał czynami na hasło Francji: „Durez!” Tracony z całym aparatem straszliwej okazałości, z którego Moskwa zapragnęła uczynić symbol swego tryumfu nad jeszcze raz pokonanym ciałem Polski, z głową wzniesioną w górę, przekroczył próg wieczności. Urzędowy historyk rosyjski i świadek naoczny Berg mówi: „Zanim rozstał się z światem, już całe jego jestestwo należało do niezłomnych krain”.

W Żółkiewskim, Kościuszcze i Traugucie znajdziemy z łatwością te same pomimo przedziału wieków bliskie sobie, skoncentrowane rysy polskiego bohaterstwa. W najbardziej zasadniczej postaci można je uogólnić ja-

ko wyznawanie wysokiego ideału moralnego i zespolenie go bezwzględnie ściśle z życiem. Wiek XIX, który stał się dla nas okrutnym, wielkim probierzem tego uzgodnienia życia i ideału, wydał w narodzie naszym szczególnie krwawy urodzaj dusz bohaterskich z ich niczem nieugiętą, przez żadne katusze niezachwianą niezłomnością trwania przy tem, co poczytujemy za warunek bytu, godnego człowieka.

Jeden z twórców Nocy listopadowej, Piotr Wysocki, po trzechletnim więzieniu i skazaniu na śmierć, namawiany, aby prosił o ulaskawienie, kazał sobie do celu przynieść pióro i papier i napisał te wspaniałe i dumne słowa: „Nie dlatego broń podjął, ażeby prosił cesarza o łaskę, ale dlatego, aby jej mój naród nigdy nie potrzebował”. Jak refren powtarzają się te słowa z pokolenia na pokolenie”. „Co do mnie — wola Rufin Piotrowski, jeden z pierwszych Polaków wywiezionych na Sybir — wyznam, że nad wszystkie kary najokropniejszą wydawałaby mi się łaska cara”. „Jutro — powtarza w sto lat potem w przeddzień stracenia na szubienicy Józef Toczyski, członek rządu powstańczego — jutro niczego się tak nie lękam, jak carskiej łaski”. Polski Prometeusz — Łukasiński, uczestnik spisku z roku 1824, przeżył 37 lat w straszliwej twierdzy szliselburskiej, w której współczesny mu rewolucjonista Bakunin po trzech tylko latach był bliski o błędu i samobójstwa. Kiedy w roku 1861 komendant Szliselburga podjął zabiegi, aby ulżyć bezprzykładowej męce polskiego bohatera, Łukasiński w liście do niego zastrzegł: „Bez żadnych próśb z mojej strony”. Roman Sanguszko przez udział w powstaniu 1831 roku postawił na kartę olbrzymią fortunę rodową: gdy po zapadłym wyroku, skazującym go na utratę mienia i 10 lat batalionów karnych, podsunęto mu, by prosił o łaskę i w jakikolwiek sposób usprawiedliwił przyczyny, które popchnęły go do walki, oświadczył krótko: „Z przekonania!”

Obok tej cechy zasadniczej, obok niezłomnej zgody

ideału i życia, przewijają się przez polski typ bohatera dwa dalsze zasadnicze rysy, które tkwią poprzez wszystkie epoki w historycznie wytworzonej duszy narodu, ale zyskują szczególnie jaskrawy wyraz również w ostatniej tragicznej dobie naszych dziejów. Oto członek rządu narodowego z roku 1863 Rafał Krajewski w przeddzień śmierci śle z więzienia „miłość i pożegnanie całemu światu”, modli się o „przyjście na ziemię królestwa bożego”. Oto drugi członek tegoż rządu, Roman Żuliński, katowany w śledztwie rzuca swym oprawcom: „Możecie mnie tylko bić, nie możecie mnie sądzić, gdyż ja was nie uznaję”. W tych bezgranicznie wielkich wynurzeniach, wypowiedzianych w uroczystej chwili zamknięcia spraw doczesnych, mieści się pozytywna treść polskiego bohaterstwa:

Nieuznawanie przemocy.

Walka o „królestwo boże” — o Wolność.

Adam Mickiewicz, tworząc w III części „Dziadów” wizję wielkiego męża, wysłanego zbawcy i wskrzesiciela narodu, wyobraził go sobie jako niosącego wyzwolenie nie samej tylko Polsce, nie tylu a tylu kilometrami kwadratowym obszarze Europy, lecz wszystkim ujarzmiionym i cierpiącym, i zgodnie z tem skoncentrował jego rysy duchowe w okrzyku:

„To namiestnik Wolności na ziemi widomy!”

Ten okrzyk, wydobyty z głębin duszy plemiennej, zawarł w sobie całą szeroką skalę polskiego pojmowania wielkości.

WYPRZEDZENIE EUROPY.

Linia prosta polskiego rozwoju politycznego. Absolutyzm w Europie i prawa obywatelskie w Polsce. Pojęcie ojczyzny. Ustawa 3 maja. Jej idee wyprzedzające chwilę dzisiejszą. Ograniczenie przywilejów szlacheckich przez samą szlachtę. Rewizje konstytucji. Federacja narodów. Swoboda sumienia. Reformy bez rozlewu krwi. Wyższość moralna.

Polska zrealizowała maximum wolności i swobód politycznych, jakie dały się osiągnąć w granicach ówczesnych możliwości historycznych, a zarazem wyprzedziła w rozwoju swym pod bardzo wielu względami o całe pokolenia, nieraz o całe stulecia, współczesny sobie kontynent europejski. „Już przed narodami zachodu — stwierdza pisarz francuski André Lichtenberger („Victoire”. 5. XII. 1918) — Polska na swym sztandarze zapisała tolerancję, wolność indywidualną i dała przykład bogatej i prawdziwej cywilizacji”. To, co inne narody zdobyły dopiero w XIX a nawet XX wieku, lub do czego jeszcze dotychczas dążą, w Rzeczypospolitej polskiej niejednokrotnie od wieków było już wprowadzone i prawnie ubezpieczone.

Znacznie naprzód przed resztą kontynentu poszła Polska w rozwoju prawnopolitycznym. Niema w dziejach jej owego ponurego ogniwa, spajającego epokę średniowiecza z nowoczesnym państwem praworządne, ogniwa, jakie tworzył gdzieindziej absolutyzm „oświecony” i polityczny. Przejście od dawnych do nowszych form ustrojowych odbyło się w Polsce w o wiele krótszym okresie czasu, niż w reszcie Europy: w dziesięcioleciach, gdy Eu-

ropa potrzebowała do tego stuleci. Prof. St. Kutrzeba stwierdza, że rozwój Polski był pod tym względem logiczniejszy, niż Zachodu. Poszedł on w kierunku coraz dal-
szego wykształcania przewagi czynnika społecznego, który w wiekach średnich stopniowo i tak skutecznie dobi-
jał się władzy. Zgniecenie go na korzyść książąt, które dokonało się na Zachodzie, było więc załamaniem niejako linii rozwoju, odgięciem jej w inną stronę, niż biegła poprzednio, w przeciwieństwie do linii polskiej — prostej. Gdy Europa wchodzi ostatecznie w okres niewolniczego uzależnienia społeczeństw od woli nieodpowiedzialnej jednostki, w tym samym czasie Polska coraz bardziej wykształca u siebie instytucje gwarantujące prawa i swobody obywateli, wtedy właśnie tworzy ona sejm walny, który ujmuje w swoje ręce całą władzę prawodawczą i właściwy kierunek spraw państwa. Droga odrębną i własną, nie przez powrotną falę absolutyzmu, lecz przez zachowanie i kontynuację tych form przedstawicielskich i samorządnych, jakie rozwinęły były wieki średnie, szła Polska do ideału państwa nowożytnego i zbliżyła się do niego szybciej, niż inne narody kontynentu. Około połowy XVIII wieku, gdy Rzeczpospolita domagała się pod wielu względami naprawy i gdy Polak Wielhorski zwrócił się do Jana Jakóba Rousseau z zapytaniem jak należałoby ją zreformować, wielki mędrzec odpowiedział traktatem „Uwagi o rządzie polskim”, w którym doszedł do wniosku, że zasady ustroju Rzeczypospolitej są naogół doskonałe i nie wahał się postawić spaczony już wówczas konstytucji polskiej wyżej, niż angielską („vaut mieut que celle de la Grande Bretagne”).

Historyk niemiecki Karol von Rotteck z Fryburga w swem wielkiem dziele „Allgemeine Geschichte” pisze o „oświeconym absolutyzmie” europejskim: „W owym czasie umiejętność była służebnicą despotyzmu. Naród wszędzie — wyjąwszy małą liczbę republik — był uważany za trzodę bydła i takim był rzeczywiście w krajach.

gdzie słowo monarsze było wszystkim, a nic innego nie miało na celu, jeno interes i nieograniczoną chciwość panujących rodzin. Nie było innej cnoty nad — posłuszeństwo”. O ileż naprzód znajduje się współczesna temu stanowi Polska!

Swoboda osobista i bezpieczeństwo jednostki wobec wszelkiej samowoli ze strony państwa są zagwarantowane licznymi ustawami. Pod tym względem wyprzedza Polska poniekąd nawet klasyczny kraj wolności osobistej, Anglię, gdyż prawo „Neminem captivabimus” z roku 1430, orzekające, iż nikt nie może być więziony bez poprzedniego przekonania o winie, ustanowiła na dwa i pół wieku przed słynnym aktem angielskim „Habeas corpus” z roku 1679¹. Sądownictwo polskie zna zasadę jawności, rozprawy ustnej, oskarżenia i obrony, których prócz Anglii nie było nigdzie.

Kompetencje sejmu polskiego, który jest wyrazem zbiorowej woli narodu, są tak szerokie, że pod niejednym względem pozostały czemś niedoścignionem dla wielu współczesnych nam parlamentów. Gdy gdzieindziej sprawa tak ogromnej wagi i tak brzemiennea w skutki, jak postawienie kraju w stan wojenny, znajdowała się, a niejednokrotnie znajduje się dotąd, po za wszelką kontrolą ogółu i od skinięcia jednostki zawisłe było życie lub śmierć setek tysięcy ludzi — u nas możliwości takiej przed czterema wiekami już postawiono skuteczną tamę, przekazując sejmom decyzję o wojnie i pokoju. „Zasadę dziś

¹ W Anglii zasada nietykalności uznana została już w roku 1215 artykułem 39 Wielkiej Karty Swobód, ale nie przyjęła się dostatecznie w życiu, wobec czego w roku 1679 musiano wydać specjalną ustawę, identyczną z naszym wcześniejszem i zawsze przestrzeganiem „Neminem captivabimus”. Wolność osobista zagwarantowana została również bardzo wcześnie na Węgrzech („Złota bulla”) i w dalekiej Aragonii. Tam przetrwała ona jednak stosunkowo krótko — u nas blisko cztery stulecia, aż do upadku Rzeczypospolitej. Potem cała Europa czekała na to elementarne prawo obywatelskie do czasów najnowszych.

podnoszoną — mówi prof. St. Kutrzeba — by całe społeczeństwo przez legalne przedstawicielstwo swe mogło wyrazić zgodę na to, że wojny chce, tę zasadę państwo polskie najwcześniej z państw europejskich sformułowało i najdłużej ją w całej konsekwencji przeprowadziło, trzymając się jej i w tych czasach, gdy państwa absolutne Europy stworzyły już były potężne armie, rzucające się w bój na każde władcy skinięcie". Ten sam znakomity badacz konstatuje, że za Zygmunta Augusta sejm nasz „zaczynał przybierać cechy prawie nowożytnego parlamentaryzmu", lecz późniejszy rozwój spaczył ten kierunek („Historia ustroju Polski").

Republikańska w istocie swej forma rządów zapewniła narodowi możność obierania sobie głowy państwa i do koronowanej tej prezydentury otwiera drogę każdemu z obywateli. Kardynalne urządzenia Rzeczypospolitej, ustawa „Nihil novi", „Pacta conventa", artykuł „De non praestanda oboedientia" są wcieleniem nowoczesnej zasady, że król istnieje dla narodu, a nie na odwrót, co Kołłątaj określił wybornie lotnem powiedzeniem: wielka różnica rzecz „król ma państwo" a „państwo ma króla". Dobitnie i z całą świadomością stwierdził ów wyższy porządek ustrojowy w Rzeczypospolitej szlachcic polski XVI stulecia, mówiąc do cudzoziemca: „Tobie się pan rodził, mnie się nie rodził: tego ty pana masz, któregoś mieć musiał, ja, Polak, tego króla mam, któremuś mieć chciał! Nie masz ty żadnej obrony przeciwko zwierzchności księcia swego, a ja mam obronę przeciwko królowi swemu. W jarzmie ty jako wół chodzisz albo jakoby zniewolona munsztukiem szkapę pana przyrodzonego na grzbiecie swoim nosisz, a ja, Polak, jako orzeł bez pętlic na swej przyrodzonej pod królem mym bujam swobodzie!" Tak przemawiał do Litwy jeszcze przed unią roku 1569 Stanisław Orzechowski, „a mógł być zaiste — dodaje współczesny historyk J. K. Kochanowski („Nad Renem i nad Wisłą") — w imieniu Polski szlacheckiej przema-

wiać tak samo i do całego Zachodu". Wypowiedziana w roku 1830 przez Thiersa słynna zasada „Le roi regne et, ne gouverne pas", którą chlubi się nauka polityczna naszych czasów, była już w roku 1607 postawiona przez polityków polskich, którzy określili ją na dwa stulecia przed Thiersem niemal identycznymi słowy: „Regna, sed non impera!" — „Panuj, ale nie rządz!" Zapisać tu należy także dokonany wcześniej w Polsce rozdział osobistych dochodów króla od dochodów skarbu publicznego. Gdy wszędzie dochody państwa były dochodami monarchy, u nas już sejm roku 1505 wprowadził osobne uposażenie panującego, co ostatecznie utrwaliło się za Zygmunta¹.

Z temi pojęciami i instytucjami dawna Polska jest o całą odcchiała czasu naprzód w stosunku do współczesnego sobie Zachodu, gdzie niejednokrotnie, jak mówi Rotteck, „naród uważany był za trzodę bydła, a słowo monarsze było wszystkim", gdzie król (Ludwik XIV) z biczem w ręku wchodził na zebranie notabłów i sam jeden państwem się ogłaszał. Wskutek szerokiego udziału znacznej części ludności w sprawach publicznych oraz jej odpowiedzialności za te sprawy wytworzyło się też w Polsce

¹ Charakterystcznem jest, że jeszcze emigracya nasza po roku 1831, ogarnięta wszak nowoczesnemi prądami Zachodu, miała pełną świadomość tej wielkiej twórczości politycznej polskiej XV, XVI i XVII wieku, która niejednokrotnie szła przed resztą Europy. W „Adresie 2000 Polaków we Francyi będących do Izby niższej angielskiej" z roku 1832 czytamy: „Przez ciąg swojego istnienia Polska przed innymi posiadała swobody: wolność wyznań, wolność druku, zabezpieczoną własność i wolność osobistą, a instytucye swoje rozwinęła na władzy ludu [mowa, rozumie się, o demokracji szlacheckiej]. Nie znała wojsk stojących, nie dozwoliła królom mocy nakładania podatków, uświęcała prawo oporu przeciw przywłaszczeniu". Także Szujski, współtwórca historycznej szkoły krakowskiej, jeszcze w roku 1868-wiedział, że „byłoby samobójstwem i wyparciem się samego siebie, gdyby naród nasz stracił szacunek, miłość i ufność ku zasadom, które go niegdyś wielkim czyniły i któremi wyprzedził Europę".

niezwykle wcześniej, bo już za Zygmunatów, pojęcie ojczyzny, gdy w reszcie Europy długo nie umiano wyjść po za pojęcie państwa¹. „Kto ojczyźnie swej służy, sam sobie służy — wołał Skarga — bo w niej jego wszystko się dobre zamyka”. Kiedy u nas oddawna służono „ojczyźnie”, tam ciągle jeszcze służono „panu”. („Es ist für einen Edelmann kein grösseres Glück, als einem Fürsten, den er ehrt, zu dienen...” mówi bohater Szyllera). Na podstawie tych wszystkich faktów możemy skonstatować, że już w Polsce z przed Wielkiego Sejmu byliśmy narodem, wytrzymującym nowoczesne kryterium, które stwierdza: „Plemię żyjące w obroży narzuconych mu siłą praw. posłuszne im bezmyślnie jakby jakiejś żywiołowej konieczności, nie jest jeszcze właściwie społeczeństwem — jest mającym pasterzy i psy stadem. Społeczeństwem w prawdziwym tego słowa znaczeniu zaczyna się stawać dopiero wówczas, gdy przynajmniej pewna jego część uświadomi sobie swoje prawa człowieka i gdy sobie wywalczy ich uznanie”. („Nacyonalizm jako zagadnienie etyczne”, Kraków 1917, bezimiennie).

Ze swobód skryształizowanych już w XVI wieku, a ciągnących się przez cały wiek XVII i XVIII, korzystała przecież jedna, chociaż milion głów licząca warstwa ludności. Ale pod koniec XVIII wieku, wyprzedzając znowu większość Europy, Polska podejmuje i przeprowadza wielką reformę polityczną, reformę, która pozostawiając — wbrew popularnemu mniemaniu — niekniętymi kamienie węgielne odwiecznej budowy oparta

¹ Historyk niemiecki Jakób Caro („Geschichte Polens”) stwierdza że żaden kraj w Europie tak wcześniej, z taką siłą wewnętrzną nie nadal wagi zasadzie narodowości, jak Polska, wbrew kosmopolitycznemu duchowi średniowiecza. Warto przypomnieć, że w literaturze po raz pierwszy sprecyzował samodzielną istność narodu w stosunku do państwa nasz Brodziński mówiąc: „Bóg chciał mieć narody, jak ludzi, indywidualnymi”. [„O narodowości Polaków”, Warszawa, 1831].

zasadniczo na podstawach ustroju dotychczasowego, owszem, potwierdzając te podstawy na przyszłość, kładzie kres wyłącznemu użytkowaniu praw obywatelskich przez szlachtę i rozciąga je na dalsze warstwy narodu, a zarazem dostosowuje wolnościowe instytucje państwa polskiego do pojęć i potrzeb nowoczesnych.

Reforma ta — to wiekopomna konstytucja 3 maja 1791 roku.

Pomimo kompromisu, jaki Polska ówczesna zawierała z ideą monarchizmu, wprowadzając po czterystu latach znowu tron dziedziczny, ustawa 3 maja, wierna duchowi polskich tradycji, zachowała w swych najważniejszych zarysach w całej pełni zasadę władztwa narodu, która wykształciła się była u nas tak wybitnie w ciągu ubiegłych stuleci. Tę kardynalną zasadę, na której odnowiona Rzeczpospolita miała się i w dalszym ciągu opierać, wyrazili twórcy konstytucji uroczystie słowami analogicznymi do deklaracji północno-amerykańskiej z roku 1776, a zawierającymi myśl odwiecznie polską: „Wszelka władza społeczności ludzkiej początek swój bierze z woli Narodu”.

Zgodnie z tem mówi ustawa majowa najpierw o sejmie, potem dopiero o panującym i o władzy wykonawczej. Izba poselska, „świątynia prawodawstwa”, jest „wyobrażeniem wszechwładztwa narodowego”. Jest wraz z senatem jedyną kuźnią praw obowiązujących naród. Konstytucja zapewnia tu wprowadzić i nadal stanowi szlacheckiemu „prerogatywy pierwszeństwa” — należy jednak pamiętać, że w tym samym czasie i parlament angielski posiadał jeszcze jednostronny charakter oligarchiczno-szlachecki i, że dopiero późno w wieku XIX, reformą z roku 1832, otworzył drzwi przed nowoczesnymi ideami demokratycznymi, pochodzącymi z Francji. Unowożytnienie organizacji sejmu polskiego polegało na zniesieniu jednomyślności i fatalnego „liberum veto” a wprowadzeniu głosowania większością głosów, na zniesieniu związków konfederackich, na skasowaniu „in-

strukcyi“ dawanych przez sejmiki posłom, którzy odtąd już prawnie, uważani być mają jako reprezentanci całego narodu“, nie poszczególnych województw. Projekty do ustaw, jak dotychczas, wychodzą od tronu, lecz także i z łona izby. Ustawy stają się prawomocnymi z chwilą uchwalenia ich przez sejm („złączona izb obydwu większość — brzmi tekst konstytucyi — będzie wyrokiem i wolą stanów“). Rząd ani też głowa państwa nie może na własną rękę stanowić praw, nakładać podatków i poborów, zaciągać długów publicznych. Nie może również rząd lub panujący, podobnie jak się to działo i przedtem, bez przyzwolenia narodu wypowiadać wojen ani zawierać układów natury dyplomatycznej. Sprawy te odsyła konstytucya 3 maja do decyzji przedstawicielstwa narodowego. Izba poselska i senat decydować mają „co do wojny, pokoju, ostatecznej ratyfikacyi traktatów związkowych i handlowych, wszelkich dyplomatycznych aktów i umów do prawa narodów ściągających się“. Władzy wykonawczej wolno tylko tymczasowe z państwami obcemi prowadzić negocjacye, „o których najbliższemu zgromadzeniu sejmowemu donieść winna“.

Król jest nie tylko, według formuły średniowiecznej, królem „z Bożej łaski“, ale i z „woli Narodu“. Taki tytuł przepisuje mu wyrażnie konstytucya, dodając, że dlatego nie jest przed narodem odpowiedzialny, ponieważ „nie sam przez się nie czyni“ oraz przestrzegając: „Nie samowładcą ale ojcem i głową Narodu być powinien i tym go prawo i konstytucya niniejsza być uznaje i deklaruje“. Król jest najwyższym przedstawicielem władzy wykonawczej oraz wodzem naczelnym sił zbrojnych. Czynnikiem prawodawczym odrębnym, obok obydwu izb sejmowych, konstytucya go nie czyni: pozostawia mu tylko nadal przewodnictwo obrad w senacie. Obowiązkiem jego jest zwoływać sejm zwyczajny co dwa lata, nadto sejmy ekstraordynaryjne w miarę potrzeby. U boku króla stoi stworzony na nowoczesną modłę gabinet ministrów, któ-

remu dano w Polsce przepiękną charakterystyczną i jedyną w swoim rodzaju nazwę: „Straży Praw“¹. Również zreformowana administracya odpowiadała warunkom nowej epoki. Powierając rządowi silną władzę wykonawczą, uczyniła go konstytucya ściśle odpowiedzialnym przed narodem. Za naruszenie ustaw może sejm polski zwykłą większością głosów postawić ministrów w stan oskarżenia a w razie udowodnionego przestępstwa ukarać winnych na wolności osobistej i mieniu. W razie niezgodności kierunku politycznego między przedstawicielstwem narodu, a rządem, sejm większością dwóch trzecich głosów na prawo domagać się usunięcia ministra z urzędu, a król winien uczynić to i natychmiast zamianować jego następcę.

I znowu podobnie jak przy rozważaniu urzędów starej Rzeczypospolitej, trzeba stwierdzić, że wiele z postanowień, które Polska wprowadziła w ustawie 3 maja, wykazuje cechy wyższości w porównaniu ze stanem rzeczy już nie w przeważnej liczbie krajów ówczesnych, lecz nawet w niejednym z konstytucyjnych i parlamentarnie rządzonych państw Europy dzisiejszej. Ludność tych państw dopiero teraz usiłuje—niejednokrotnie tylko częściowo—zdobyć to, co istniało i było prawnie utrwalone u nas przed laty 130. A mianowicie:

I. W wielu państwach współczesnych ustawy zasadnicze są tak skonstruowane, że w pewnych wypadkach, n. p. w wypadku wojny lub ostrego konfliktu między rządzącymi i rządzonymi, z góry jest przewidziana i dopuszczona możliwość rozwiązania parlamentu, zawieszenia samej konstytucyi i czasowego sprawowania rządów absolutnych bez współudziału przedstawicielstwa narodo-

¹ Nazwa „gabinet“ utarła się w innych państwach na tej podstawie, że początkowo król w swoim gabinecie odbywał z ministrami poufne narady o sprawach publicznych. Nazwy tej w Polsce świadomie uniknięto.

wego. Wszystkie cenne zdobycze i gwarancje konstytucyjne, jak prawodawstwo i rząd parlamentarny, swoboda głoszenia przekonań, swoboda zgromadzania się i zrzeszania i t. d. ustają wówczas automatycznie. Polska ustawa zasadnicza nie mogła być „zawieszona”. Sejm nie mógł być przez nikogo rozwiązany.

2. Zwołanie lub niezwołanie parlamentu zawisło dziś w wielu krajach od woli panującego, względnie rządu. W Polsce w myśl ustawy 3 maja władza prawodawcza narodu nie mogła być żadną miarą zatamowana. Sejm musiał być zwołany w określonym terminie, lub gdy zachodziła konieczność przewidziana w konstytucji. Gdyby król wzbraniał się wypełnić w tym względzie obowiązek, miał to uczynić marszałek ubiegłego sejmiku wbrew niekonstytucyjnemu stanowisku monarchy i zwołałby sejm, uzasadnić przed nim motywy swego postąpienia.

3. Wszelkie rozporządzenia królewskie miały być kontrasygnowane przez jednego z ministrów, poczem nabrały mocy obowiązującej. Na wypadek, gdyby żaden z ministrów nie uznał za możliwe podpisać rozporządzenia — „król odstąpi od tej decyzji.” Jesliby zaś mimo solidarnie przeciwnego stanowiska całego gabinetu monarcha trwał jednak przy swoim zdaniu, wówczas marszałek sejmowy „będzie go upraszał” o zwołanie sejmiku, aby sprawę rozstrzygnął senat i izba poselska. Gdyby wreszcie król odwołał zwołanie sejmiku, powinien to uczynić sam marszałek. Wypadki takie zdarzały się w praktyce z pewnością bardzo rzadko. Niemniej ustanowienie powyższej procedury świadczy, jak konsekwentnie była przeprowadzona w Polsce zasada woli i władztwa narodu.

4. Z obu izb sejmowych większe znaczenie posiada zawsze izba poselska, jako pochodząca z wyboru. Konstytucja 3 maja wysnuła z tej przesłanki postanowienie, że jeśli ustawę uchwaloną w izbie poselskiej senat odrzuci a izba uchwali ją powtórnie na następnym sejmie, wówczas ustawa nie potrzebuje już zgody senatu i staje się

prawomocną bez apelacji. Podobne postanowienie wprowadzone zostało w Anglii dopiero w roku 1911.

5. Konstytucja 3 maja oparła rząd na podstawie nowoczesnej zasady, że musi on posiadać zaufanie większości ciała prawodawczego, że jest przed niem odpowiedzialny i że z chwilą, gdy utraci jego poparcie, powinien ustąpić. Pod tym względem Polska poszła za przykładem Anglii, gdzie zasada powyższa wyłoniła się po raz pierwszy w Europie około 1720 roku. W niektórych jednak państwach konstytucyjnych jeszcze w XX wieku rząd jest tylko emanacją woli monarszej, żadne votum nieufności ze strony parlamentu nie może zmusić go do ustąpienia, a naodwrot gabinet posiadający zupełne zaufanie reprezentacji ludowej może być każdej chwili usunięty przez panującego. Przykładem tego są Niemcy, gdzie aż do przegranej w roku 1918 wojny nie było odpowiedzialności rządu przed narodem, co w Polsce istniało już w roku 1791.

6. Nakoniec zgodnie z odwieczną tradycją i praktyką polityczną Rzeczypospolitej, o których poprzednio już była mowa, utrzymała konstytucja 3 maja, że zarówno polityka zagraniczna, jak doniosłe prawo wypowiedzania wojny i zawierania pokoju są atrybutem sejmiku, gdy dziś jeszcze ciągle sprawy te przeważnie rozstrzygane są przez nieliczne jednostki w głębokiej tajemnicy przed przedstawicielstwem narodu i opinią publiczną.

Armia, w pojęciu konstytucji 3 maja i zgodnie z odwiecznymi wyobrażeniami polskimi, jest organizacją „obrony od napaści” i „dla przestrzegania całości narodowej”. Ten sam wysoki poziom moralny, który towarzyszył zawsze uruchomieniu sił zbrojnych Rzeczypospolitej, przebiega i na kartach ustawy majowej. Pośrodku autokratycznie rządzonych państw, posługujących się tłumami niewolniczego żołdactwa gotowego do wszelkiego rozboju międzynarodowego, republikański duch polski stwierdza, że armia nie ma być zaczepną, ma „bronić całości i swo-

bód narodowych". Wojsko nic innego nie jest, tylko wyciągnięta siła obronna i porządna (to znaczy strzegąca porządku) z ogólnej siły narodu", brzmi definicja ustawy 3 maja, definicja, którą jako postulat bez zmiany powtórzyć można w sto lat przeszło po jej wypowiedzeniu. W myśl tak pojętego charakteru siły zbrojnej przepisano wojsku przysięgę w charakterystycznym porządku: przedewszystkiem „na wierność Narodowi“ a następnie na wierność monarsze.

Pod względem społeczno-politycznym konstytucja polska z roku 1791 podcięła dotychczasowe przywileje i monopole stanu szlacheckiego, a zarazem naościęz otwarła wrota do tego stanu przed świeżym dopływem. Prawo do nobilitacji zyskali automatycznie wojskowi i urzędnicy pewnych stopni, zaś każdy sejm miał obowiązek udzielenia klejnotu szlacheckiego znaczniejszej liczbie mieszczan zasłużonych na jakimkolwiek polu, przedewszystkiem w przemyśle i handlu. Dawny census krwi rycerskiej został całkowicie zniesiony, szlachectwo stało się dostępne dla każdego osobnika o pewnej wartości społecznej. zamieniło się w obywatelstwo Rzeczypospolitej w szerokim rozumieniu tego słowa. Stan miejski jako całość otrzymywał jak gdyby połowę szlachectwa: przyznawano mu prawo „Neminem captivabimus“, dostęp do wyższych godności duchownych, urzędów cywilnych i rang wojskowych, większy udział w sejmie, do którego dopuszczono przedstawicieli 21 miast z głosem doradczym a w sprawach miejskich i handlowych stanowczym, wreszcie szeroki zreformowany samorząd i prawo posiadania ziemi, to ostatnie przyznane w Prusiech dopiero w roku 1807, w szesnaście lat później, niż w Polsce. Były to prawa, o jakich przeważnie nie śniło się wówczas mieszczaństwu n. p. niemieckiemu. Zajęcia miejskie zrównane zostały w wartości swej z ziemiańskimi. Najprzedej dygnitarze na znak braterstwa ostentacyjnie przyjmowali obywatelstwo miejskie. Stan chłopski wreszcie.

który według wstępu do odpowiedniego artykułu ustawy tworzy „najdzielniejszą kraju siłę“, otrzymał opiekę prawa. W sprawie położenia mieszczaństwa, a zwłaszcza włościan, twórcy ustawy czuli sami i wyraźnie to zaznaczyli, że reforma jest daleką od doskonałości, wybierali jednak drogę pośrednią w przeświadczeniu, że najpewniejszą ręką utrwalenia się reform jest stopniowe wprowadzenie ich w życie.

Podkreślamy z naciskiem, że tę konstytucję, wychodzącą na niekorzyść szlachty, uchwalili sejm wyłącznie szlachecki. „Gdy gdzieindziej — pisze K. Hoffman („Historia reform politycznych w Polsce“) — wszystkie reformy zasadzone na równouprawnieniu stanów były dziełem albo klas nieszlacheckich albo korony, konstytucja 3 maja była dziełem dobrowolnem samego tylko uprzywilejowanego stanu. Szlachta polska wyrzekła się odwiecznych prerogatyw na korzyść władzy i wolności ogólnej, bez żadnego ze strony korony lub klas nieszlacheckich nacisku, powodowania jedynie względami dobra pospolitego“. „W swoim rodzaju jest to wypadek jedyny i nigdzie na tak wielki rozmiar w dziejach ludzkości nie powtarzający się“, stwierdza O. Balzer.

Równie ważną i zgola wyjątkową cechą konstytucji polskiej stanowiło, że reformy jej były obliczone na przeciąg jednego tylko pokolenia. Przy całym swym niewspółczesnym liberalizmie ustawa zasadnicza 3 maja miała być nie skostniałą kodyfikacją, lecz żywą wytyczną dla dalszego rozwoju. Osobny artykuł ustawy postanawiał mianowicie, że co 25 lat ma się zbierać umyślny sejm dla rewizji i poprawy konstytucji, a to „uznając potrzebę wydoskonalenia onej po doświadczeniu jej skutków co do pomyślności publicznej“. Głęboka mądrość twórców reformy 3 maja zajaśniała pełnym blaskiem w tej instrukcji, która następnemu już pokoleniu nakazywała dostosować ustroj państwa do nowych pojęć a tem samem zapobiegała z góry gwałtownym wstrząśnieniom wewnę-

trzym. Najbliższa konstyтуanta polska byłaby znowu pchnęła potężnie naprzód dążenie do ideału wolności, obejmującej już teraz wszystkie warstwy narodu, gdyby tego procesu nie przerwał był gwałt rozbiorów.

Dalszą wielką grupę zjawisk, w której duch polityczny polski poszedł naprzód w stosunku do reszty kontynentu europejskiego, stanowi *sztuka łączenia narodów*, jaką rozwinęła Polska w ciągu swego historycznego bytu i którą prześcignęła znowu nie tylko współczesne sobie, ale i dzisiejsze państwa wielonarodowe. Historia zna przykłady kojarzenia ze sobą obcych krajów. Czynie to władcy w dynastycznym swym interesie, posługując się w tym celu mieczem, traktatami lub związkami małżeńskimi i tworząc zapomocą tych środków mniej lub więcej zwarte całości. Lecz Polska osiągała to nie na drodze podboju, który zostawia po sobie gorzyc poniżenia i zapalne ogniska „buntów” — i nie na drodze układów sukcesyjnych, zawieranych przez dynastie ponad głowami ludów, bez względu na ich wolę, a często wbrew niewykonanym ich wstrętom. Unie polskie dokonywały się: 1) nie w interesie głów koronowanych, 2) bez przymusu, 3) przez porozumiewanie się narodu z narodem. Specjalnie ten ostatni niezmiernie doniosły moment jest cennym dla owej epoki niewspółczesnem, niezwykle, nowem, i wyprzedzającym o całe wieki ogólny rozwój pojęć politycznych. „Tem bardziej — zauważa St. Kutrzeba — ten rodzaj łączenia terytoriów w jedną spójną całość może być Polski dumą, że nie miała ona pod tym względem żadnych przykładów, żadnych wzorów. Trzeba było tworzyć formy nowe dla nowych myśli, które się u nas zrodziły” („Społeczno-państwowe idee Polski”). W historii świata niewiele spotkać można przykładów, by społeczeństwa przy tworzeniu takich związków wogóle jakkolwiek głos miały sobie przyznany. Tu głos ten nie tylko istnieje, ale nabiera wagi decydującej. Ołączeniu się Polski z Litwą układały się w latach 1499, 1501 i 1569 istniejące już

wówczas w obu krajach sejmy, w których reprezentowany był ogół dostojników i szlachty. Lecz już o tyle wcześniejszy zjazd w Horodle roku 1413 dał dobitny wyraz temu, iż unia obu państw ma być unią narodów, gdy 47 „rodów” polskich („ród obejmował znaczną liczbę rodzin niespokrewnionych ze sobą w znaczeniu dzisiejszem”) nadało tyłuż rodowi litewskiemu swe herby, t. j. to, co było tak wyjątkowo cennem w owych czasach, co z taką zazdrosną dumą było noszone, co nazywało się też symbolicznie „klejnotem”. Rody bojarów litewsko-białoruskich stawały się przez adoptację herbową niejako krewnymi polskich rodów. „Niezwykły — pisze Kutrzeba — genialny ten pomysł, jedyny w historii całego świata, takiej masowej adopcyi herbowej z tej wyszedł myśli, by związek państw umocnić związkiem warstw wyższych”, zanim w roku 1569 już same narody zawarły między sobą wieczysty związek. Akt horodelski wprowadził niebywałe dotąd w stosunkach międzynarodowych pojęcia — miłości i braterstwa. Te pojęcia, wzmocnione niebawem bujnym rozkwitem polskich swobód politycznych, doprowadziły ostatecznie do unii w Lublinie, która z obustronną zgodą, uroczyście wyrzekła, iż „Korona i W. Ks. Litewskie jest nienaruszalne i nieróżne ciało”, „jedna wspólna Rzeczpospolita, która się z dwu państw i narodów w jeden lud i państwo zrosła i spoiła”.

„Bezprzykładnem jest — mówi znakomity pisarz polski Julian Klaczko — podobne złączenie się państw, długo sobie nieprzyjaznych, o różnych rasach, obyczajach, języku i religii, a jednoczących się w końcu w imię ewangelii, wolności i tej miłości, która, sama wznosi państwa”: po raz to pierwszy powstaje w dziejach potężne mocarstwo bez krwi rozlewu”. „Zjazd w Horodle — stwierdza historyk niemiecki Jakób Caro — przyłączył pieczęć do takiej unii narodów, jakiej nie napotkać w całej historii Europy”.

Mamy tu przed sobą jedno z najbardziej zastanawia-

jących zjawisk dziejowych. Nie gwałtem fizycznym, lecz siłą ducha, nie mieczem, lecz kodeksem praw i naokół promieniującą wolnością dokonywa Polska swego wspamiętłego „podboju” ludów ościennych. Tą drogą wytworzyliśmy wielką federację ludów na wschodzie Europy. Unie z Litwą, z Rusią, z Prusami, z Inflantami, przeistoczyły małe Piastowskie państwo w rozległe mocarstwo związkowe, które przy dwóch tylko organach centralnych, przy wspólnym sejmie i wspólnej osobie panującego, a przy ścisłym przestrzeganiu odrębnych indywidualności swych części składowych, wykazało tak wielką spójnię wewnętrzną, że — jak to zaznaczyliśmy już — przetrwała ona w warstwach historycznych nawet upadek samej konstrukcji państwowej. Stworzyła tu Polska dzieło, które nie miało sobie podobnego wówczas, a w tych rozmiarach pozostało wogóle unikatem w Europie. To, co dziś kierujące umysły lepszej części ludzkości stawiają jako program: porozumienie się „od narodu do narodu”, to, co w zmienionych warunkach jako ideał świeci znakomitą duchom kontynentu europejskiego: dobrowolna federacja ludów, to my na obszarze Wisły do Dźwiny przed czterema wiekami w czyn wprowadziliśmy.

O unii jaką Polska zawarła z Ukrainą w Hadziaczu 1658 roku, pisze historyk St. Zakrzewski: „Umowa hadziacka, bez względu na to, że w zakresie pozytywnej polityki została na papierze, ze stanowiska ideowego zasługuje na osobne miejsce obok unii lubelskiej. Na długo przed pomysłami równości i samorządu narodów XIX w., kreśliła ta umowa program państwa, opartego na państwowym równouprawnieniu narodowości wchodzących w jego skład. Obok równouprawnień narodowych i politycznych była nacechowaną dążnościami tolerancyjnymi na terenie religijnym, i to zarówno ze strony polskiej, jak ruskiej. Był to jednym słowem olbrzymi wyraz ewolucji historycznej, który współcześnie niema przykładu w dziejach.

W równym stopniu wyprzedziła Rzeczpospolita polska świat *tolerancją religijną*, która była znamienną ideą naszych dziejów, w czasie, gdy ludzie masowo zarzynali się w Europie w imię Boga, tak jak dziś zarzynają się w imię „miłości ojczyzny”. „Kiedy ciemne Niemcy o niepojęte w religii rzeczy zarzynali się — pisze Staszyc w „Uwagach nad życiem Zamoyskiego” — kiedy to nierządnej imaginacji okrutne bożyszcze, fanatyzm, we Francji założył główne siedlisko, wtenczas i w Polsce rozmaitość wiary była, ale ludzcy Polacy, przestając być katolikami być nie przestawali bliźnimi. Ze wszystkich Europy narodów tylko Polak zakrwawionym fanatykiem nie był”. Aby uzmysłowić różnicę, jaka zachodziła pod tym względem między Polską a najoświecześniejszymi krajami Zachodu, wystarczy wskazać, że gdy we Francji dopiero wielka rewolucja w roku 1791 ogłosiła prawo zasadnicze o wolności sumienia, że kiedy w Anglii jeszcze nawet w roku 1828 dysydenci i katolicy nie mogli należeć do parlamentu ani zajmować urzędów, to u nas już w roku 1573 nieśmiertelna ustawa „De pace inter dissidentes”, uchwalona przez sejm, zabezpieczyła równouprawnienie wszystkich wyznań chrześcijańskich, istniejące zresztą w praktyce i przedtem.

Samotne wśród reszty Europy, nieznane tam w owych odległych epokach, niedoścignięte częstokroć nawet dziś, stoją przed nami *środki*, jakimi rozum stanu i duch Polski posługiwał się dla osiągnięcia swoich wielkich celów dziejowych. Bez walk wyniszczających i gwałtownych wstrząśnięć wewnętrznych przeprowadzili przodkowie nasi tak olbrzymie dzieła, jak właśnie złączenie w jedną, wyższą całość kilku sąsiadujących ze sobą obszarów państwowych, jak równouprawnienie wszystkich wyznań i urzeczywistnienie swobody sumienia. Wielka zasadnicza reforma państwowa: konstytucja „Nihil novi” z roku 1505, która rzuciła trwale podstawy pod rozwój przedstawicielstwa narodowego i zagwarantowała owe szerokie

swobody polityczne, jakimi Polska odcięła się na trzy stulecia od rosnącego dokoła a wreszcie triumfującego wszędzie absolutyzmu, doszła do skutku jako proste uwieńczenie szeregu stopniowych przeobrażeń poprzednich. Konstytucja 3 maja 1791, która te zdobycze przystosowała do potrzeb nowoczesnych, dokonała się również jako wynik pokojowej ewolucji myśli politycznej. W tym pamiętnym roku Polska wstąpiła na drogę rozszerzania praw człowieka na warstwy „niższe”. Nie kosztowało to ani jednej kropli krwi, ani jednej łzy ludzkiej, gdy inne narody kontynentu musiały w nowszych czasach tysiącami ofiar okupować każdy krok ku swobodzie. „To — mówi Stefan Buszczyński — do czego gdzieindziej dobijano się przez krew, przez rozruchy, bunt, rewolucje, domowe wojny, królobójstwa, rusztowania, gilotyny, naród polski otrzymał i utrzymał spokojnie, na drodze legalnej”.

Wyższości tego sposobu budownictwa politycznego towarzyszyła niezaprzeczona wyższość moralna Polski nad bliższym i dalszym jej otoczeniem. Państwo, które uczyło młodzież, że polityka nie ma być chytrością, zdradą ani sztuką używania przemocy, które wśród powszechnego panowania instynktów drapieżnych nie uprawiało napaści wojen i do rozboju czuło wstręt a niesło ościnnym ludom — wolność, które wśród powszechnego fanatyzmu jedyne w Europie dało wspaniały przykład tolerancji religijnej, które taką samą tolerancję stosowało do wszelkich przejawów historycznie wytworzonej odrębności, które w swoich granicach nie знаło żadnych zgola form prześladowania ludzi za to czem są i w co wierzą, które nie zamordowało żadnego ze swych królów, ale żadnemu też nie pozwoliło mordować poddanych, które blask prawa ceniło wyżej, niż blask korony, to państwo moralnie zostawiło daleko za sobą w tyle nie tylko ówczesną Europę, ale i dzisiejszą.

UPADEK PAŃSTWA.

Szukanie przyczyn upadku. Bez-rząd i bez-prawie. „Niezdolność do życia” tworząca wzór praworządnego państwa. Dla kogo „anarchia” polska była niebezpieczna? Nieupodobnicie się do niżej stojącego środowiska. Polska uległa przewadze fizycznej.

Państwo polskie upadło.

Dla ludzi, co wartość zasad i czynów mierzą doraźnym powodzeniem, wystarcza to, by potępić linię rozwoju Polski. Lecz „zegar dziejów nie według ludzkiej nastawiony miary”, a ustrój polityczny, który przez wieki dawał szczęście i wysoki poziom kulturalny wielkiemu narodowi, — idea wolności i godności ludzkiej, która pokolenia wśród bezprzykładnych cierpień i prześladowań zagrzewała ogromem patriotyzmu i która dotychczas przyświecała dążeniom narodów, — nie mogłyby być potępione nawet wówczas, gdyby istotnie sprowadziły na przeciąg stu lat niedolę i cierpienie.

Zniszczenie naszej tysiącletniej egzystencji państwowej było dziełem przewagi fizycznej, aktem gwałtu. Tak odbijało się niegdyś to katastrofalne zjawisko we wszystkich umysłach moralnie nie zdeprawowanych, nie tylko u nas i nie tylko w krajach nam przyjaznych. Wielki i zarazem wyjątkowy pruski mąż stanu z epoki Napoleońskiej, Stein, wtedy, gdy w Niemczech rzecz nazywano po imieniu, rzekł: „Podział Polski jest polityczną zbrodnią. Stanowi on smutny obraz ujarzmionego przez moc narodu, któremu zburzono możliwość samodzielnego rozwoju swej indywidualności, któremu wydarto dobro-

dziejstwo swej własnej wolnej konstytucji". Czynniki, które spowodowały nasz upadek, ujmowano jasno i prosto. Sprowadzały się one do wspólnego mianownika — przemocy. Dopiero z czasem, pod wpływem tryumfującej reakcji, rozpoczęły się poszukiwania za innymi „przyczynami”. Przedewszystkiem skrzętnie zajęli się tem sami sprawcy rozbiorów. W ich to urzędowej historyografii pojawiła się najpierw chytra teza kolportowana potem długo i gorliwie, że Polska uległa „wewnętrznemu rozkładowi”, że zgubiła ją „anarchia”, że jej zasady polityczne i urzędnienia państwowe cierpiały na „niezdolność do życia”, teza, która, jak podrobiony pieniądz poczęła krążyć po świecie. Ustalanie nowych „przyczyn” przybrało wreszcie charakter potępienia, miotanego jakgdyby z wyżyn jakiegoś sądu dziejowego. Nietylko usprawiedliwiono sobie, ale na dodatek pociągnięto nas przed kratki. Komedya ta, którą z szczególną precyzją umieli reżyserować pisarze moskiewscy, ma wciąż jeszcze aktorów, chór i wdzięcznych słuchaczy. Rozgrywa się ona w „nauce”, w prasie, w publicystyce, w parlamentach. Mówią nam surowo: Upadliście, bo nie umieliście u siebie rządzić.

Widowisko godne bogów. Któż to bowiem wlecze przeszłość polską przed swój sprawiedliwy trybunał i ciska jej w twarz zarzutem bez-rządu? Oto potomkowie przydrożnych rycerzy-rozbójników lub rabów, całujących pokornie knut, ci, których dzieje przez setki lat pływały się w bez-prawiu, w czemś kwalifikującym się pod pręgierz stokroć bardziej od najjaskrawszych wynaturzeń polskiej „złotej wolności”. Najsmutniejszy rozdział naszej historii, pod królami z niemieckiej dynastji saskiej, to okres braku silnej egzekutywy, strzegącej ścisłego wykonywania praw, które jednak istniały i obowiązywały. W tym samym czasie Rosya — i nietylko ona — nie znała wogóle żadnych istotnych pojęć o prawie, gdyż prawem był dla niej każdy gest cara, każde krwawe zachcenie psychopatów na tronie w rodzaju Iwana Groźnego i korono-

wanych ladacznic w rodzaju Katarzyny Anhalt-Zerbst. Kto częstuje nas kazaniami o zdolności do życia? Ci, co objawili ją głównie zbójcekiem łupieżstwem cudzego dobra i psią uległością wobec bata. Bezwstydnym fałszem jest, jakoby zdolność do życia była jednoznaczna z popełnieniem do grabieży i z niewolniczą tresurą.

Wyprowadzaniu upadku Polski z jej wewnętrznego „rozkładu” przeczy wszystko. Po pierwsze: Nad przewodniami ideami naszych dziejów historia wcale nie przeszła do porządku, przeciwnie, coraz bardziej podkreśla ich aktualność. Powtóre: Ustrój Rzeczypospolitej od ostatecznego swego skryształizowania się istniał z górą trzy stulecia, więc musiał posiadać dostateczną siłę żywotną i to tem większą, że w nieznacznej tylko mierze opierał się na przymusie państwowym. Po trzecie: Dwa ostatnie rozbiory nastąpiły wtedy, gdy Polska przez przystosowanie się do nowych pojęć i potrzeb stworzyła była na owe czasy wzór praworządnego państwa w ustawie 3 maja 1791, gdy przeprowadziła nietylko znakomite reformy polityczne, społeczne i administracyjne, ale zajaśniała rządnością gospodarczą, odrodzeniem przemysłu i handlu, więc złożyła nanowo niezbity dowód wszechstronnych zdolności do dalszego życia. Wobec tych faktów uzasadnianie rozbiorów naszą „anarchią” i naszym rzekomym „rozkładem”, nie przestając być nikczemnem, staje się śmiesznem.

„Anarchia” polska była, zaiste jedną z przyczyn naszego upadku, ale w sensie zgola innym, niż ten, jaki jej podsuwa bezmyślnie powtarzany komunał. W łupinie wynaturzonych z biegiem czasu i spaczonych form ustroju polskiego tkwiło nawet w okresie jego najjaskrawszych zboczeń zdrowe ziarno wielkich i płodnych idei. Naród nasz zawsze świadomie przeciwstawiał się tyranii, gdziekolwiek ona była. Stara konfederacka pieśń z r. 1768 (cztery lata przed pierwszym rozbiorem), pieśń z czasu najwyższego „rozkładu”, głosiła: „nigdy z królami nie bę-

dziem w aliansach, nigdy przed jarzmem nie ugniemy szyi" — z królami, to znaczyło z autokracją, z „absolutum dominium". „Dawna Polska — stwierdza znakomity współczesny pisarz rosyjski Konstanty Balmont („Utro Rossii" 1917) — była krajem wolności pośród państw despotycznych. W dniach swojej zguby posiadała ona taką sumę swobód, jakiej nie знаło wtedy żadne państwo europejskie". Zarażającego wpływu tych idei bał się absolutyzm XVIII wieku, okrażający dokoła naszą ojczyznę. „Poglądy Polaków — pisał kanclerz rosyjski Bezborodko w roku 1794 — są tego rodzaju, że zaraza dalej rozejść się może".

„Trzebaż innych powodów szukać dla zrozumienia planu rozebrania Polski? — pyta słusznie Buszczyński. — To jedyne wielkie mocarstwo narodowe wśród państw dynastycznych było wówczas anomalią. Polska, pomimo osłabienia, pomimo pozornego konania nierównie więcej miała żywotności, niż wszystkie europejskie państwa wśród wrzawy wojennej i dworskiego przepychu. W całej Europie narody i kraje były własnością panujących, były rzeczą, bezmyślnym narzędziem woli silniejszego lub zrcześniejszego, gdy naród polski nigdy nie był niewolnikiem swych królów". W ustroju i duchu Rzeczypospolitej, w świeżo zwłaszcza uchwalonej konstytucji 3 maja, która zreformowała i wzmocniła rząd, wprowadziła monarchię dziedziczną, ale zatrzymała w całej pełni władztwo narodu, widziały mocarstwa ościenne niebezpieczną pokusę dla swych „poddanych", trzymanych w ryzach ślepego posłuszeństwa. Odrodzenie się przez reformy majowe i wzmocnienie się na siłach takiego państwa, jak Polska, mogło być zagrożić dalszemu trwaniu autokratyzmu, zniszczonego już częściowo na zachodzie, przez Francję, i trzeba było tę groźbę usunąć. Uczyniono to — przez rozbiory¹.

¹ „Królowie zatrwóżyli się w sercach swych i rzekli: Wypędziliśmy z ziemi Wolność, a oto powraca w osobie narodu sprawiedli-

Polska upadła dlatego, że nie upodobiła się do sąsiednich despotyj, że przy niedogodnym swem położeniu geograficznym była krajem wolności pośrodku państw, opartych na samowładztwie i polityce pięści, że jedyną na kontynencie wzdrygała się długo przed wytworzeniem wielkiej stałej armii, t. j. tego, co dziś narody przodujące ludzkości chcą zetrzeć ostatecznie z oblicza ziemi. Zginęła, gdyż przy całym chwilowym załamaniu się swej siły duchowej była otworem politycznym doskonalszym i niewspółcześnie wysoko rozwiniętym w zestawieniu z tem, co ją otaczało.

To była „causa prima" zniknięcia gwałtownego Polski z karty świata. Pozostaje jeszcze obszerne pole do uwag nad upadkiem charakterów w okresie przed Wielkim Sejmem, nad rozprzężeniem się przedstawicielstwa narodowego, nad zanikiem władzy państwowej. Aczkolwiek okresy takich lub podobnych wewnętrznych niedomagań znane są nie tylko w Polsce XVIII wieku, lecz u tyłu innych narodów i w tyłu innych epokach — dość wymienić orgię korupcji w Anglii i powszechny w całej Europie upadek moralności publicznej w pierwszej połowie XVIII wieku — i chociaż tam z powodu tych lub owych szczęśliwych okoliczności przeszły bez sprowadzenia katastrofy na państwo, to jednak nikt nie przeczy, że u nas ułatwiły one zadanie wrogom zewnętrznym. Atoli w ostatniej przyczynie runęła Polska z powodu faktu, który w nagiej i brutalnej swej istocie nazywa się gromadną napaścią, przerastającą siły obronne jednostki napadniętej. Po raz pierwszy w dziejach państw chrześcijańskich zdarzyło się, że wielki naród o niespożytych zasługach dla cywilizacji, naród, który wobec nikogo nie żywił wrogich zamiarów, osaczono w środku Europy w zamiarze zniszczenia go poprostu tak, jak się osacza zwierzynę w

wego, który nie kłania się bałwanom naszym. Pójdźmy, zabijmy naród ten". [Mickiewicz: „Księgi narodu polskiego"].

kniei. Przy rozważaniu tej niesłychanej sytuacji dziejowej jest zapewne dość miejsca dla krytyki polityki polskiej, która nie potrafiła wybrnąć ze strasznego położenia n. p. przez stworzenie korzystnych dla siebie koniunktur, aczkolwiek i to spostrzeżenie krytyczne musiałoby znacznie osłabić fakt, iż sojusz, jaki Rzeczpospolita zawarła z Prusami w roku 1790 został przez rzekomego sprzymierzeńca w chwili próby zdeptany z całym cynizmem.

Tak czy owak, stanęła Polska wobec gromadnego sprzyśiężenia, wobec fizycznej przewagi trzech złączonych ze sobą wielkich mocarstw sąsiednich. I tej przewadze nie mogła nie uledeć.

DUCH DZIEJÓW POLSKI NA TLE CHWILI DZISIEJSZEJ.

Następstwa rozbioru Polski. Obalenie równowagi. Wzmocnienie reakcji. Spopularyzowanie idei gwałtu. Rozwój militarystyki. Wojna światowa. Ubezważenie jednostki. Polska historyczna i Europa współczesna. Spiralna linia postępu. Nasze zadania. Nasz spadek dziejowy.

Gwałtowne zniknięcie z karty Europy wielkiego i zdolnego do życia państwa, które było pierwszorzędym czynnikiem równowagi międzynarodowej, nie mogło przejść bez pozostawienia głębokich po sobie śladów w ogólnym układzie stosunków. Zdławienie jego gorącej żądzy dalszego bytu wywołało szereg złowrogich skutków, które intuicyjną niezdeprawowaną duszę przewidziała cesarzowa Marya Teresa, pisząc na akcie podsuniełym przez dyplomatów: „Placet — skoro tyle i tak wybitnych osobistości tego pragnie, lecz długo po mojej śmierci mścić się będą następstwa podeptania nogami tego, co poczytywano dotąd za sprawiedliwe i święte”.

Już w roku 1814 Talleyrand w nocy do Metternicha dał wyraz przekonaniu, że rozbiór Polski był przyczyną następnych wstrząsów w Europie. Znakomity historyk niemiecki von Rotteck, którego po raz drugi tu zacytujemy, pisał przed laty dziewięćdziesięciu: „Upadek Polski oznajmił gromowym głosem cywilizowanemu światu całkowite obalenie równowagi, zwycięstwo przemocy, a następnie zanik zupełny publicznego prawa. I jeżeli, według ciężko ważących słów Jana Müllera, „Bóg chciał wówczas

obnażyć moralność wielkich", to przed myślicielem otworzyła się skutek tego ponura perspektywa na nieskończoną pełnię cierpienia i na straszliwy szereg przewrotów, które stały się nieuniknione, aby w życiu publicznym przywrócić stan prawny. Niech Europa drży przed skutkami, jakimi całemu systemowi politycznemu cywilizowanego świata zagraża zniszczenie państwa, przedzielającego trzy wielkie mocarstwa militarne". (K. v. Rotteck: Allgemeine Geschichte, Schlussbetrachtungen über den Wiener Kongress). Prorocze te słowa znalazły pełne grozy potwierdzenie. Dla głębiej patrzących umysłów staje się jasnym związek przyczynowy, jaki zachodzi między wielką zbrodnią międzynarodową z końca XVIII wieku a potworną katastrofą, którą świat przeżywa w chwili obecnej. W niedawno ogłoszonym dziele „The partition of Poland” stwierdza lord Eversley, że pośrednią i daleką lecz istotną przyczyną ubiegłej wojny światowej jest rozbiór Polski.

Zbrodnia, dokonana na Polsce i kontynuowana systematycznie z całą świadomością popełnianego zła, odbiła się złowrogo na dziejach XIX wieku. „Zatrula ona całe życie polityczne Europy od 150 lat”. stwierdza pisarz francuski André Lichtenberger („Victoire”, 5. XII. 1918). Rozbiór Rzeczypospolitej stał się węzłem spajającym interesy mocarstw najbardziej wrogich zasadom wolności i wzmógł potężnie ich siłę materyalną, wzmocniona zaś tym sposobem reakcja stała się klęską dla ludów, których usamowolnienie wstrzymała na długie lata. Gdy koalicja państw autokratycznych powstała przeciw Wielkiej Rewolucji francuskiej, nie mogła tej koalicji przeciwstawić się Polska, której dawne tradycje wolnościowe, ustroj republikański i demokratyczny, oraz uznanie praw jednostki i władztwa narodu odpowiadały ideom, głoszonym przez rewolucję francuską. Napoleon, który ideały rewolucji wypaczył, ale najważniejsze jej zasady przejął i torował im drogę, przyznał w swych pamiętnikach, że popełnił

kardynalny błąd, nie wskrzeszając Polski. Po upadku Napoleona tworzy się na kongresie wiedeńskim między współnikami rozbiorów Polski sprzysiężenie, zwane „świętym przymierzem”, do którego przystąpiła następnie większość władców Europy, a które wyniosłszy do znaczenia najważniejszego organu w państwie instytucję tajnej policji, przez całe dziesięciolecia tłumi solidarnie drakońskimi środkami wszelki ruch wolnościowy, gdziekolwiek się przejawiał. Usprawiedliwianie i sankcjonowanie zbrodni dokonanej na Polsce znieprawiały ponadto lub znieczuliły myśl i sumienie społeczne. Gdy „najbardziej ludzki naród”, według słów Micheleta, został „wyrzucony z ludzkości”, mogła być postawiona jawnie i z całym cynizmem zasada, że w życiu międzynarodowym głos ma nie prawo moralne, lecz „prawo mocniejszego”, nie kodeks etyczny, lecz pięść. Niewolnictwo i tyrania, narzucone tak wielkiemu narodowi, spopularyzowały ideę gwałtu, co ułatwiało rządów despotycznym stosowanie tych samych metod wobec własnych społeczeństw. Równolegle z tem jedne państwa i narody, obawiając się dla siebie losu Polski, zaczęły myśleć o wzmocnieniu swej siły zbrojnej, inne chciały ją jaknajbardziej rozwinąć, aby mózdz również przy sprzyjających okolicznościach wyzyskać czyjąś słabość i rzucić się w wir polityki zaborczej, która tyle doraźnych korzyści przyniosła mocarstwom rozbiorowym.

To wszystko, niemniej jak zarzewia antagonizmów, wywołanych podziałem polskiego łupu, oraz nadmierny wzrost potęg, które dopiero na gruzach Polski doszły do późniejszego znaczenia, stały się pobudką do typowych w XIX wieku powszechnych zbrojeń.

„Rosja, rozporządzająca milionami niewolnego ludu,— stwierdza prof. Wacław Sobieski — właśnie przez rozbiór Polski przysunęła swą głowę w sam głaz Europy i przysuwała się coraz bardziej w sam jej środek, bo jeszcze bliżej w roku 1815 i jeszcze bliżej po rozbi-

ciu polskiej armii w roku 1831. W miejsce dawnej Rzeczypospolitej, która nie lubila utrzymywać znacznych armii, wstępowała Rosya przerażająca wszystkich masami wojsk i przez to pobudzająca sąsiadów do baczności, do zbrojeń, do utrzymywania stałych armii. Rozbiór Polski był przyczyną tych zbrojeń i z innego jeszcze względu: wszak wszelki zabór wymaga pilnowania zajętych obszarów i o-kielzania burzącej się ludności podbitej, a coś dopiero tak zawsze za wolnością tęskniacej, jak polska! Jakoż niemiecki pisarz wojskowy Maks Jähns („Heeresverfassungen und Völkerleben“) podaje wyraźnie, że zajęcie zachodnich obszarów Rzeczypospolitej wymagało powiększenia pruskich sił zbrojnych i że z tego powodu Fryderyk Wilhelm II utworzył w roku 1795 „eine Immediat-Militär-Organisations-Kommission“, w której pojawiły się głosy za rozszerzeniem armii w kierunku powszechnego poboru. Po ogólnem znużeniu wojnami Napoleońskimi trzeba było nadal pilnować Polaków, którzy tylko czekali stosownej chwili, aby wybić się na wolność. Z piersi Mikołaja I wydarł się w roku 1831 okrzyk gniewu i zniecierpliwienia, że dla utrzymania w karbach tego narodu musi mieć w pogotowiu potężną armię i łożyć na nią ogromne koszta. Posunięcie się Rosyi po roku 1831 aż po Wisłę zaniepokoiło znowu Prusy, tak, że w tymże roku nie odesłały, jak zwykle, połowy rekrutów po kilku tygodniach do domu, lecz ćwiczyły pełną, a więc podwójną ich liczbę przez dwa lata. Gdy niebawem wyloniła się w Europie „zasada narodowości“ i hasło zjednoczenia narodowego, które na nowo zelektryzowały Polaków, car Aleksander II kazał postawić na stopie wojennej cztery korpusy i wzmocnić załogi w Polsce kongresowej. To wywołało z kolei niepokój w Prusiech. Zabezpieczając się, regent pruski Wilhelm zmobilizował w roku 1859 armię, a następnie podwoił liczbę wojska stałego, przedłużył czas służby i zastosował bezwzględnie powszechny obowiązek wojskowy.

Oto uchwytne przykłady, jak rozbiór Polski w konsekwencji swej podsycał zbrojenia międzynarodowe.

„Pośrednie i dalekie, lecz istotne“, jak nazywa je lord Eversley, następstwo ujarzmienia wielkiego i żywotnego narodu — brzemie „zbrojnego pokoju“ — komplikując się z innymi czynnikami urosło zczasem do olbrzymich rozmiarów i przyniosło na długo kulturalną pracę wszystkich ludów Europy. Zbrojność jednego państwa podsycała zbrojność drugiego. Wywiązał się wyścig wojennego pogotowia. Najlejsza, najbardziej wartościowa społecznie część ludności oderwana została od zajęć twórczych. Wobec kolosalnego wzrostu budżetów wojskowych obniżyły się wszędzie wydatki i wkłady publiczne w rozwój kultury umysłowej, techniki, oświaty i higieny. Droga, którą upadek Polski niegdyś rozpoczął, a którą tak jasnowidząco scharakteryzował niemiecki historyk-myśliciel, doprowadziła do tego, że pod koniec okresu poprzedzającego wybuch wojny światowej sześć milionów mężczyzn w sile wieku stało pod bronią na t. zw. „stopie pokojowej“, czekając tylko na hasło do mordu, a uzbrojenie i utrzymanie tych pasorczytów kosztem reszty ludności pochłaniało corocznie, przeszło dziesięć miliardów franków, nie licząc strat wynikłych wskutek oderwania tych ludzi od pracy wytwórczej. Militaryzacja narodów wyladowała się na koniec w masowej rzezi, która załapała krwią Europę, w zniszczeniu wartości, na których wytworzenie składały się pokolenia. Kataklyzm przerósł wszelką rachubę. Czterdzieści milionów ludzi stanęło pod bronią. Po czteru i pół latach trwania strawiła wojna z górą trzysta miliardów mienia narodowego wszystkich krajów. Ofiary w ludziach wyniosły w tymże czasie okropną cyfrę ośmiu milionów zabitych, dwudziestu milionów inwalidów, nie licząc wzmózonej śmiertelności za frontem. „Nieskończona pełnia cierpienia“, o której mówił Karol Rotteck, stała się faktem. Milionami piersi wstrząsnęło łkanie żałoby. Milionom ust zabrakło żywi-

cieli. Na gruzach zburzonych miast i wsi rozpostarła się pustka śmierci. Kultura materialna została gwałtownie cofnięta. Po obszarach bogatej i dumnej Europy stąpa głód, a wlecze się za nim widmo degeneracji całych pokoleń. Powszechny upadek rolnictwa zagroził kuli ziemskiej niedostatkiem na długie lata. „Konieczności” wojenne zażądały od wszystkich narodów takiej próby wytrzymałości, takiego wyrzeczenia się potrzeb ludzkich, jakich najbujniejsza wyobraźnia nie mogła przypuścić. Wszechwładza państwa wtargnęła do każdej szczeliny życia, gasząc ostatni szczątek swobody osobistej. Ubez władnienie i zmechanizowanie jednostki osiągnęło rozmiary snu fantastycznego. Człowiek, pozbawiony najdrogocenniejszego z darów przyrody, wolnej woli, stał się kółkiem potwornego mechanizmu, obracającym się bezdusznie w takt jego krwawych poruszeń.

Zachowawczy instynkt ludzkości, kurcząc się przed widmem powtórzenia się tej katastrofy, woła o rewizję ideologii, która do niej doprowadziła, woła o — trybunały rozjemcze, o kodeks karny międzynarodowy, któryby pod wspólną wszystkich egzekutywą, ścigał w przyszłości każdą próbę zbrojnego gwałtu, jako zbrodnię podpalania świata, woła o prawo bytu dla zasad, któreby ohydę rzezi masowej wśród ludzi uczyniły na zawsze niepowrotnym upiornym wspomnieniem. To, co do niedawna głosili tylko „utopiści” i „marzyciele”, zjawia się coraz częściej na ustach najtrzeźwiejszych mężów stanu.

A teraz spojrzmy jeszcze raz po za siebie!

Oto w perspektywie przebytego czasu jaśnieje, tak niedawno jeszcze żywa, a w duszach polskich żyjąca zawsze zniweczona brutalnie, przedziwna wielka republika, która wiele snów dzisiejszej umęczonej ludzkości przed wiekami już jawą uczyniła, która wśród powodzi absolutyzmu była dumną wyspą swobód, dla której państwo nie było celem lecz środkiem, a celem był człowiek i jego rozwój, która nie uprawiała nigdy grabieży cudzych ziem

i czuła odrazę do krwi rozlewu, która decyzyę o wydobyciu miecza przekazywała dojrzałej woli narodu, a nie podziemnej intrydze nieodpowiedzialnych i poza kontrolą publiczną działających zawodowych dyplomatów, która pojęcie słuszności w stosunkach międzynarodowych jako wartość realną traktowała, która wielkimi nazywała tylko królów-budowniczych a nie królów-lupieżców która kazała uczyć młodzież że zdrada nie jest polityką a przemoc bohaterstwem, która łamała się chlebem wolności z innymi narodami i jednoczyła je pod hasłem równouprawnienia we wspólnym związku federacyjnym, która urzeczywistniła o całe wieki wcześniej od innych nietylko wiele osiągniętych później postulatów postępu, ale i takie, które rodzą się dopiero w dreszczach przeczucia.

I zważywszy te wszystkie duchowe wartości, które w dziedzinie zadań politycznych stworzył był i przeżył geniusz narodu polskiego, zechcemy — na tle potwornej rzeczywistości naszego czasu — ocenić, ile straciła ludzkość przez ubezwładnienie takiej jednostki narodowej, przez ubytek jej swobodnego współpracownictwa dla wspólnych celów.

Pomimo wszystkich powrotnych fal barbarzyństwa, ludzkość podąża w kierunku coraz doskonalszych zasad współżycia jednostek i narodów.

Ograniczając się do ciasnego kręgu obserwacji w czasie i przestrzeni, żyjąc zwłaszcza bezpośrednio pod obuchem rozkiełznanej siły pięści, łatwo uleść pesymistycznemu wrażeniu, iż społeczeństwo ludzkie, przy całym swym imponującym postępie w dziedzinie kultury umysłowej i technicznej, nie zmienia wcale swojej głębszej istoty moralnej. Kto jednak ogarnia nie drobny jakiś wycinek dziejów, ale ich wielkie przestwory, ten nie może ani na chwilę wątpić, że także kultura etycznych podstaw życia posuwa się stale, acz wśród ciągłych wahań i odchyleń, ku wyższym stadiom rozwoju. Rozwój ten od-

bywa się linią spiralną. Tó wznosi się ku ideałowi wolności i braterstwa, jak w epoce, gdy lud francuski własnym upojony wyzwoleniem zapragnął nieść je całej Europie na ostrzu zwyciężkiej szabli, jak, później jeszcze, w okresie niezapomnianej wiosny ludów roku 1848. To znowu obniża swój pęd ku wyżynom, zakręca i na chwilę grzęźnie choćby w bagnie oświeconego zdziczenia, jak w dziesięcioleciach, poprzedzających wybuch wojny światowej.

Lecz linia, spadając w dół, nie wraca do dawnego poziomu.

Ponad wszelką wątpliwość może nas o tem przekonać doświadczenie ubiegłego tysiąclecia, t. j. tego okresu, na który przypada właśnie byt dziejowy narodu polskiego. Cały szereg światopoglądów, idei i odpowiadających im urządzeń prawnych, które nie tylko obowiązywały, ale uważane były za naturalne, jasne jak słońce i wiekuiście utrwalone, znikł z powierzchni życia, aby ustąpić miejsca nowym, doskonalszym. Ze stanowiska dzisiejszych pojęć patrzymy na nie jak na legendarne jakieś, nieprawdopodobne, przedpotopowe zjawiska.

W ciągu tego czasokresu rodziły się i marły całe pokolenia, w których wyobrażeniu było rzeczą zupełnie prostą, że człowiek człowieka kupował na targu i posiadał na własność, jak bydło robocze. Dziś niewolnictwo jednostek znikło, i chociażby dyalektyka chciała nam wskazywać na nowe, przeobrażone jego formy, to przecież odbyła się tu zasadnicza zmiana; spiralna linia społecznego i moralnego rozwoju wzniosła się niezaprzeczenie ku górze. Przez długie wieki uchodziło za stan prawidłowy narzucanie siłą wierzeń religijnych. W najoświeciejszych krajach Europy panowała zasada, że „poddany” ma te same wyznawać subtelnosci dogmatyczne, które trwały do przekonania jego księcia. Najkulturalniejsze społeczeństwa dokonywały masowych mordów i wyniszczały się wzajemnie w głębokiem przekonaniu, że czy-

nią to „dla wiecznego zbawienia”. Dziś niema na kuli ziemskiej człowieka, któryby o tych rzeczach, tak niegdyś pospolitych, myślał inaczej, niż ze zgrozą, a idea wznowienia wojen religijnych mogłaby powstać już tylko w obłąkanej głowie. Poprzez wieki cierpień ludzkość zdobyła sobie wolność sumienia, i wzniosła się znowu wyżej. Tak samo naturalną, prostą i konieczną rzeczą, jak niewolnictwo, jak handel ludźmi i jak przymus wyznaniowy był w przekonaniu całych generacji absolutyzm monarszy i nierówność poszczególnych warstw społeczeństwa wobec prawa i przywileje szlachty i poddaństwo chłopu. Lecz oto w krwawym trudzie osiągnięte zostały wyższe szczeble rozwoju: wolność osobista, obalenie przywilejów stanowych, równe prawo do wymiaru sprawiedliwości, współudział wszystkich warstw społeczeństwa w rządach.

Biorąc za podstawę te znane nam etapy przebytej drogi dziejowej, możemy bez obawy omyłki wysnuć z ujawnionych dotychczas tendencji dalszy kierunek rozwoju społeczeństw cywilizowanych. Kierunek ten zarysowuje się zresztą już dziś w postaci prądów, usiłujących się wcielić, lub nawet aktów częściowej ich realizacji. Idziemy niezaprzeczenie ku uznaniu prawa narodów do rozporządzania sobą, jako konsekwentnemu uzupełnieniu analogicznych i wcześniej dojrzałych praw człowieka — ku urzeczywistnieniu postulatu wspólnego kryterium moralnego dla całego obszaru życia. Niewolnictwo narodów musi być do reszty obalone, tak samo jak podwójna moralność, inna dla jednostek inna dla istnień zbiorowych. W oczach naszych rodzą się nowe wielkie przezwyciężenia idei i urządzeń, długo uważanych za naturalne, niezmiennie i konieczne. To uchwytne już dziś zjawisko, to dążenie do zdjęcia z życia dalszych krępujących je więzów, łącznie z całym dotychczasowym doświadczeniem historycznym, pozwala nam określić cel, do którego ludzkość zmierza z żelazną stanowczością

pomimo wahań i wykolejeń. Tym celem jest: wolność, wszechstronna, pełna, doprowadzona do najszerszych możliwych granic, wolność, miarkowana jedynie nakazem ograniczania własnych pragnień bezpieczeństwem i swobodą poruszania się innych.

Jest to zarazem najogólniejszy kierunek naszej, polskiej, od pół tysiąca lat skryształowanej myśli dziejowej.

Z poczuciem silnie zarysowanego stanowiska w gronie narodów, z miłością i wdzięcznością, patrzeć możemy na wspaniałe, wielkie i dążeniom nowoczesnym tak bliskie, nasze dziedzictwo historyczne. Urobiło ono nasz typ duchowy, zbliżając go, mimo wszystkich błędów i niedomagań naszego charakteru, do poziomu najlepszych typów zbiorowych ludzkości i spokrewniając z tymi, do których ostatecznie przyszłość należy. Jako jedyny łącznik spajało naród nasz przez wiek rozdarcia w światomą siebie całość. Dało nam moc przezwyciężania zamachów niesłychanych w dziejach świata. Uchroniło duszę naszą od wtłoczenia w obce i znieprawiające formy. I ono to czyni nas dziś zdolnymi do dalszej twórczości w dziedzinie tych wielkich wszechludzkich celów, których ziszczenie samo jedno może zapewnić nam promienne Jutro, do celów, które w swem szerszym rozwinięciu niczem innym nie są, jak tylko kontynuacją istotnych pierwiastków Ducha Dziejów Polski.

60—

18506

304 B

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 317119



000-317119-00-0